

**Vera Cowie**

# **LATO W HISZPANII**

*Jane, która zawsze mówiła, że mam to coś...*

Panna Elliot? - spytała niepewnie kobieta. Patrząc na Jane z lekkim niepokojem, postąpiła krok do przodu.

- Seriom de Capdévila? Dzień dobry. - Jane wstała. Nienagannie ubrana *doña* Alicia wdzięcznie ujęła jej wyciągniętą rękę.

- Co za wzrost... - mruknęła, zadzierając głowę, żeby spojrzeć na Jane. Sama miała tylko metr pięćdziesiąt. Najwyraźniej nie spodziewała się tak wysokiej kandydatki.

- Metr siedemdziesiąt osiem - powiedziała obojętnie Jane.

- Pani zdjęcie... myśleliśmy... wydawała się pani... niższa - rzekła seriom delikatnie.

- Nie wspomniano mi, że do tej pracy wymaga się kogoś o niskim wzroście... ani niskim wykształceniu - sucho stwierdziła Jane.

- Och, nie, źle mnie pani zrozumiała. Chodzi tylko o to, że myśleliśmy... ale to nieistotne. Proszę, niech pani siada.

Jane z powrotem usiadła na pięknie rzeźbionym krześle, podczas gdy *doña* Alicia opadła na ogromny fotel, obity różowym brokatem, na którego tle uwydatniały się jej ciemne włosy, kremowa karnacja i duże, czekoladowobrązowe oczy, osłonięte gęstymi rzęsami.

- Napisała pani taki czarujący list - powiedziała z uśmiechem - więc myśleliśmy, że ma pani urodę... - zawahała się przez chwilę - równie czarującą. Że nie wygląda pani na sawantkę, chociaż jest pani taka wykształcona!

Rozprostowała dwie duże kartki papieru, które miała ze sobą, wyjęła z kieszeni okulary i włożyła je. Przypominała w nich dziecko przebrane za dorosłą osobę, a przecież musiała dobiegać czterdziestki, jej najstarszy syn miał już osiemnaście lat.

- Dyplom z wyróżnieniem z hiszpańskiego - muszę pani pogratulować akcentu, jest bezbłędny - francuskiego, włoskiego i niemieckiego. - *Doña* Alicia sprawiała wrażenie przejętej. - Ja znam trochę angielski - powiedziała w tym języku, bo do tej pory rozmawiały po hiszpańsku. Miała cudowny akcent. - Mój szwagier mówi po angielsku jak rodowity Anglik, ponieważ cztery lata studiował w Oksfordzie, podobnie jak pani. - Leciutko zmarszczyła brwi. - Mam wielką nadzieję, że Jorge popracuje tego lata nad swoją angielszczyzną. To czarujący chłopiec, panno Elliot, ale jest w takim wieku... - Wymownie wzruszyła ramionami. - Mój młodszy syn to urodzony student, córka też uwielbia się uczyć, ale dla niej nie jest to oczywiście takie ważne. - Na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec. - Nie mam nic przeciwko inteligentnym kobietom, rozumie pani, ale tutaj, w Hiszpanii, liczy się przede wszystkim to, jak się wygląda.

- Wiem - sucho odparła Jane.

- Ach... tak, słyszałam, że dosyć dobrze zna pani Hiszpanię.

- W ciągu ostatnich sześciu lat spędzałam tu tyle czasu, ile tylko mogłam.

- Ma pani... zaraz... dwadzieścia cztery lata?

- Skończyłam w Nowy Rok.

- To także urodziny Jorgego! - *Doña* Alicia była zachwycona. - To dobry omen! Jest już między wami jakaś więź.

Jane uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Z tego, co jej mówiono o Jorgem de Capdévili, nie był to chłopiec, który uznawałby jakiegokolwiek więzi. „Dziki jak mustang”, scharakteryzował go profesor Harris. „Taki sam, jak kiedyś jego wuj Luis, ale bez jego siły charakteru, dzięki której mógłby z tego wyrosnąć. Nigdy nie stanie się takim mężczyzną jak Luis. Obawiam się, że będziesz musiała być dla niego surowa... w wielu sprawach...” Popatrzył na Jane znad okularów, a ona roześmiała się widząc znaczący błysk w jego oczach.

- ...ale pani wygląda tak, jakby potrafiła świetnie dać sobie z nim radę - mówiła *doña* Alicia, kiedy Jane znów zaczęła jej słuchać. Ta obca, bogata kobieta przyglądała się jej uważnie, przechylając lekko głowę, na podobieństwo bystrookiego kosa. - Ma pani doświadczenie pedagogiczne?

- Od kilku lat podczas wakacji udzielam korepetycji. Zresztą pani zapewne to wie - odparła Jane, patrząc znacząco na swój list i zyciorys w rękach *señory* - ale zawsze młodszym dzieciom. Jorge jest trochę starszy niż uczniowie, z którymi miałam dotąd do czynienia.

- A... tak. Moja droga przyjaciółka, markiza del Puente del Sol, powiedziała mi, że była pani bardzo pomocna ucząc jej synów w zeszłym roku.

*Doña* Alicia znów uważnie przyjrzała się Jane. Jej czekoladowo-brązowe oczy patrzyły miękko i z namysłem.

- Panno Elliot, proszę mi powiedzieć, czy zawsze czesze się pani w ten sposób?  
Zaskoczona Jane uniosła rękę do ciężkiego zwoju włosów upiętych na karku.

- Czemu... tak, zazwyczaj.

- Ach... - Wydawało się, że seriom poczuła ulgę. - To piękny kolor... i są takie gęste!

- Sięgają mi do pasa.

- *Vaya!* - Gdy je pani rozpuści, na pewno wygląda pani jak syrena. Są takie jasne, niemal srebrne.

- Bardzo dobrze pływam - przyznała Jane z uśmiechem.

- Tak. Sprawia pani wrażenie osoby, która dobrze sobie radzi z różnymi sportami.

- To prawda. Jeżdżę konno, pływam, gram w tenisa i w golfa. Nieźle strzelam, a w szkole średniej grałam w hokeja.

- *Vaya!* - powtórzyła *doña* Alicia, z podziwu otwierając szeroko oczy.

- Musiałam się tego nauczyć. - Jane z zadumą wzruszyła ramionami. - Mój ojciec był świetnym sportowcem, a brat wciąż nim jest. Ja musiałam się do nich dostosować, bo inaczej w ogóle bym ich nie widywała.

- *Pobrecita!*\* - mruknęła *doña* Alicia z czułością. Była damą o bardzo miękkim sercu. Oczami duszy widziała już małą dziewczynkę, która stara się naśladować we wszystkim ojca i brata.

- W Cabo de los Ángeles można oczywiście pływać. Nasz dom stoi nad samym brzegiem morza, a w Cañas, naszej wiejskiej posiadłości, mamy dwa baseny, konie, kort tenisowy i trawnik do krykieta, ale obawiam się, że do najbliższego pola golfowego trzeba byłoby jechać dwie godziny.

- To bez znaczenia - odparła Jane. - Przeżyję bez tego. Oczywiście, pomyślała *doña* Alicia ze smutkiem i podziwem zarazem. Ona wygląda tak, jakby była w stanie przeżyć wszystko. Co za wspaniała dziewczyna! Wysoka, tryskająca zdrowiem i witalnością. Obfitość pięknych włosów, mocne kości, regularne rysy twarzy i szerokie, zmysłowe usta. I ta cera! Prawdziwie angielska. Poza tym jest w niej coś, co od razu budzi sympatię. Wszystko w niej jest naturalne i niewymuszone, a na dodatek Maria Jose uważa, że Jane ma wprost zdumiewające podejście do dzieci.

- Chcielibyśmy, żeby zajęła się pani moimi młodszymi dziećmi, Luisitem i Inés, którzy, nawiasem mówiąc, są bliźniętami. Mają prawie po trzynaście lat. Będą obchodzić urodziny podczas naszego pobytu w Cañas. Są dobrzy wjeździe konnej i pływaniu, kiedy już się tym zajmują, ale - *señora* znów wykonała ten sam drobny, czarujący gest - jestem troskliwą matką i wolałabym, żeby był z nimi ktoś...

- Fizycznie sprawny i godny zaufania - dokończyła Jane.

- Właśnie - rozpromieniła się *señora*. - Pani wygląda na bardzo sprawną, panno Elliot, jakby zawsze była pani w stanie...

- Dać sobie radę? - zapytała Jane po angielsku.

- Tak. To właściwe słowo. Dać sobie radę. Bardzo opisowe. I nie wydaje się pani... zbyt surowa. Jestem czułą matką, panno Elliot. Nie mogłabym znieść, gdyby moje dzieci przesadnie ograniczano albo karcono. Dzieciństwo powinno być szczęśliwym okresem w życiu. - Lekki cień melancholii przemknął przez jej twarz, a potem uśmiechnęła się. - Już panią lubię. Poza tym ma pani bardzo pochlebne referencje od profesora Harrisa. Mnie to wystarczy, jednak Luis... - Spojrzała na zegarek. - Powiedział, że przyjdzie, ale się spóźnia. Jest oczywiście bardzo zapracowany. Od śmierci mojego męża zarządza wszystkim w moim imieniu, poza tym jest opiekunem dzieci i administratorem majątku. Nie mogę zrobić nic bez jego zgody.

- Niemożliwe! - Jane trudno było w to uwierzyć. - Przecież chodzi o pani dzieci, prawda?

- To nie ma znaczenia - wyjaśniła *doña* Alicia. - Prawo przyznaje całą władzę Luisowi. Nie chodzi o to, że jest trudny, rozumie pani. Był dla mnie opoką i jest taki miły...

- Mogę to sobie wyobrazić - sucho stwierdziła Jane.

- Och, proszę. Niech pani nie myśli, że to jakiś potwór. Po prostu tutaj rządzą mężczyźni. - Uśmiechnęła się, patrząc zazdrośnie na Jane. - Przypuszczam, że w Anglii jest inaczej.

- To prawda, ale i tak trzeba było długo na to czekać - przyznała Jane.

- Pani sprawia wrażenie kogoś, kto sam kieruje swoim życiem. - Seriom de Capdévila spojrzała na nią z zadumą.

- Oczywiście. Przecież to naturalne.

- Ale co pani robi po wyjściu za mąż?

- Nic się nie zmieni. Małżeństwo nie jest niewolą - zdumiała się Jane. - Z pewnością będzie to partnerski układ z równymi prawami dla obu stron.

---

\* *Pobrecita* (hiszp.) - biedactwo

- Wierzy pani w równość?  
- Bezwzględnie.  
- Więc niech pani uważa, żeby nie mówić o tym Luisowi. Jest typowym Hiszpanem, ze sprecyzowanymi poglądami na temat miejsca kobiety w społeczeństwie.  
- Miejsca kobiety? - powtórzyła Jane. - *Doña* Alicia, miejsce kobiety jest wszędzie tam, gdzie zechce ona być.  
- To znaczy gdzie, panno Elliot? - Męski głos wibrował łagodnym sarkazmem. Jane poczuła, jak gwałtownie unoszą się włoski na jej karku.  
- Luis... - *Señora* zerwała się z fotela patrząc ponad ramieniem Jane. - Nie słyszałam, kiedy wszedłeś. Stąpasz jak kot...  
Podeszła kilka kroków, a Jane wzięła głęboki wdech, wstała i odwróciła się, żeby stanąć z nim twarzą w twarz.  
Stał w otwartych drzwiach. Rzeźbiona, połączana framuga ujmowała jego sylwetkę w ramy. Niezwykle wysoki jak na Hiszpana, głową prawie dotykał górnej belki framugi. Był mocno opalony, miał gęste czarne włosy i błyszczące oczy o barwie onyksu, które niespiesznie lustrowały ją od stóp do głów. Na jego twarzy malowała się pewność siebie, a zarazem wyzwanie. Miał wyraźnie zarysowane kości policzkowe, zdecydowany podbródek, stanowcze, ale pięknie wykrojone i skłonne do uśmiechu usta. Miał też szerokie ramiona i długie nogi, a ubrany był w świetnie skrojony garnitur. W sumie wywierał niezwykle wrażenie.  
- A więc, panno Elliot? - W głębokim głosie słychać było rozbawienie i pobłażanie.  
Jane westchnęła w głębi ducha. Jeszcze jeden. Gęsto wyrastali na hiszpańskiej ziemi.  
- To zależy od kobiety, *señor* de Capdévila - powiedziała uprzejmie. Nie szukała kłopotów.  
- Ale teraz mówimy o pani.  
On był równie uprzejmy, ale miała wrażenie, że się z niej śmieje. Wytrzymała atak tych fantastycznych oczu i nie ustąpiła.  
- W tej chwili, przez całe lato, moje miejsce jest w tym domu, przy rodzinie de Capdévila, w charakterze nauczycielki trojga dzieci *señory* de Capdévila - powiedziała spokojnie, nie dając się wciągnąć do dyskusji. Posada była zbyt dobra, żeby ją stracić.  
Jego oczy rozjarzyły się z uznaniem.  
- Powiedziane, jak na prawdziwą Angielkę przystało - stwierdził lakonicznie. - Jeżeli Jorge zechce zostać dyplomatą, widzę, że pani nauczanie okaże się bezcenne.  
Serio położyła dłoń na jego ramieniu. Takiego mężczyzny kobiety po prostu musiały dotykać. Jane stwierdziła ten fakt dość obojętnie. Niestety rozumiała, że i dotykowi takiego mężczyzny trudno jest się oprzeć.  
Przeszedł przez pokój w jej kierunku, jakby odczytał jej myśli.  
- Miło mi panią poznać, panno Elliot, jestem...  
- Wiem, kim pan jest - przerwała mu Jane, zabarwiając pełen szacunku ton nutką sarkazmu, która jasno stwierdzała: „ale nie ma to dla mnie żadnego znaczenia”.  
Z lekką ironią spojrzała mu w oczy i ujęła jego wyciągniętą rękę. Przy dotknięciu doznała wstrząsu, jak od wyładowania elektrycznego. Poczula ukłucie na skórze, ale jej twarz nie zmieniła wyrazu, chociaż serce zaczęło bić szybciej.  
- Profesor Harris sporo mi o pani opowiadał - kontynuował, nie zwracając uwagi na jej nieuprzejmość. - Mówił, że była pani jego najzdolniejszą studentką.  
- Zawsze zdecydowanie skłaniałam się ku studiom akademickim - odparła Jane z żartobliwą skromnością.  
- Skłaniała się pani? - Uniósł brwi. - Jeżeli wyprostuje się pani choć trochę bardziej, wszystkich nas pani przewyższy - jego oczy błysnęły jak czarne cekiny. - Prawdziwa amazonka - mruknął, a Jane zdawała sobie sprawę, że się z niej śmieje, ale zbyła jego uwagę milczeniem.  
- Właśnie mówiłam panie Elliot, że sądząc po jej zdjęciu myśleliśmy, iż jest raczej niska - powiedziała żywo *doña* Alicia patrząc raz na niego, raz na nią, speszona faktem, że nie zwracają na nią uwagi.  
- W rzeczy samej, nie oddawało pani sprawiedliwości - zauważył miękko Luis.  
Bezczelny facet, pomyślała z furią Jane, ale uśmiechnęła się do niego słodko i wypaliła:  
- A kiedy w ogóle ktokolwiek oddawał sprawiedliwość kobietom, *señor* de Capdévila?  
Serio uniosła dłoń do ust. Jane spokojnie wytrzymała wyniosłe spojrzenie czarnych oczu mężczyzny, ale zauważyła drżenie w kącikach jego ust.  
- W najbliższą niedzielę wyjeżdżamy na południe - powiedział. - Czy może być pani gotowa do tego czasu?  
- Już teraz jestem gotowa - zapewniła go Jane.

- Tak - mruknął. - I to na wszystko, sądząc z pani wyglądu. Zobaczył, jak jej wyraziste usta zaciskają się, a oczy za przyciemnionymi okularami ciskają w niego błyskawice. Zastanowiło go, jaki mogły mieć kolor. Nie odezwała się jednak.

- Alicio, chcę zamienić z tobą słówko. Wybacz mi pani, panno Elliot? Proszę wypić kieliszek sherry. - To był rozkaz, nie zaproszenie. - Każę ją pani przysłać.

Wziął bratową pod rękę i wyprowadził ją z pokoju. Wydawało się, że bezradnie trzepocze w jego uścisku, jak ćma oślepią jasnym światłem.

Arogancki brutal, pomyślała Jane z nienawiścią. Hiszpanie zawsze wierzyli - i od kołyski wychowywano ich tak, żeby w to wierzyli - że są prawdziwym darem bożym dla kobiet. A don Luis z pewnością był gorliwym wyznawcą takiej teorii. Gotowa na wszystko, rzeczywiście! Nie warto udawać bezradnej kobietki, kiedy się ma metr siedemdziesiąt osiem wzrostu i stosowną do tego budowę ciała. Tę rolę lepiej odgrywała *señora* i podobne do niej kobiety.

Ojciec ostrzegał Jane już w bardzo młodym wieku: „Moja droga, musisz nauczyć się być samowystarczalna. Tego oczekuje się od kobiet o twoich rozmiarach”. Tak też zrobiła i zawsze była mu wdzięczna za to ostrzeżenie. Nie potrzebowała nikogo. Z pewnością nie można jej było nazwać bezradną, ale też nie wynosiła się nad innych. Po prostu lubiła jak najlepiej robić wszystko, do czego się zabierała, a to już wiele znaczyło. Wiedziała, że nie może liczyć na to, by mężczyźni przyszedli jej z pomocą: w końcu nigdy nie sprawiała wrażenia, że tego chce.

Podeszła do bogato zdobionego, złoczonego lustra, wiszącego na ścianie, i spojrzała na swoje odbicie. Nie, nikt nigdy nie wziąłby jej za bezradną kobietkę. Wyglądała na osobę, którą naprawdę była: silna, zdrowa, dobrze zorganizowana, sprawna. Gęste, ciężkie włosy, o srebrnozłotym połysku, zaczesane do tyłu i zebrane w ciężki węzeł, odsłaniały twarz o zdecydowanych rysach. Miała wysokie kości policzkowe i szczupłe policzki, a oczy chowała za dużymi, przyciemnianymi okularami. W Hiszpanii musiała je nosić przez większą część dnia, bo mocne światło słoneczne raziło ją. Usta miała szerokie, ale pięknie wykrojone, a wargi zmysłowe. Cera też była bez zarzutu. Prawdziwie angielski odcień: brzoskwiniowokremowy, który po kilku tygodniach spędzonych pod mocnym słońcem południa zmieni się w ciemne złoto. Nie była piękna - nie, z pewnością nie - ale energiczna, porażająco pełna życia, zwłaszcza po tym, co usłyszała od tego odpychającego, aroganckiego człowieka. Figurę też miała wspaniałą: szerokie ramiona, długie nogi. Tak, pewnie miał rację, naprawdę przypominała amazonkę. Szkoda tylko, że brakowało jej dzidy, którą zagłębiłaby w jego szerokich plecach.

Zapukano do drzwi i do pokoju wszedł ubrany na biało służący z tacą i kieliszkami.

- *Con su permiso, señorita\**. - Przeszedł przez pokój, żeby nie musiała się facygować sama.

Taca była srebrna, wspaniałe wyrób z osiemnastego wieku, a kieliszki kryształowe, wybornie rżnięte i bardzo kruche. O tak, ta rodzina miała pieniądze. Profesor mówił jej: „Bardzo bogata, bardzo potężna rodzina, cała pod kontrolą Luisa de Capdévili. Jorge sporo odziedziczył, ale na razie jego wujek Luis stoi u steru, a jest bardzo dobrym sternikiem.”

Tak, pomyślała ponuro Jane. Widziałam go już w tej roli. Sącząc rozkoszną wytrawną sherry, spacerowała po uroczym, wysokim pokoju, pełnym cennych drobiazgów. Już sam adres: calle de Velazquez, najbardziej elegancka i najdroższa dzielnica Madrytu, uzmysłowił jej, czego może oczekiwać, ale mimo to zrobiły na niej wrażenie piękne, ciężkie hiszpańskie meble, autentyki z osiemnastego wieku, wspaniałe kryształowy żyrandol, unikatowe okazy francuskiej porcelany, srebrne czary pełne świeżych kwiatów - zawsze drogich w jej ojczyźnie, gdzie trudno było je wyhodować - a przede wszystkim obraz Goi, *pendant* do tych, między którymi przechodziła w korytarzu. O tak, z całą pewnością były tu pieniądze. Wszystko o tym mówiło, wszystko było bogate, najlepszej jakości, nawet służący o miękkiach głosach i cichych krokach. Kieliszek, z którego piła sherry, wykonano z ręcznie rżniętego szkła. Słońce wpadające przez otwarte okno krzesło w nim iskry. Stała, podziwiając obraz Goi. Czyżby przodek Luisa de Capdévili? Przystojna, choć arogancka twarz mężczyzny na obrazie miała to samo zadumane spojrzenie.

- A wiesz, jaki jest Jorge - głos dochodził bardzo wyraźnie przez otwarte okno z niedalekiej odległości, najprawdopodobniej z sąsiedniego pokoju, w którym okna również były otwarte.

- Owszem, wiem. - Głęboki głos był suchy jak kurz. - Nic, co nosi spódniczkę, nie jest bezpieczne w promieniu tysiąca kilometrów. Ale nie sądzę, żebyśmy musieli martwić się o pannę Elliot. Bez trudu utrzyma Jorgego w ryzach. Jest od niego większa i dlatego wątpię, czy Jorge odniesie jakiś sukces. A poza tym on woli małe kociaki. Ten kociak jest wielki i raczej przypomina tygrysa. Na pewno umie drapać, a może nawet gryźć.

---

\* *Con su...* (hiszp.) - Za pozwoleniem, panienko.

Jane gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Według mnie jest czarująca - zaprotestowała *doña* Alicia.

- To dlatego, że zależy jej na tej posiadłości. A jest to praca warta zachodu, moja droga Alicio. Nie zechce przepuścić okazji mieszkania z rodziną Capdévila na równych prawach przez całe lato.

- Ma świetne referencje - obstawała przy swoim *señora* - a Maria Jose bardzo ją chwaliła za sposób, w jaki radziła sobie z jej chłopcami w zeszłym roku.

- Mogę uwierzyć w to, co mówił mi o niej John Harris, i w to, co mówi twoja przyjaciółka, Maria Jose, ale nie chcę, żeby wbijała Inés do głowy bezsensowne pomysły o równouprawnieniu kobiet.

- Inés ma dopiero dwanaście lat i przecież wcale o tym nie dyskutowaliśmy - broniła się *señora* wiedząc, że przegrywa bitwę.

- Nie trzeba o tym dyskutować. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że to kobieta, która uważa się za równą każdemu mężczyźnie.

Bo jestem im równa, pomyślała wściekle Jane, z trudem łapiąc oddech.

- Te kobiety w typie amazonek zawsze takie są. W końcu, to jedyna postawa, jaką mogą przyjąć, skoro i tak nikt nie uwierzy, że potrafią być naprawdę kobiece.

Jane niemal upuściła kieliszek. Wściekłość tak ją rozgrzała, że prawie widać było bijący od niej blask. Ze wszystkich nieznośnych, aroganckich, chamskich męskich szowinistów... Wychyliła całą sherry, podeszła z powrotem do tacy i nalała sobie następną porcję, którą wypila jednym haustem. Alkohol spłynął prosto do pustego żołądka, bo zasnęła i nie zdążyła tego ranka na śniadanie, a potem wartki strumień krwi porwał go prosto do głowy. Oczy zalśniły od łez wywołanych wściekłością. Pokój rozplątał się w lekkiej mgiełce. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i otarła łzy grzbietem dłoni. Oczy miała zielonozłote, w świetle słońca niemal żółte, ale w tej chwili błyszczały zielenią od gniewu i poniżenia. Rozświetlały całą jej twarz, a kiedy odwróciła się na pięcie w kierunku wchodzącego do pokoju mężczyzny, ten aż wstrzymał oddech. Jej oczy przeszywały go, ożywione dumą i gniewem. Zobaczył oczy o barwie czystej zieleni, z małymi złocistymi plamkami, jak u kota. Teraz też, podobnie jak kot, najeżyła się ze złości.

Co się stało, co mogło spowodować tak nagłą zmianę? Potem zauważył otwarte okno i kiedy znowu na nią spojrzął, na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

Usłyszała to, co mówił. I nie spodobało jej się. Cóż... jak mówi angielskie przysłowie: ten, kto podsłuchuje, nigdy nie usłyszy o sobie nic dobrego. Ale, *Dios*, jakaż ona jest wspaniała, kiedy już wyjdzie spoza wysokiego muru angielskiej powściągliwości.

- Panno Elliot - powiedział z żartobliwą łaskawością. - Uważam, że Jorge może jedynie skorzystać na wszystkim, czego go pani nauczy.

- Co do tego, nie mam żadnych wątpliwości - odparła Jane ze słodyczą zaprawioną jadem. - Ale z pewnością nie do pana należy decyzja w tej sprawie. Jorge jest synem *señory* Alicii de Capdévila.

- Oraz moim podopiecznym. Jestem również jego kuratorem. W tej rodzinie decyzje należą do mnie. Byłoby dobrze, gdyby pani to rozumiała.

Jego głos był miękki, uśmiech uprzejmy, ale Jane zadrżała w głębi ducha, słysząc ukryte w nim ostrzeżenie. Jednak pędziła już na oślep w poszukiwaniu zadośćuczynienia za swoją zranioną dumę i próżność. Przestała zważać na znaki ostrzegawcze.

- A jaka byłaby kara, gdybym się jednak pomyliła? - zapytała jedwabistym głosem. - Publiczne spalenie na stosie?

*Señora* gwałtownie wciągnęła powietrze, ale Luis de Capdévila stał spokojnie i tylko przyglądał się intensywnie Jane.

- Widzę, że zna pani historię Hiszpanii - pochwalił ją. Miał na myśli króla Piotra Okrutnego, który, kiedy jakaś kobieta nie chciała mu ulec, kazał ją palić publicznie na rynku. - Ale chyba się pani zapomina - dodał zimno, chociaż mogłaby przysiąc, że znów zauważyła drżenie w kąci jego ust. Jeszcze raz się z niej wyśmiewał? Demon!

- W pana towarzystwie? Nigdy! - Jane kipiała gniewem. - *Señor* de Capdévila, pan sprawia, że aż za bardzo uświadamiam sobie, że jestem istotą ludzką, która przypadkiem jest także kobietą. A to nie ma żadnego wpływu na moje zdolności. Niech mnie licho, jeśli uznam pana wyższość tylko dlatego, że pan jest mężczyzną. Ja jestem równie zdolna, równie inteligentna i sprawna jak wszyscy mężczyźni, których do tej pory spotkałam, a jeżeli oczekuje pan, że stracę szacunek dla siebie i zacznę uwielbiać mężczyzn tylko dlatego, że są mężczyznami, to marnujemy tu czas. Fakt, że jestem „amazonką” w niczym nie ujmuje mi kobiecości!

Odwróciła się w stronę przerażonej *señory*, która ze zgrozy zamarła w bezruchu. *Ay...* panno Jane, pomyślała z rozpaczą. Właśnie zrezygnowała pani z dobrej pracy... a Jorge czułby przed panią respekt!

Ale Jane nie umiała teraz myśleć racjonalnie. Zdenerwowanie i gwałtowne emocje opanowały ją

już całkowicie. Wielkie oczy błyszczały od powstrzymywanych łez, jednak głowę trzymała wysoko i udało jej się odezwać całkiem spokojnym głosem, kiedy odwróciła się ku *señorze*.

- Przepraszam. Wiem, że to z mojej strony nieuprzejme. Nie miałam zamiaru tak źle się zachowywać, pani była dla mnie bardzo miła. Przykro mi z powodu tej posady. Dla pani mogłabym pracować! - Ostatnie słowo zadźwięczało z siłą kościelnego dzwonu. A potem już jej nie było. Wybiegła, i usłyszeli tylko trzaśnięcie frontowych drzwi.

Jane, oślepiąca przez łzy i chora ze zgrozy na samą myśl o tym, jak doprowadzono ją do tego, żeby sama się pograżyła, zdążyła dojść aż do Castellana, zanim uświadomiła sobie gdzie jest. Straciła panowanie nad sobą i zrezygnowała ze wspaniałej pracy. Ale on okazał się taki denerwujący, arogancki, okrutny i bez serca.

Zaszlochała tak, że zabrakło jej tchu. To Hiszpania, upomniała samą siebie. Musisz tolerować pewne rzeczy. Mężczyźni są tacy, jacy są, dlatego że tak wychowały ich kobiety, przychyłając się do każdej zachcianki, spijając z ust każde słowo, zgadzając się na każde żądanie. Potrzebują ich adoracji jak tlenu do życia.

Teraz czuła się tak, jakby uszło z niej powietrze. Rozpalony do białości gniew gwałtownie ochłodził do temperatury zimnego cierpienia. Zrezygnowała z najlepszej posady, jaką jej kiedykolwiek zaoferowano. Z szansy, żeby żyć jak hiszpański grand, robić wszystkie rzeczy, które uwielbiała robić - a na dodatek zarabiać przy tym niezłą pensję, nie mówiąc już o znalezieniu czasu na dokończenie swojej pracy dyplomowej zatytułowanej „Romantyzm i okrucieństwo w literaturze hiszpańskiej”.

Ten tytuł pasowałby idealnie do mężczyzny, którego spotkała tego popołudnia: okrutny w zachowaniu i podejściu do ludzi; romantyczny, jeśli chodzi o jego wygląd. Bo też był bardzo przystojny, pod tym względem musiała oddać mu sprawiedliwość. Przy tym nieznośnie arogancki i pewny siebie. Znęcał się bez litości nad kobietą, matką dzieci. A dlaczego ta nie próbowała się bronić? Bo starannie ją wychowano tak, żeby się nie broniła, oto dlaczego - odpowiedziała Jane na własne pytanie.

A ty - mówiła sobie - zostałam wychowana przez ojca, który zawsze widział w tobie istotę ludzką, przypadkiem tylko płci żeńskiej, i który nauczył cię być z tego dumną i zawsze trzymać się prosto: na całe swoje sto siedemdziesiąt osiem centymetrów. Uderzył ją humor zawarty w tym stwierdzeniu, ponieważ miała niezawodne wyczucie absurdu, aż zaczęła uśmiechać się do siebie. Uśmiech przerodził się w stłumiony chichot, a potem roześmiała się na całe gardło, z radością balansującą na krawędzi łez. Przechodnie patrzyli na nią krzywo: jeszcze jedna zwariowana cudzoziemka. Z takimi włosami nie mogła być Hiszpanką.

- Cieszę się, że jesteśmy dla pani tacy zabawni - tuż przy jej uchu rozległ się głos.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła bladoniebieski jedwabny krawat i pięknie uszytą, nieco ciemniejszą koszulę. Twarz Luisa de Capdévila była pozbawiona uśmiechu.

- Zgadza się, szedłem za panią - powiedział tonem człowieka mówiącego o pogodzie. - Mamy kilka rzeczy do omówienia, pani i ja... Chodźmy.

Złapał ją, nie opierając się wcale, za ramię i poprowadził ku znajdującej się nieopodal kafejce. Wybrał stolik stojący samotnie z tyłu pod platanem i posadził ją.

Wtedy Jane odzyskała głos.

- Nie mamy o czym rozmawiać - oznajmiła zimno.

- Ależ oczywiście, że mamy. Musimy przedyskutować plan zajęć, jakie tego lata zorganizuje pani dla Jorgego.

Gapiała się na niego z otwartymi ustami. W oczach jak czarne cekiny błysnęło rozbawienie.

- Czemu, pan... - znowu wybuchnęła śmiechem. Jej opanowanie rzeczywiście rozpadło się tego popołudnia na kawałki. - Muszę panu przyznać - odezwała się w końcu - że ma pan duże poczucie humoru.

- Czyżby? - rzekł łaskawie. - Pani szczęście.

Wytrzymała spojrzenie błyszczących oczu. Naprawdę misi oczy jak neony.

- Nie żartowałam - zapewniła go sztywno.

- Ja też nie żartuję.

Przyglądali się sobie nawzajem, oceniając swoje siły. Ten mężczyzna umiał szybko myśleć i szybko się poruszać. Wypadało mieć się przed nim na bacności - to godny przeciwnik. Ale Jane uwielbiała zgiełk bitwy, a walka ubarwia życie. Podniecenie liznęło ją głodnym płomieniem. Lubiała zawody i ufała swoim umiejętnościom. Pokaże mu jeszcze, na czym naprawdę polega równość.

- Czego dokładnie oczekuje pan ode mnie, *señor de Capdévila*? - spytała szorstko.

- Teraz... czy kiedy lepiej się poznamy? Poczula, że jej twarz płonie. On z nią flirtuje! Urażona,



spojrzała na niego z tłumionym gniewem.

- *Ojos verdes* - powiedział bez związku. - Zielone oczy. - To wcale nie znaczy, że jestem o pana zazdrosna - stwierdziła z fałszywą słodyczą. Teraz on potrząsnął głową i roześmiał się, a ona odkryła, że jego śmiech dziwnie ją niepokoi.

- Myślę, panno Elliot, że w końcu nieźle się zgramy - uśmiechnął się szeroko.

- Nie lubię hazardu - odparła wyniośle.

- O, nie będziemy się zakładać co do ostatecznego wyniku tej gry - odrzekł z zimną krwią. Znowu zabrakło jej tchu.

- Proszę mi nie mówić, że brakuje panu wiary w swoje możliwości.

Uniósł brwi.

- W moje nie, lecz w pani.

Zabrakło jej słów, więc tylko patrzyła na niego zbита z tropu. W rzeczy samej, ten przeciwnik był jej wart.

Zupełnie, jakby mógł czytać w jej myślach, powiedział:

- Tak, nieźle zabawa, prawda? - a potem się uśmiechnął. Zamrugła gwałtownie oczyma. Miała wrażenie, jakby skąpano ją w świetle ultrafioletu. Przykryjcie go, bo razi oczy, pomyślała nieprzytomnie.

- Bardzo dobrze poradzi sobie pani z Jorgem - oznajmił lakonicznie. - Jest pani inteligentna, ma pani z pewnością poczucie humoru, cięty język i miłe wyczucie absurdu. Toteż Jorge nie będzie pani niepokoił.

- Nie ma pan zbyt wysokiego mniemania o bratanku - skomentowała kwaśno Jane.

Jego twarz gwałtownie się zamknęła, stał się całkowicie hiszpański: bardzo przystojny i daleki.

- Jorge jest bardzo młody, bardzo przystojny i bardzo bogaty. Pobłażała mu niemądra, pełna podziwu matka i rodzina, która skłoniła go do uwierzenia, że jest nieskazitelny.

- Typowy Hiszpan - niewinnie rzuciła Jane. Wzdrygnęła się pod spojrzeniem, jakie na nią rzucił.

- Panno Elliot, musi się pani jeszcze dużo nauczyć - odparł krótko.

- Bardzo szybko się uczę - zapewniła go poważnie. I zobaczyła, że jego wargi drgnęły.

- Biedny Jorge - powiedział ze smutkiem. - Można mu niemal współczuć.

- Znowu zakłada pan coś z góry - ostrzegła go Jane. - Nie przyjąłam tej posady.

- Ale przyjmie pani, prawda?

Zupełnie, jakby nacisnął przełącznik, znowu skąpał ją w świetle rozpalonego do białości uśmiechu. Był w nim jakiś erotyczny blask, który hipnotyzował i niemal paraliżował. Jak zdolny tłumacz przekładał jej życzenia na swoją wolę.

Już składała usta, żeby powiedzieć „Nie”, kiedy napotkała jego wzrok, a w głębi jego oczu zobaczyła coś, co sprawiło, że jej serce zatrzepotało w klatce żeber i zamarło sparaliżowane. Jakaś wiecznie kobieca część jej duszy zapytała głosem, którego nie poznawała.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Dlatego, że chciałbym tego.

- Chciałby pan? - Naprawdę, była równie okropna jak on, a nawet gorsza, dostosowywała się do jego wskazówek.

- Chciałbym...

Przełknęła ślinę, żeby pozbyć się dzwonięcia w uszach. Z pewnością był uzdolnionym tłumaczem. Miał już wszystko obmyślane, zanim ona na dobre zrozumiała, o co chodzi. Grał na niej jak prawdziwy wirtuoz na swoim ulubionym instrumencie: kobiecie. Gdyby odmówiła, zepsułaby wszystkie jego plany, dlatego też musiał zadbać o to, żeby nie odmówiła. Jeżeli oznaczało to posłużenie się jej kobiecością, to i lepiej, ale wszystko mogło służyć jako środek do upragnionego celu. Och, z całą pewnością był bezwzględny. Ale w końcu ona sprzedaje swoje umiejętności, i tak długo, jak długo on je kupuje, nie ma znaczenia, w jaki sposób to robi. To tylko wakacyjna praca, nie kontrakt na całe życie. I to praca wyjątkowo dobra. Zbyt dobra, żeby ją stracić. Była przecież taka zrozpaczona, kiedy wydawało jej się, że ją utraciła.

Wtedy wróciła do zwykłego świata nie zdając sobie sprawy, że przez cały czas patrzyła na niego i przez niego wcale go nie widząc, a jej zielone oczy pociemniały i nabrały głębi. Jego spojrzenie było teraz nieprzejrzyste, nie do odczytania. Płomień w nim zgasł. W niej także.

- W porządku - zgodziła się spokojnie, znów wchodząc w rolę zdolnej, kompetentnej Jane Elliot.

- W jakich dokładnie dziedzinach chciałby pan podszkolić Jorgego?

szlachcic, z tych, co to mają kopię w tulei, starodawną tarczę, chudą szkapę i gończego charta”\*

Stary dobry don Kichot, pomyślała czule Jane, patrząc na mijane ruiny zamków i wiatraki zakłócające gdzieś płaską linię horyzontu. Sceneria nie zmieniła się tu od czasów, kiedy don Kichot z nimi walczył. Spieczona słońcem ziemia czasami wydawała z siebie karłowate drzewko oliwne albo rzadkie plony, ale na ogół była po prostu żółta, pokryta grubą warstwą pyłu. W oddali widać było wieżę kościelną w wiosce, do której właśnie dojeżdżali, za nimi zniknęła wieża kościoła z poprzedniej wioski. Ogromnie wysoko zawieszono niebo było bardzo czyste, w kolorze bladego, spranego błękitu. Daleki horyzont odznaczał się ostro i twardo, a droga ciągnęła się bez końca przez marne kępki krzaków rosnące niby gęsta bródka pomiędzy nieskończonymi wydmami i dolinami. Słońce świeciło bardzo jasno: biało i oślepiająco, ale nie nabrało jeszcze pełnej mocy, więc o ósmej rano wciąż jeszcze było dość chłodno.

Wielkie, potężne lamborghini w kolorze świeżo wybitej pesety pomrukiwało sunąc po wielopasmowej autostradzie. Jorge siedział za kierownicą, a obok niego Jane cieszyła się dotykiem porannego wietrzyku na włosach.

Wyjechali z Madrytu o szóstej rano, żeby dotrzeć do Cabo de los Ángeles na obiad, czyli około trzeciej. Mieli przed sobą pięćset pięćdziesiąt kilometrów jazdy. Jane przespała ostatnią noc w mieszkaniu przy calle de Velazquez, bo czekał ich wczesny wyjazd. Poznała Jorgego przy kolacji i wywarła na nim dobre wrażenie.

Był zachwycony *la rubia alta* - wysoką blondynką - i od razu zaczął zwracać się do niej „panno Jane” tonem grzecznego ucznia, na którego z pewnością nie wyglądał. Tak naprawdę był to piękny nastolatek o cerze niemowlęcia, z gęstymi, ciemnobrązowymi włosami wijącymi się wokół głowy, niewiarygodnie dużymi brązowymi oczyma o miękkiem spojrzeniu i rzęsach, które łatwo można byłoby wziąć za sztuczne, tak były długie i kręcone. Przypominał aniołka z obrazów Murilla, jego uśmiech odsłaniający oślepiająco białe zęby miał tyle wdzięku, że mógłby wypełnić całe niebiosa. Natychmiast zaczął roztaczać cały ten wdzięk na użytek Jane, która jednak parowała każdy atak z największą uprzejmością, na jaką było ją stać, przez cały czas świadoma spoczywającego na niej rozbawionego wzroku Luisa de Capdévili. Robiła to tak dobrze i zręcznie, że *señora* straciła wszelkie obawy, jakie mogła mieć na widok długich nóg i niesamowitych włosów Jane oraz z powodu wrażenia, jakie mogły one wyrzucić na Jorgego. Rzeczywiście wywarły wrażenie, ale nie było szansy na nic więcej tak długo, jak długo Jane miała coś do powiedzenia na ten temat. *Doña Alicia* była w pełni usatysfakcjonowana. Miłe dziecko z tej Angielki:

dobrze wychowana, ma odpowiednie maniery, jest bardzo inteligentna, niesamowicie zdrowa i żywotna. Nie na darmo wydaje na nią jego pieniądze. Tak więc nie obawiała się pozwolić Jorgego jechać do Cabo jego własnym lamborghini, podczas gdy ona sama wsiadła do bentleya wraz z Luisem i bliźniętami. Jorge był świetnym kierowcą, chociaż jeździł bardzo szybko, a w potężnym samochodzie sportowym nie na wiele mógł sobie pozwolić, choćby nawet i za zgodą Jane.

Jane oczekiwała jakiegoś sardonicznego komentarza od Luisa de Capdévili, ale ten nie odezwał się ani słowem. Wydawał się zajęty czymś innym, co sprawiło, że poczuła irracjonalny zawód.

To wyjątkowo miła rodzina, pomyślała Jane. Bliźnięta są rozkoszne, z wyglądu bardzo podobne do swojej matki i wcale nie rozpieszczone, jak to często bywa z hiszpańskimi dziećmi. Bardzo chciały jechać w lamborghini, ale ich matka oraz Jorge byli nieugięci - każde z innych powodów - więc nie próbowały nalegać. Szczerze mówiąc, pomyślała Jane, miała wielkie szczęście, że udało jej się dostać tę pracę. Dzięki Bogu, że profesor Harris pozostał w kontakcie z dawną uczennicą.

Zatrzymali się w Aranjuez, i zjedli śniadanie w restauracji położonej przy brzegu rzeki i ocienionej przez wysokie topole. Podano im świeże truskawki i pyszne, gorące *ensaimadas*\*. Pili mocną hiszpańską kawę z mlekiem, którą Jane uwielbiała. Teraz zaś zbliżali się do Valdepeñas, skąd pochodziły słynne wina, i wkrótce już zaczęli podjeżdżać pod zbocza gór Sierra Morena, przekraczając je na przełęczy Despeñaperros.

Jorge opisywał Jane Cabo de los Ángeles.

- To długi, wąski półwysep z latarnią morską na samym końcu. Wybrzeże od strony łąd wychodzi na lagunę, która jest zawsze cicha, spokojna i kryształowo czysta. Można tam wspaniale polować z harpunem. Od strony morza jest fantastyczna plaża, idealna do surfowania. Potrafi to pani, panno Jane? Mam nadzieję, że nie, bo bardzo chciałbym panią nauczyć... tyłu rzeczy mam nadzieję panią nauczyć tego lata, panno Jane.

Mogę się założyć, że masz, pomyślała oziębła Jane, ale powiedziała tylko:

---

\* Miguel de Cervantes Saavedra: *Don Kichot*. Przekład Anny Ludmiły Czerny i Zygmunta Czernego.

\* *Ensamada* (hiszp.) - bułka z francuskiego ciasta, na wierzchu ozdobnie zawijana.

- Nie, nigdy nie uprawiałam surfingu i z przyjemnością się nauczę. Ale to ja jestem nauczycielką, Jorge, i przede wszystkim będziesz się doskonalił w angielskim. Od tej chwili ty i ja nie będziemy ze sobą rozmawiać inaczej, jak tylko po angielsku. Ani słowa więcej po hiszpańsku. Ani słowa.

- Ach, ale panno Jane, chciałbym powiedzieć pani tyle rzeczy, które niełatwo powiedzieć po angielsku, poza tym po hiszpańsku brzmią o wiele lepiej.

- Po angielsku - powtórzyła Jane twardo. - A teraz opowiedz mi o Cabo de los Ángeles.

- Cóż... dom stoi na plaży, jest biały i prawie całkiem otoczony wysokim murem, front wychodzi na morze. Można nurkować prosto z werandy. Z tyłu jest piękny ogród - duma i radość mamy. Są tam róże, goździki, jaśmin, maki i bugenwilla oraz stara studnia. *Tio Luis* nieraz groził, że mnie do niej wrzuci, jeżeli będę niegrzeczny.

- Nie wątpię, że groził tak przynajmniej raz dziennie - docięła mu Jane.

Popatrzył na nią z wyrzutem.

- Jak mogła tak pani pomyśleć - szepnęła, nie mogąc oderwać wzroku od niewiarygodnych włosów i długich, wspaniałych nóg. Hiszpańskie dziewczęta miały na ogół krótkie nogi. A ta tutaj była taka wysoka! Niesamowicie go intrygowała. No i te włosy... ten kolor, bardzo rzadki w Hiszpanii.

Jane czuła na sobie jego wzrok. Potem spróbuje użyć rąk, to tylko kwestia czasu. I w tym właśnie względzie będzie musiała zachować dużą ostrożność. Jeżeli potraktuje go jak osiemnastolatka, którym w końcu jest, i powie mu, żeby „dorósł”, on pogniewa się na nią i nie będzie już mowy o nauce. Sztuczka polegała na tym, żeby utrzymać w rozsądnych granicach jego podziw - oraz jego ambicję. Całe szczęście, że ojciec nauczył ją grać w szachy. Przez cały czas będzie musiała obmyślać przynajmniej jeden ruch naprzód.

Wspinali się teraz drogą pod górę, a wielkie auto pędziło bez trudu w kierunku marmurowych skał wznoszących się nad nimi jak wieże.

- Zatrzymamy się na szczycie i pokażę pani widok - obiecał Jorge i tak też zrobili, zjechawszy na pobocze. W oddali widzieli pokryte śniegiem szczyty na skraju Granady, a poniżej opadały w dół grzbiety porośnięte gęsto dębami, wiązami, dębami korkowymi, wawrzynami, ogromnymi ostami oraz tak dużą ilością dzikich ziół i kwiatów, że powietrze odurzało, wypełnione ich zapachem. Po zboczach spływały do wielkiego Gwadalkiwiru drobne górskie potoki.

- Panno Jane, proszę spojrzeć: orzeł. Jane uniosła wzrok i zobaczyła ptaka okrążającego najwyższe turnie.

- To dobra okolica do polowań - powiedział Jorge. - Są tu samy, górskie kozły i nawet wciąż trochę wilków, chociaż niewiele ich już zostało.

Wsiedli z powrotem do samochodu i Jorge ruszył w dół zbocza w kierunku równiny, która leżała już w Andaluzji.

Od kiedy opuścili Madryt, nie widzieli śladu bentleya.

- Luis jechał tą drogą tyle razy, że robi to prawie automatycznie - powiedział Jorge - i bardzo szybko. Ale mnie się nie spieszy do końca podróży z panią, panno Jane.

Jane zdecydowała, że takie zachowanie trzeba szybko zdusić w zarodku.

- Pozwoliłbyś mi poprowadzić twój samochód? - zapytała, żeby skierować jego uwagę na inne tory i ani przez chwilę nie przypuszczając, że mógłby się zgodzić. Samochody Jorgego były dla niego jak talizmany.

- Jeździła już pani kiedyś sportowymi autami?

- Tak, samochodem brata. Ma astona martina. Właściwie to on nauczył mnie prowadzić. To Mark Elliot, kierowca rajdowy.

- *Hombre!*\* - powiedział Jorge ze zmienioną nagle twarzą. - To pani brat! Widziałem, jak wygrywał Grand Prix w rajdzie Monako... to wspaniały kierowca! Jeżeli on panią uczył, panno Jane, to z pewnością może pani poprowadzić mój samochód.

Zwolnił i zjechał na pobocze. Jane chciała otworzyć drzwi i wysiąść, ale ją zatrzymał.

- Nie, nie trzeba. Proszę przejść nade mną.

Rękami chwycił ją w pasie i przeciągnął nad sobą. Był zaskakująco silny. Przez chwilę przytulał ją do siebie, a potem odsunęła się i usiadła na siedzeniu kierowcy, podczas gdy on przesunął się na zwolnione przez nią miejsce.

- Zaraz... niech popatrzę. - Jane uważnie obejrzała tablicę rozdzielczą i pedały. - Tak... widzę... zapłon, pedały... biegi...

Zapaliła i skierowała samochód z powrotem na drogę. Pod jej rękami motor mruczał jak zadowolone zwierzę. Ostrożnie zwiększyła szybkość, wykorzystując ogromne możliwości silnika, i

---

\* *Hombre* (hiszp.) - mężczyzna, człowiek; również okrzyk zdumienia: coś takiego!

wsunęła się na szybszy pas. Maszyna była pierwszej klasy, a ona z łatwością sobie z nią radziła. Dodało jej to animuszu. Zawsze lubiła szybkość. Jorge pomyślał, że wygląda jak dzielna Walkiria. Cóż to za kobieta! Czy jest coś, czego jeszcze nie próbowała? Sprawiała, że dziewczyny, które znał do tej pory, zdawały się w porównaniu z nią podobne do miauczących kociaków. To dopiero kobieta!

Po jakimś czasie Jane ujrzała w oddali sylwetkę bentleya. Autostrada skończyła się jakiś czas temu, a obecna droga była cichsza, z mniejszym natężeniem ruchu, chociaż mijali tu sporo masywnych ciężarówek, które widziało się na wszystkich drogach Hiszpanii. Przez jakiś czas zadowalała ją podążanie za bentleyem, ale potem przed nią pojawił się odcinek pustej drogi i poczuła pierwszą iskierkę pokusy, która rozjarzyła się jasnym płomieniem na widok rodzinnego samochodu, pewnie sunącego do przodu.

Niemal instynktownie przycisnęła pedał gazu, dokładnie oceniając szybkość i odległość. Drzewa migwały po obu stronach drogi coraz szybciej i szybciej, opony śpiewały w równym rytmie, a droga przesuwała się pod kołami. Kiedy byli już blisko bentleya, Jane zobaczyła dzieci wyglądające przez tylną szybę i mówiące coś z podnieceniem. Mogła to sobie wyobrazić: „*Mama, tío Luis!* Panna Jane prowadzi samochód Jorgego i zaraz nas wyprzedzi!”

To było przekorne i dziecinne z jej strony, ale... och, takie satysfakcjonujące, kiedy zrównała się z bentleyem, zobaczyła zaskoczoną minę *doni* Alicii i przelotnie ujrzała zarys surowego, pięknego profilu Luisa oraz wściekły błysk w czarnych oczach, i już ich mijala. Jeszcze tylko drwiąco zatrąbiła klaksonem i poczuła pęd powietrza, gdy pomknęli do przodu zostawiając bentleya daleko za sobą, aż wreszcie zniknął w tumanie kurzu.

- *Estupendo!* Cudownie! - krzyknął zachwycony Jorge. - Panno Jane, jest pani wspaniała! Cóż to będzie za lato...

Jorge przejął kierownicę na ostatnim odcinku, ponieważ znał drogę. Dokładnie o trzeciej podjechali pod wysoki, biały mur, zakończony żelazną bramą, za którą widać było patio gęsto zarośnięte zielenią i kwiatami, przyozdobione wyłożoną kafelkami fontanną, w której pluskała chłodna woda, i ocienione palmami. Za oszklonymi drzwiami zasłoniętymi delikatnymi, białymi firankami zapraszał do środka chłodny dom o białych ścianach i posadzkach z kafelków, pachnący słodko kwiatami, aromatycznym olejem z oliwek, czosnkiem i świeżo pokrojonymi pomidorami: obiad był już gotowy. Przed domem, u stóp szerokiej, zadaszanej werandy, rozciągało się błękitne, kuszące morze. Jane miała ochotę zdjąć ubranie i zanurzyć się w nim natychmiast. Kiedy znalazła się na górze, w swoim całkowicie białym pokoju z oknem wychodzącym na morze, zdjęła spódnicę i bluzkę i przebrała się w granatowy kostium Speedo. Była głodna, podekscytowana i naładowana energią, której musiała jakoś się pozbyć. Zbiegła z drewnianych schodów, w kilku krokach minęła werandę i nie zatrzymując się skoczyła na głowę prosto w fale. Mocnym kraulem przepląnęła w kierunku platformy do nurkowania, którą zauważyła zakotwiczoną w odległości około dwustu trzydziestu metrów. Leżała tam schnąc na słońcu, kiedy z wody obok niej wynurzyła się głowa Jorgego.

- Kto nauczył panią pływać, panno Jane? Mark Spitz? Roześmiała się i próbowała spryskać go wodą, ale złapał ją za rękę.

- Niech mnie pani złapie, jeśli pani potrafi - zawołał i już go nie było. Odplłynął, lśniący jak foka i równie szybki.

Jane wstała i jednym gibkim ruchem wskoczyła do wody czując, jak otwiera się przed nią chłodna, ale nie zimna, niczym pieszczoła. Ostatnia myśl pobudziła ją tak, że wyprzedziła Jorgego - jej ramiona i nogi były dłuższe - i pierwsza dotarła na werandę. Położyła na niej dłonie, żeby podciągnąć się i wyjść z wody, kiedy znikąd pojawiła się ręka, złapała ją i wyciągnęła na brzeg. Kiedy otarła oczy, zobaczyła Luisa de Capdévile. Wyglądał nieskazitelnie elegancko w bładoniebieskich spodniach i granatowym blezerze włożonym na białą koszulę rozpiętą przy szyi, z jedwabnym szalem wsuniętym za kołnierzyk. Był wściekły. Czarne oczy płonęły jak dwa węgle, niemal wypalały jej piętno na czole. Ostrożnie napięła mięśnie odgarniając włosy. Woda wciąż się z niej lała i w nylonowym kostiumie kąpielowym przypominała syrenę. Kostium zabudowany z przodu i mocno wycięty na plecach ukazywał doskonale wysportowane młode ciało, wspaniałe ramiona, nieskończenie długie nogi. Wynurzający się za nią Jorge pomyślał, że wygląda jak sama bogini morza, i miał zamiar jej to powiedzieć, kiedy dostrzegł twarz wuja.

- *Hombre!* - pomyślał i zanurkował, na wszelki wypadek schodząc wujowi z oczu.

- I cóż, panno Elliot? - Głos Luisa de Capdévili był cichy, ale Mięśnie miał sprężone jak do skoku. - Co ma pani do powiedzenia?

- O czym? - ostrożnie spytała Jane.

- O wariackim wyczynie w samochodzie: mój bratanek idiota pozwolił pani prowadzić bardzo

szybką, potężną i niebezpieczną maszynę z bardzo dużą prędkością na drodze, która widziała już aż za wiele nieszczęśliwych wypadków!

- Rozumiem - powiedziała z pogardą Jane. - Uważa mnie pan za kogoś, kto naraża się na wypadek!

- Szybka jazda obcym, sportowym samochodem na nieznaną drogę jest ryzykowna i przyznaję, że Jorge powinien był o tym wiedzieć, ale pani, panno Elliot, nie jest dzieckiem i nie powinna go namawiać na coś takiego.

- A w jaki sposób doszedł pan do wniosku, że go namawiałam? - zapytała Jane niebezpiecznie spokojnym głosem. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Widziałem, w jaki sposób na panią patrzy. Podskoczyła.

- Ale jeszcze wczoraj mówił pan, że tak nie będzie. Powiedział pan, że on woli kotki od tygrysy, że mam pazury i zęby! - Jej oczy paliły zielonym ogniem, kiedy z furią dodała dźwięcznym głosem: - Potrafię dobrze prowadzić, nauczył mnie tego mój brat, a jest nim Mark Elliot, kierowca wyścigowy. Chyba zgodzi się pan, że on z pewnością wie co mówi, kiedy twierdzi, że bardzo dobrze radzę sobie za kierownicą. Prowadziłam szybkie samochody, odkąd skończyłam osiemnaście lat, i nie podejmuję niepotrzebnego ryzyka! - Jej głos drżał z gniewu. - Proszę mi zrobić grzeczność i przyjąć do wiadomości, że parę rzeczy potrafię! Nie robię niczego po prostu dlatego, że przyszła mi na to ochota! Jeżeli już czegoś się podejmuję, to tylko kiedy wiem, że umiem to zrobić! Prowadziłam samochód Jorgego dlatego, że wiedziałam, że jestem w stanie to robić, a nie dlatego, że tak mi się wydawało. Czemu upiera się pan przy twierdzeniu, że wciąż próbuję coś udowodnić! Nie potrzebuję niczego udowadniać - ani panu, ani nikomu innemu!

- Kłamczucha - mruknął, już bez złości. - Z jakiego innego powodu mogła pani to zrobić?

- Dlatego, że chciałam - rzuciła z wściekłością.

- W tej rodzinie robi się to, co ja chcę - powiedział głosem, który mógł wywołać gęsią skórę.

- Jeżeli moje zachowanie panu nie odpowiada, można ten problem łatwo rozwiązać - odparła, wciąż wściekła. - Jeśli nie ma pan ochoty mnie zatrudniać, wystarczy powiedzieć, a natychmiast wyjadę.

- Wyjedzie pani, kiedy pani każę - oświadczył spokojnie. W zadziwiający sposób znikł gdzieś promieniujący z niego żar. Był teraz odprężony i swobodny, akurat kiedy ona rozgrzała się do białości własną furią.

- Czemu nie powiedziała pani, że Mark Elliot to pani brat? - zapytał lekkim tonem. - To bardzo dobry kierowca i nie wątpię, że dobrze panią nauczył. Ale w końcu - jeszcze raz zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu - wszystko robi pani świetnie, prawda?

Odwrócił się na pięcie.

- Niech się pani lepiej przebierze. Obiad już gotowy.

- Och - kipiała cała ze złości. Ten... ten... facet! Nie do zniesienia, arogancki...

Zgrzytając zębami pobiegła na górę przeskakując po dwa stopnie naraz. Zasapana dotarła do sypialni. Miała dziką ochotę czymś rzucić - najchętniej w niego. To będzie szczególne lato - ilekroć się spotkali, zawsze kończyło się tak samo. Czemu tak uparcie ją drażnił? Jakby głąskał kota pod włos. Wydawał się czerpać przyjemność z doprowadzania jej do pasji. W tym przypadku kosa trafiła na kamień i och, jakie krzesła iskry! Uważaj na ogień, Jane, powiedziała do siebie. Ten facet ma niską temperaturę zapłonu, podobnie jak ty w jego towarzystwie. A jednak było to dziwnie radosne i ekscytowało tak, że jej serce biło znacznie szybciej. Kiedy cesała się przed lustrem, jej twarz lśniła: zarumieniona z gniewu, ale pełna życia! Działał na nią jak zastrzyk z adrenaliny. Tyle że opłacało jej się ostrożnie stąpać po tym gruncie, więc odszukała *señorę*, żeby przeprosić.

- Naprawdę nie miałam zamiaru pani niepokoić - wyjaśniła, udając skruchę. - Nie miałam pojęcia, że będziecie państwo tak zdenerwowani.

- Ja nie byłam - zaskoczyła ją *doña* Alicia. - Jest pani bardzo dobrym kierowcą, zresztą od początku byłam tego pewna. To Luis się zdenerwował. „Tej dziewczynie przydałoby się przetrzepać skórę”, tak mi powiedział. Nie jest przyzwyczajony do takiej... niezależności, takiej odwagi, panno Jane. Ale powiedział, że ma pani sal...

Jane zdumiała się, bo z całą pewnością był to duży komplement. Mieć sal znaczyło dla Hiszpana, że było się kimś lepszym niż inni:

mieszkanką nonszalancji i rześkości, szybkich ripost i dziecinnych kaprysów. Oznaczało to wyrazistą, wyjątkową osobowość.

- Panno Jane, jak ja pani zazdroszczę! - kontynuowała seriom. - Tyle swobody, tyle możliwości... Gdybym tylko mogła robić choć połowę tego co pani z tak naturalną łatwością... ale nigdy mi na to nie pozwolono. Zawsze pilnowana, zawsze pod kontrolą... miała pani dużo szczęścia, panno Jane.

Pod wpływem nagłego impulsu Jane pochylała się i ucałowała jej słodko pachnący policzek.

- Pani jest bardzo miła - powiedziała - i wszystko pani rozumie.

- Panno Jane... - *doña* Alicia położyła na jej ramieniu pięknie utrzymaną i upierścienioną dłoń. Zawahała się przez chwilę, po czym rzekła ostrożnie: - *Cuidado*, proszę uważać, żeby nie zrobić sobie wroga z mojego szwagra. Potrafi być bardzo twardy i nie przebacza. Jeżeli kogoś lubi, można mu powierzyć własne życie. Pani i on, zdaje się, zaczęliście znajomość dość niefortunnie. Nie jest przyzwyczajony do takich dziewcząt, nie są...

- Normalne? - zapytała sucho Jane.

- Często spotykane - zdecydowanie powiedziała *señora*. - Proszę postępować ostrożnie. W końcu zaakceptuje panią taką, jaka pani jest. Już teraz panią podziwia... o tak, naprawdę! - dostrzegła niedowierzanie na twarzy Jane. - Lubi ludzi, którzy mają odwagę trwać przy swoich przekonaniach, nawet jeżeli się z nimi nie zgadza albo nie wierzy, że są to przekonania właściwe.

- Tak, jak w moim przypadku? - skrzywiła się Jane.

- Może, jego zdaniem. Proszę dać mu czas. Jest pani... czymś nowym dla niego. Hiszpanki są o wiele bardziej...

- Służalcze?

- Posłuszne - poprawiła ją *señora*. - Nasza tradycja wymaga, aby kobieta była piękna, zajmowała się domem i troszczyła o dzieci, żeby była podziwiana, chroniona i...

- Zamknięta w klatce?

- Raczej kontrolowana. Słodki uśmiech i miękkie spojrzenie czasem mogą działać cuda.

- A co kryje się za uśmiechem? Co z pragnieniami, ambicjami, zdolnościami i... możliwościami? Czy mają być zmarnowane, odłożone na półkę wraz z pięknie haftowanym płótnem? Obawiam się, że nie w taki sposób mnie wychowano. Jedyłą rzeczą, jakiej nie potrafię, jest siedzieć spokojnie i doskonale haftować.

- Ale może przydałoby się trochę dłużej zastanowić, zanim zacznie pani działać - w każdym razie wtedy, kiedy jest tu Luis. Może to i lepiej, że nie będzie tu przez cały czas. Ja nie mam co do pani żadnych wątpliwości, polubiłam panią już w chwili, kiedy panią zobaczyłam, podobnie jak moje dzieci. Ale Luis...

- Rozumiem - ostrożnie powiedziała Jane. - I spróbuję. Naprawdę spróbuję. Już teraz czuję się z wami wszystkimi tak swobodnie... a ja naprawdę robię tylko to, co wiem, że potrafię zrobić.

- A ja widzę, że sporo pani potrafi - ciepło odparła *señora*. - Ale proszę być ostrożną, dać mu czas. Opamięta się.

Jednak tego wieczoru przy kolacji nic na to nie wskazywało. Był nienagannie uprzejmy, grzeczny, ale sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie. Schował się za hiszpańską etykietą, nieprzeniknioną jak gęsta mgła. Między obojgiem czuło się atmosferę skrepowania. Jane wiedziała, że obecna sytuacja jest dla niego trudna. Wychowano go w tradycji, która nie zmieniała się od tysiąca lat: kobiety są po to, żeby je rozpieszczać i podziwiać, liczy się ich wygląd. Było takie hiszpańskie przysłowie - a może powiedział to Goya? „Hiszpanka jest świętą w kościele, damą na ulicy i diabolicą w łóżku”. To powiedzenie idealnie je opisywało.

Czy takie właśnie lubił? Diablice w łóżku?

Musiała chyba patrzeć na niego w zamyśleniu, bo uniósł brwi spojrzawszy w jej stronę, aż spurpurowiała na twarzy i przeniosła wzrok na swój talerz, wciąż czując na sobie spojrzenie bystrych czarnych oczu.

Szanuj zwyczaje tego kraju i pamiętaj, że nie jesteś u siebie - upomniła siebie samą. Nie przynosć wstydu *señorze* ani jej rodzinie. Ludzie *sinvergüenza* - bezwstydni - są dla Hiszpanów szczególnie odrażający, a w ich oczach tak właśnie można określić wiele nowoczesnych kobiet. Może on jest staromodny i tego nie lubi.

Dama na ulicy... i diabolicą w łóżku. Wciąż przychodziło jej to na myśl. Czemu nie jest żonaty? Wybredny... albo może zaślepiony? Na pewno musi mieć gdzieś przyjaciółkę. Był zbyt przystojny i męski, żeby żyć jak mnich. Będzie musiała mieć oczy otwarte. Byłoby interesująco zobaczyć, jaki typ kobiet pociągał Luisa de Capdévile. Tymczasem jednak żałowała, że nie może przekonać go, iż nie angażuje się w walkę o zdobycie przewagi i po prostu jest taka, na jaką wychowali ją praktyczny i pragmatyczny ojciec oraz niecierpliwy starszy brat: jeżeli chciała zrobić coś razem z nimi, to w porządku, ale musiała się nauczyć robić to jak należy.

Następnego popołudnia Luis wyjechał do Madrytu. Jane czuła ulgę, że odjechał, ale, kiedy w ciągu kolejnych dni prowadziła rutynowe zajęcia z dziećmi, z zaskoczeniem stwierdziła, że wciąż o nim myśli. Rano po śniadaniu dwie godziny poświęcała na konwersację angielską z Jorgem. Utrzymywała wtedy żelazną dyscyplinę - i trzymała ucznia na bezpieczną odległość. Nie było to łatwe zadanie. Jorge postanowił zdobyć Jane i nie docierały do niego żadne argumenty.

Z tego powodu poczuła ulgę - jak również zaskoczenie - kiedy w piątek po południu, po powrocie z dziećmi z plaży, na której zbierali muszelki, zobaczyła siedzącego na werandzie Luisa de Capdévile. Jorge zawsze zachowywał się rozważniej, kiedy w pobliżu był jego wujek.

Luis wstał, kiedy weszli na werandę.

- Dzień dobry, panno Elliot. Dzieci roześmiały się.

- *Tío* Luis, nie nazywamy jej panną Elliot! To panna Jane.

- W porządku - dzień dobry, panno Jane. Poczuła na plecach dziwny dreszcz, kiedy usłyszała swoje imię w jego ustach.

- Nie mówiłeś, że przyjedziesz - skarciła go Inés. - Czemu nam nie powiedziałeś?

- Żeby was bardziej zaskoczyć - rzucił lekko, wciąż patrząc na Jane. Jego spojrzenie i uśmiech były przyjazne, więc trochę się rozluźniła.

- Jak długo zostaniesz? - zapytała Inés. Była małą dziewczynką, która lubiła znać wszystkie fakty.

- Do poniedziałku rano.

- Na ogół nigdy nie przyjeżdżasz na weekendy.

- Na ogół nie mogę znaleźć na to czasu.

- Ale teraz znalazłeś - rzeczowo stwierdziła Inés.

- Wolałabyś, żebym nie znalazł? Mam wrócić z powrotem do Madrytu?

- Nie! Nie! Chcemy, żebyś został. Prawda, panno Jane?

Jane zobaczyła błysk w onyksowych oczach.

- Prawda, panno Jane? - zapytał słodko.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała równie słodkim głosem i z zaskoczeniem odkryła, że rzeczywiście tak uważa. Jego obecność sprawiała, że życie stawało się bardziej podniecające, dodawała aromatu jej i tak już ostro przyprawionej egzystencji. Może będzie więcej bitew? Odkryła, że cieszy się na samo wspomnienie ich poprzednich walk. A on? Na pewno też. Z jakiego innego powodu mógłby przyjechać? Inés powiedziała, że na ogół nie pojawiał się w weekendy, a tysiąc sto kilometrów to spora odległość jak na trzydniową wycieczkę. Chyba, że chciał sprawdzić, jak Jane się sprawuje, czy nie robi z Inés wyznawczyni powszechnego równouprawnienia. Co prawda, zawsze można było zadzwonić. Nie było potrzeby, żeby sprawdzał ją osobiście. Czy też była?

Spokojnie, zatrzymaj się, upomniała samą siebie. Rzucasz się na wnioski, jakby były nagrodami w konkursie. Co ją obchodzą pobudki, jakimi on się kieruje? Przyjechał i to musi jej wystarczyć. Pracuje ciężko i potrzebuje odpoczynku, w końcu jest lato. Prawdopodobnie przyjechał, żeby odpocząć.

Ale nie odpoczywał. Poszedł pływać razem z nimi i zabrał ich na morze swoim katamaranem. A nawet pojechał z Jane i dziećmi na drugą stronę półwyspu, żeby Luisito, który chciał w przyszłości zostać biologiem i zajmować się morską fauną i florą, mógł poszukać interesujących okazów. Był zadowolony przedzierając się przez oczka wodne wśród skał, zbierając kraby, jeżowce, anemony, wodorosty i malutkie rybki. I to on znalazł konika morskiego. Zawołał Jane, która stała niedaleko.

- Proszę spojrzeć, mamy szczęście - *caballo del mar*. Trzymał go w obu dłoniach: drobniutkie, niewiarygodnie eleganckie bładozielone stworzenie ze zdecydowanie końskim kształtem głowy.

Jane westchnęła.

- Ach - powiedziała miękko. - Jaki cudowny!

- Nie widziała pani nigdy konika morskiego? - zapytał zaskoczony.

- Nie zamieszkują Morza Północnego - wyjaśniła mu ze smutkiem.

Luisito podszedł, żeby zobaczyć, co znaleźli.

- Szybko, panno Jane, plastikowa torebka.

Jane znalazła jakąś, napełniła ją do połowy morską wodą i otworzyła szeroko, żeby Luis mógł przełożyć do niej maleńkie stworzonko. Delikatnie przechylił złożone dłonie tak, że woda wraz z konikiem morskim przepłynęła do torebki. Kiedy to robił, palcami musnął dłonie Jane, która gwałtownie potrząsnęła torbą.

- Ostrożnie, panno Jane - upomniał ją Luisito. Jane z czerwoną twarzą, uważając, żeby nie spojrzeć na Luisa, zawiązała plastikową torbę kawałkiem drutu, a potem zabrała do dużego wiklinowego kosza, gdzie przechowywali pozostałe okazy. Trochę czasu zabrało jej ich wypakowywanie i przekładanie, nim wróciła do oczek wodnych wśród skał, tym razem po drugiej stronie zatoki.

Potem pojechał z nimi na *feria*, targ w wiosce, gdzie jedli gorące *churros*, racuszki i lody. Jorge i Jane współzawodniczyli na strzelnicy o butelkę szampana. Jane wygrała, a Luis wyzwał ją na pojedynek „z aktualnym mistrzem” i tym razem wygrał on.

- O włos - powiedziała prowokująco Jane.

- Ma pani bardzo dobre oko, panno Jane - przyznał z dawnym błyskiem. - Dwoje bardzo dobrych oczu.

Zaskoczona Jane odwróciła się czując, że zakręciło się jej w głowie.

W niedzielę wiał dość silny wiatr i Jorge poszedł zobaczyć, jakie są warunki do jazdy na nartach wodnych.

- Zbyt niespokojnie, panno Jane - stwierdził - ale fantastyczna woda do pływania. Nurkuje się prosto w wał wody, na chwilę przed jego załamaniem. Co za uczucie! Musi pani spróbować.

Jane spojrzała spod rzęs na Luisa.

- Nieźle pani pływa, ale to nie jest zabawa dla bojaźliwych...

To przeważyło szalę.

- Ani dla dzieci - stanowczo zawołała doba Alicia, kiedy wychodzili.

Było podniecająco; hałaśliwie, ale wesoło. Fale pędziły z łoskotem jak galopujące konie, a sztuczka polegała na tym, żeby wybrać właściwy moment tak, aby zanurkować w falę, ale wypłynąć po jej drugiej stronie. Parę razy źle wybrała i fala wyrzucała ją jak korek na plażę, z zawrotami głowy i bez tchu. Jedna z fal była tak wielka, że podniosła ją, załała całą, po czym ślepią i bezbroną rzuciła na kogoś, potoczyła oba ciała jak w pralce dookoła siebie, aż splątały się nogi i ramiona, żeby w końcu wyrzucić ich na plażę śmiejących się jak wariaci. Drugie ciało należało do Luisa.

Kiedy wyjechał w poniedziałek po śniadaniu, Jane od razu poczuła się dziwnie smutna i zadowolona jednocześnie. Nie potrafiła dokładnie ocenić, czego właściwie chce, ale w miarę, jak kończył się kolejny tydzień, zaczęła tęsknić żarliwie do weekendu. Nie miała już żadnych wątpliwości, że pragnie go znowu zobaczyć. Kiedy nie przyjechał w piątek wieczorem, czuła się taka nieszczęśliwa, że z trudem powstrzymywała łzy. Ale w sobotę rano zeszła na śniadanie i oto był, siedział przy stole pijąc kawę i czytając gazetę. Jej żołądek podskoczył do gardła. Z trudem łapała oddech, kiedy się odezwała:

- O, witam, kiedy pan przyjechał?

- Jakąś godzinę temu.

- Jechał pan całą noc?

- Oczywiście. Lubię prowadzić w nocy, to jak magia - poza tym drogi są spokojniejsze.

- Ale czy nie jest pan okropnie zmęczony?

- Już nie.

I poczuła, jak żar ogarniają niczym leśny pożar.

Niemniej jednak, pomijając uczucie fizycznej radości z jego przyjazdu, musiała przyznać, że był wspaniałym towarzyszem. Dzieci go uwielbiały, słuchały jego poleceń bez szemrania i bezgranicznie mu ufały. Wiedziały dobrze, jak daleko mogą się posunąć, zanim spod aksamitnej rękawiczki wyłoni się stalowa dłoń.

Seriom we wszystkich sprawach zdawała się na niego. Podobnie jak dzieci, wierzyła mu całkowicie. Tylko Jorge gryzł wędzidło, ale w ten sposób ranił jedynie siebie.

Wobec Jane Luis zachowywał się swobodnie i był czarujący - ach, jak czarujący - tak, że zanim się spostrzegła, jej serce już do niej nie należało. Jednak zachowała ostrożność, by nie raniła jej jego żelazna wola. Oboje, w cichym porozumieniu, trzymali się z daleka od zakazanego tematu, chociaż Jane zawsze dawała z siebie wszystko, co najlepsze, bez względu na to, co robiła.

Widząc, w jaki sposób Jane porozumiała się z dziećmi, señora przekonała się, że profesor Luisa miał rację: była naprawdę szczególną kobietą, która jak za dotknięciem czarnoksiężskiej różdżki, stawała się ostatnio również bardzo uroczą istotą. Szczupłe, o jedwabistej skórze ręce i nogi opaliła na brzoskwiniowożłoty kolor, włosy o srebrnym połysku, myte codziennie, żeby oczyścić je z soli, bo Jane nigdy nie pływała w czepku, były miękkie i lśniące, wielkie kocie oczy płonęły łagodnym światłem pochodzącym z wnętrza i rozjaśniającym całą twarz blaskiem, który zapierał dech. Poruszała się również z płynnym wdziękiem, tym bardziej zauważalnym, że zupełnie nie wystudiowanym.

Jorge był zaślepiony.

- Panno Jane, kwitnie pani jak róże mamy - powiedział któregoś wieczoru, kiedy zeszła na kolację w zwiewnej szyfonowej sukience w kolorze tych kwiatów: miękkich czerwieniach, stłumionych różowościach i kremach. Odwróciła się do niego z uśmiechem słodkim, choć przyćmionym. Dopiero pod spojrzeniem Luisa, który wszedł i popatrzył na nią, ciasno zwinięty pęk rozpostarł płatki i otworzył się w pełni, zwracając się w stronę słońca, jakim była dla niej jego obecność.

*Doña* Alicia martwiła się. Luis był oszałamiająco atrakcyjnym mężczyzną, ale stosunki z nim nie układały się łatwo nikomu. Panna Jane może zostać skrzywdzona. Utalentowany w dziedzinie flirtu



mężczyzna nie był równym przeciwnikiem dla dwudziestoczteroletniej dziewczyny, która ożywała na ich oczach i poddawała się jego wyćwiczonemu wdziękowi tak całkowicie, że aż przerażająco.

Luis nie był flirtiarzem i jego bratowa nigdy nie zauważyła, żeby z premedytacją chciał kogoś uwieść, ale przyjeżdżał teraz do Cabo de los Ángeles o wiele częściej niż zazwyczaj. W poprzednich latach poświęcał rodzinie jeden wolny weekend. Teraz pojawił się już podczas trzech weekendów z rzędu - a obecny był też wyjątkowo długi.

Panna Jane jest zachwycająca, to prawda, zwłaszcza teraz, poza tym potrafiła być zabawna i dawała się lubić. Zdrowa i niewymuszenie wdzięczna, była radością dla oczu. Señora widziała, jak Luis wodzi za nią oczami. Jorge też to oczywiście robił, ale z nim Jane potrafiła dać sobie radę. Luis to już inna sprawa - miał o dwadzieścia lat więcej doświadczenia, na ogół z kobietami bardzo różniącymi się od panny Jane: starszymi, bardziej wyrafinowanymi. Taka, na przykład, Queta dos Santos: piękna, doskonale elegancka, zawsze nienagannie ubrana, jej włosy i stroje stanowiły czasochłonne dzieła wielu wytrawnych mistrzów. Nie dla takich kobiet poplamione i wyblakłe dzinsy albo szorty, flanelowe koszule w kratę, długie gołe nogi w brudnobiałych sandałach, włosy zebrane z tyłu w niedbały kucyk, poza wieczorami, kiedy do kolacji Jane wkładała ładną sukienkę: wtedy związywała je w węzeł z tyłu głowy. Oczywiście tamte kobiety nie miały już dwudziestu czterech lat, nie były w stanie pokazywać się bez makijażu albo pozwalać, żeby ich nieskazitelne koafiuery moczyły się godzinami, a potem myć je pod prysznicem i dawać im wyschnąć na powietrzu, aż stawały się gęstym wodospadem srebrnego blasku, który Inés uwielbiała czesać i ozdabiać. Zaplatała tę ciężką masę w warkocz, a potem przystrojowała kwiatami: karmazynowym geranium, szkarłatnymi goździkami, czerwonymi różami i purpurową bugenwillą. Señora dostrzegła któregoś wieczora nagłą zmianę na twarzy Luisa, kiedy patrzył na Jane, i w głębi ducha zadrżała.

W tych dniach zauważyła w Luisie coś nowego - nie tyle ukrytego, co powstrzymywanego, jakby patrzył i czekał w niezdolnym skrępowaniu. Nigdy nie zachowywał się wobec Jane inaczej jak tylko z idealną poprawnością: dogadywał jej i rozbawiał ją, mówili słuchał zawsze z dużym zainteresowaniem. Najwyraźniej zakopali topór wojenny, obydwójce bardzo uważali, żeby nie zabłysnęła gdzieś stal, i stworzyli swobodną, obopólnie satysfakcjonującą przyjaźń, niemniej jednak - zwłaszcza po stronie Jane - *doña* Alicia dostrzegła subtelną zmianę, w miarę jak dziewczyna zaczynała widzieć w Luisie atrakcyjnego i wartego zainteresowania mężczyznę, co zwiększyło jej świadomość własnej kobiecości i, w konsekwencji, urok.

Bardzo martwiło to *señorę*, chociaż całkowicie ufała Luisowi. Nigdy nie zrobiłby niczego, żeby zranić, zepsuć, czy też pozostawić przykry smak. Nigdy nie bawił się kosztem innych. To nie było w jego stylu. Jednak dlaczego wracał tak często do Cabo de los Ángeles? Co było takiego w Jane, oprócz jej powoli rozkwitającej urody i uroku? Czego chciał? Czyżby Jane? Była od niego o wiele młodsza. Luis miał trzydzieści osiem lat; kobiety zawsze za nim szalały, a on wybierał najlepsze kąski, jak i kiedy chciał. *Doña* Alicia wyczuwała jednak, że z Jane nie będzie to takie łatwe ani bezpośrednie, jak w innych przypadkach. To ją martwiło, ale była zbyt mądra, aby mu o tym wspominać. Ufała mu i jedyne, co mogła zrobić w tej sytuacji, to czekać i obserwować.

Tak więc mijały dni. Jane codziennie pracowała z Jorgem i zgodnie z obietnicą nigdy nie mówiła do niego ani go nie słuchała, jeżeli rozmowa nie była prowadzona po angielsku. Tak samo postępowała z bliźniętami i w miarę, jak mijały letnie dni, polepszała się ich wymowa i swoboda wypowiedzi. Seriom uwielbiała leżeć na werandzie i słuchać wesołych rozmów Jane z dziećmi, kiedy razem budowali ogromny zamek z piasku, który miał nawet blanki i zwodzony most, a wieńczyły go trzepoczące na wietrze papierowe chorągwie, albo kiedy rozkładali ogródek z muszli, albo bawili się w morzu, albo nurkowali po pesety w kryształowo czystej wodzie laguny. Panna Jane okazała się prawdziwym skarbem.

Jorgego trzymała zawsze na bezpieczną odległość. Czasami było to trudne, bo w miarę jak ona rozkwitała, nasilał się też jego zapal. Wciąż próbował objąć ją w pasie, niby przypadkiem pocałować w kark, zboczyć ustami z jej policzka w kierunku ust. Nigdy nie pozwalała mu zostać ze sobą sam na sam: chodziła z nim na przyjęcia do jego znajomych, żeglowała z całą ich grupą, uczestniczyła w zabawach przy ognisku rozpalanym na plaży, ale chociaż coraz bardziej rozpalał się, nie wykazywała żadnej chęci wyciągnięcia go z nieszczęścia.

Pogoda była idealna: dzień za dniem bezchmurne niebo, gorące słońce, płaskie i łagodne morze. Ludzie w wiosce poznali już i polubili *la inglesa rubia*; jasnowłosą Angielkę, jej łatwość porozumiewania się w ich języku i miłość do wszystkiego, co hiszpańskie, przyjmowali jako komplement i doceniali tak samo jak *señora*. Ona z kolei wkrótce знаła już rybaków i jowialną parę prowadzącą jedyny sklep w wiosce: skarbiec zapachów, ponieważ sprzedawano tam wszystko od sznurka po solone dorsze, zewsząd zwieszały się girlandy czosnku, suszonych ziół i pikantnych kiełbasek, takich jak *chorizo* i *butifarra*. Były tam *jamón de serrano* z serami i świeżymi owocami,

smakowite *chirimoya* o nieopisanym smaku oraz błyszczące, czarne nasiona wielkich zielonych melonów i kiście słodkich winogron. Wraz z kucharką Antonią często wybierała się też o poranku na targi z rybakami o kraby, tuńczyki i małe skorupiaki, jak *chirlas* i *almejas* albo o *calamares*.

Cieszyła się wszystkim instynktowną, niezmaconą radością, która zdobywała jej sympatię otoczenia. Ceniła Hiszpanię i sposób życia jej mieszkańców do tego stopnia, że Luis de Capdévila któregoś wieczoru przy kolacji powiedział przekornie:

- Panno Jane, myślę, że musi pani mieć hiszpańską duszę. Spojrzała na niego z powagą.
- Czasami też mi się tak wydaje - powiedziała. - Nigdy nie czułam się tu jak w obcym kraju.

Hiszpania stała się moim drugim domem.

- Nie miałyby pani nic przeciwko temu, żeby zamieszkać tu na zawsze? - patrzył na nią uważnie.
- Nie, skąd! Zamieszkałabym tu z rozkoszą. Bez problemu. Uniósł brew.
- Bez problemu?

Odwzajemniła jego spojrzenie, a potem spuściła wzrok na swój talerz. Znów z niej żartował, ale uprzejmie.

- Cóż... może znalazłby się jeden czy dwa - zgodziła się ostrożnie.
- Na przykład? - zapytał.

Spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs.

- Prawdopodobnie nigdy nie byłabym w stanie przyzwycząić się do tego, że zanim cokolwiek zrobię, muszę prosić o zgodę. - Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. - Jestem przyzwyczajona do tego, żeby najpierw działać, a wyjaśniać dopiero potem.

- Ach - powiedział. - Nie liczyć się z nikim?
- Nie - poprawiła. - Po prostu być sobą.
- Czy to dla pani ważne: być sobą, a nie po prostu... dodatkiem?
- Oczywiście - stwierdziła niewinnie. - Jestem sobą. Każdy jest indywidualnością, ma własny rozum, osobowość i prawa.

- Ach tak - odrzekł. - Prawa.

Jane patrzyła na niego buntowniczo, ale pamiętając o ich nowych, przyjaznych stosunkach, nie powiedziała nic.

Później tego samego wieczora położyła się na werandzie. Słuchała *Concierto de Aranjuez* w wykonaniu Juliana Breama i patrzyła na ogromny hiszpański księżyc, połyskujący nad horyzontem krwistą czerwienią. Patrząc w niebo jarzące się gwiazdozbiorami nie widywanymi nigdy w Anglii, rozmarzyła się. Były jak diamenty pierwszej wody spięte w naszyjniki o oślepiających rozmiarach i blasku. Dzieci już spały, seriom wyszła z wizytą, poplotkować z przyjaciółkami, Jorge poszedł dokądś z własnymi znajomymi, a Luis de Capdévila pojechał gdzieś swoim bentleym.

Wybiła pierwsza w nocy, ale wciąż było bardzo ciepło. Morze przypominało talerz z czarnego szkła, a odbijający się w nim księżyc wyglądał jak świetlista drabina z cekinów, ciągnąca się aż po horyzont. Jane leżała na wznak na jednej z wyłożonych miękkimi poduszkami kanap i słuchała romantycznej muzyki myśląc, że nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa. Jej dłoń nieświadomie bawiła się jedwabistym puklem włosów. Od czasu do czasu wzdychała sennie i zmysłowo; miała wrażenie, że jej ciało unosi się na morskich falach. Kombinacja księżyca, gwiazd, ciepła i zapachu kwiatów *señory*, spowodowała, że czuła się spowita głębokim, ciepłym woalem romantyzmu. Mimo to, z jakiegoś powodu wydawała się sobie niekompletna. Czegoś brakowało. Była zadowolona, ale nie w pełni usatysfakcjonowana. Westchnęła znowu wyciągając rękę za głowę jak przeciągający się kot, poczuła, jak jej mięśnie napinają się, a potem rozluźniają powoli i całkowicie w zmysłowym poddaniu.

Luis de Capdévila przechodził cicho przez dom od tylnego wejścia, przy którym zaparkował samochód, kiedy usłyszał muzykę i poszedł sprawdzić, skąd dobiega. Za przejrzystą zasłoną zobaczył Jane leżącą na kanapie. W świetle księżyca jej włosy jak posrebrzany wodospad opadały na odsłonięte ramiona. Bawełniana sukienka na ramiączkach uwydatniała atlasową gładkość skóry. Długie nogi i wąskie stopy też były nagie i równie gładkie, równie połyskliwe. Oczy miała zamknięte, a na ustach igrał półuśmiech. Spoczywała w pozycji wskazującej na całkowite oddanie się marzeniom, zupełnie pochłonięta muzyką, pięknem nocy i własnymi wyobrażeniami. Gitara napełniała powietrze miodowymi nutami. Nagle Jane powoli uniosła dłoń do włosów, zaczęła je zwijać, pieścić i wygładzać. Ich jedwabisty ciężar połyskiwał w świetle księżyca. Usłyszał jej westchnienie, zobaczył, że pociera policzkiem o poduszkę jakby to był czyjś policzek, potem niepokojnie porusza głową. Nagle, gdy gitara namiętnie zatętniła, Jane w mgnieniu oka zerwała się z kanapy, i jednym, konwulsyjnym ruchem zdjęła sukienkę. Pod spodem miała tylko swój odsłaniający plecy kostium kąpielowy. Podeszła dwa kroki, wykonała piękny skok, a woda rozstała się pod nią niemal bezszelestnie. Jane wynurzała się nieco dalej i energicznym kraulem

popłynęła w kierunku platformy. Patrzył za nią, aż zniknęła mu z oczu.

Jane płynęła, póki się nie zmęczyła. Próbowwała uciec przed rozluźniającą i osłabiającą ją ospałością. Kiedy zbliżała się do domu, znowu usłyszała senną, romantyczną muzykę i poczuła, że fale tęsknoty ponownie ją spowijają. Przekręciła się na plecy i zaczęła unosić się na wodzie, a jej włosy płynęły za nią. Z zamkniętymi oczyma i wyciągniętymi w bok ramionami wyglądała jak jakaś słodka, niewinna Ofelia. Był w niej ukryty gdzieś głęboko ból, doskwierający jak nie wyleczona rana. Obciążał jej duszę i napełniał ją całą słodką melancholią, której nigdy wcześniej nie знаła. W ciszy popłynęły łzy i spływając po policzkach mieszały się z wodą.

Co się ze mną dzieje - myślała z desperacją. Dryfuję i ryczę jak jakieś chore z miłości ciele... Bo jestem chora. Chora z miłości. Chora z tęsknoty. Za Luisem de Capdévila. Kocham go, pomyślała. Zakochałam się w Luisie de Capdévila. O Boże, co ja teraz zrobię? Przestraszona, zaczęła kopać wodę nogami, przekręciła się na brzuch i w kilku ruchach dopłynęła do schodów, położyła ręce płasko na pokrytej matą powierzchni i kolejnym zwinnym ruchem wyskoczyła z wody na werandę. A tam, z dużym ręcznikiem w rękach stał Luis de Capdévila.

- Och - wzdrygnęła się. Podał jej ręcznik.

- Nie powinno się pływać samotnie przy świetle księżyca, panno Jane - powiedział głosem bez wyrazu. - Nawet tak świetnych pływaków jak pani czasem łapie skurcz.

- Przykro mi - szepnęła wzburzona. - Nie myślałam...

- Cóż za niezwykle przypadek - skomentował sucho.

- To był impuls - wyjaśniała zmieszana. - Po prostu czułam...

- Wiem, jak się pani czuła - rzekł spokojnie. - Noce takie, jak ta, i taki księżyc, mogą wywrzeć potężny wpływ. Południowa Hiszpania jest w letnie noce potężnym afrodyzjakiem...

Coraz bardziej spłoszona i zakłopotana zaczęła wycierać się ręcznikiem. Nie potrzebując księżyca, pomyślała. Ty mi w zupełności wystarczysz...

Zadrzała.

- Zimno pani? - zapytał ostro.

- Nie... nie... woda była cudownie ciepła, jak jedwab... - Głos jej zamarł, zarumieniła się i zaczęła wycierać się jeszcze intensywniej.

- Widzę, że lubi pani hiszpańską muzykę - zauważył, kiedy skończyło się *Concierto*.

- Lubię wszystko co hiszpańskie, wie pan o tym - nieśmiało mruknęła Jane.

- Wszystko? - Jego głos był zwodniczo miękki, aż poczuła ciężar w żołądku.

- Wszystko - powiedziała najspokojniej, jak umiała. Odwróciła się do niego tyłem i zaczęła wykręcać wodę z włosów nad brzegiem werandy. Oparł się o balustradę i obserwował ją.

- Miło spędza pani lato, panno Jane?

Słyszając te słowa impulsywnie odwróciła się do niego.

- O tak, bardzo. Nie wiem sama, kiedy byłam taka...

- Szczęśliwa?

- Tak. Wszyscy jesteście dla mnie tacy mili...

- Pani jest bardzo... dobra... dla nas. Cieszę się, że przezwyciężyliśmy nasze... początkowe trudności i zdecydowała się pani... przyjąć naszą propozycję. - Jego ton był teraz światowy, lekko żartobliwy. - Kiedy skończy się lato, Jorge i bliźnięta będą już w pełni dwujęzyczni. Bardzo dobrze się pani spisała, panno Jane. Mój stary przyjaciel, John Harris, miał rację polecając mi panią.

Jane zarumieniła się z radości.

- Robiłam wszystko, co w mojej mocy - powiedziała nieśmiało.

- To niemało - odrzekł sucho. - Co pani zrobi po powrocie do Anglii? - zapytał leniwie.

- Muszę skończyć pracę dyplomową. Miałam zamiar popracować nad nią trochę tego lata, ale... - ponuro wzruszyła ramionami.

- Jest tyle innych ciekawych zajęć - dokończył z uśmiechem. - O czym jest ta praca?

- Romantyzm i okrucieństwo w literaturze hiszpańskiej.

- Coś takiego! - Uniósł jedną brew. - A co pani może o nich wiedzieć? - zapytał miękko.

- Z literatury - bardzo dużo. Czytałam wszystko. Owinęła sobie ręcznik wokół talii jak sarong, nieświadoma, jaki przedstawia widok, z włosami spływającymi na plecy i ręcznikiem podkreślającym krągłe biodra, w mokrym kostiumie przylegającym do wysoko sklepionych, mocnych piersi i uwydatniającym długą linię jej nagich pleców.

- Książki to jedna sprawa - powiedział. - Panno Jane, czy pani jest romantyczką? Wydaje mi się, że tak: *Concierto de Aranjuez*, pływanie przy księżycu i woda jak jedwab...

Jego głos płynął jak rzeka, aż nerwowo podniosła rękę, żeby przygładzić włosy. Kropla wody spłynęła krętą drogą w dół srebrzystego, gładkiego ramienia od nadgarstka, i zawisła na łokciu jak łza. Każdy włoszek na jej ciele był świadomy jego obecności obok niej. Dziwne mrowienie

przenikało jej ciało i wisiało między nimi jak przewody wysokiego napięcia.

- Już późno - stwierdziła niepewnie. - Muszę iść do łóżka... O Boże, pomyślała, nie należało tego mówić...

- W Hiszpanii to nie jest późna godzina - skarcił ją, odwracając się, żeby popatrzeć na księżyc. - W Hiszpanii nazywamy taki księżyc księżycem miłości - *luna de amor*...

- W Anglii nie ma takiego księżycyca - odparła Jane, siląc się na rzeczowy ton i wypadając beznadziejnie w tej próbie.

- Może dlatego właśnie brak wam romantyzmu. Mam na myśli naród, nie panią.

Poczuła ucisk w sercu. Jak długo już ją obserwował? Co zobaczył? Nie wygadała się przecież... Przeraziła się nagle. Na miłość boską, powiedziała sobie zirytowana. Jak możesz... światło księżycyca i muzyka mogą mieć wiele znaczeń...

Odwróciła się, żeby podnieść swoją sukienkę i sandały. Znalazła jeden, ale drugi był daleko pod krzesłem. Luis de Capdévila pochylił się i podniósł go, ale nie wykonał żadnego gestu, żeby jej go oddać.

- Tak - powiedział z zadumą. - Z pewnością ma pani hiszpańską duszę.

- I angielskie przekonania - uzupełniła lakonicznie Jane, z desperacją próbując wydostać się ze snutej przez niego pajęczyny.

- Czy to możliwe, żeby jedno współhistniało z drugim? - zastanowił się. - Wydaje mi się, że spowodowałoby to ciągłe tarcia. Jak między nami dwojgiem, pomyślała z bólem.

- Ale z drugiej strony, pani lubi spory, prawda? - zapytał.

- Czasami są... stymulujące - zgodziła się ostrożnie.

- Tak - odparł sucho. - Wiem.

Ton jego głosu sprawił, że dostała gęsiej skórki.

- Chyba jest pani bardzo stanowcza w swoich przekonaniach - odezwał się po chwili i wyczuła, że czeka na odpowiedź.

- W niektórych sprawach, owszem. - Uniosła brodę i wyprostowała się.

- I nie da się ich zmienić? - Głos był miękki, ale oczy spoglądały czujnie.

- Tak długo, jak długo nie widzę powodu, żeby je zmieniać.

- Och... - zabrzmiało to jak pieszczota. - Więc jest pani zdolna do tego, żeby dostrzegać wskazania rozsądku? - Znów żartobliwe kpiny. Ponownie zakładał przynętę.

- Wierzę, że jestem zdolna dostrzegać wiele rzeczy - odparła sztywno.

- O tak, wiem, że ma pani dobre oczy - zachnął się. Potem zmienił ton: - Nadzwyczajne oczy, jak u kota. Tak samo zielone i tak samo piękne.

Jane przełknęła ślinę. Nie śmiała spojrzeć na niego, ale każdym centymetrem skóry czuła, że stoi obok niej. Czuła spojrzenie niezgłębionych oczu, ostry zapach słodkawej wody kolońskiej i tytoniu, była świadoma dłoni o długich palcach trzymającej jej sandał. Strumień zrozumienia przepłynął między nimi. Zdała sobie sprawę, że drży i drzenie to słycać było w jej głosie, kiedy spytała uprzejmie:

- Czy mogę dostać z powrotem swój sandał?

Uśmiechnął się, a ona zamrugnęła gwałtownie.

- Nie jest to szklany pantofelek - powiedział z rozbawieniem - ale w końcu Kopciuszek daleki był od myśli o równouprawnieniu, prawda?

Znowu się z niej śmiał. Popatrzyła na niego mściwie.

- Sama kupuję sobie buty - oznajmiła uszczypliwie - a poza tym, szklane obuwie jest bardzo niepraktyczne i niewygodne. Roześmiał się.

- I pomyśleć, że nazwałem panią romantyczką. - Unióśł brew. - Skoro tak, to na pewno zechce pani włożyć swój własny but, a nie jakiś tam podarek od królewicza...

Nie miała zamiaru wkładać sandałów, ale jego słowa były jak wyzwanie. Wyciągnęła rozkazująco rękę.

- Jeżeli mi go pan odda.

Ich spojrzenia spotkały się i zwały. W milczeniu wyciągnął rękę z sandałem tak, aby musnąć jej palce, kiedy brała go od niego. Wzdrygnęła się, jakby dotknęła rozpalonego do czerwoności żelaza, i schyliła się, żeby nałożyć go drżącymi rękoma, ale była w takim stanie, że nie mogła przesunąć stopy przez wąskie paski.

- Proszę mi pozwolić - powiedział uprzejmie. Schylił się i ujął jej stopę jedną ręką, podczas gdy drugą nałożył sandał. Jane wbiła zęby w dolną wargę i zmusiła się, żeby nie trząść się konwulsyjnie pod każdym jego dotknięciem. Wziął drugi sandał z jej bezwładnych palców i nałożył na drugą stopę, a potem wyprostował się. Stali patrząc na siebie, a wywołane taką bliskością napięcie stało się nie do zniesienia.

Jane poczuła nagle i dzikie pragnienie, aby przejść dwa kroki, które dzieliły ją od niego, objąć jego szerokie ramiona i całować napięte, pozbawione uśmiechu usta. Poczula z bólem, że pragnie tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Prawie robiło jej się niedobrze od skręcającego żołądek podniecenia. Zamknęła oczy i gwałtownie przełknęła ślinę. Kiedy je otworzyła, odsunął się już o kilka kroków, poza zasięg jej ramion.

- Dobranoc, panno Jane - powiedział uprzejmie i beznamyślnie, znów bezpieczny za nieprzeniknioną hiszpańską etykietą.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej oczy, wyraz jej twarzy wyznały mu wszystko, że to, co robił Luis de Capdévila nie było tym, co chciał zrobić, że musiał zmobilizować wszystkie siły, aby w ostatniej chwili tak właśnie się zachować.

Czując suchość w gardle powiedziała martwo:

- Dobranoc - i uciekła.

W swoim pokoju oparła się o drzwi i zaczęła drzeć tak mocno, że aż szczykała zębami. Jednym zwinnym ruchem zrzuciła ręcznik i kostium i wskoczyła pod kołdrę, jakby chciała się schować. Zwinęła się w kłębek w próbie opanowania dreszczy. Nic to nie dało. Przekręciła się na plecy i zmusiła do głębokiego oddychania, żeby zmniejszyć napięcie, które naciągnęło ją jak strunę. Przez otwarte okno słyszała szuranie krzesła, dźwięk zapalanej zapałki, trzeszczenie sprężyn, kiedy usiadł. Wtuliła twarz w poduszkę i zaczęła powtarzać bez przerwy jego imię. Przypomniała sobie dotyk jego palców na kostce i stopie, a wtedy zaschło jej w ustach i całe ciało rozluźniło się. Bóg jeden wie, co mogłaby zrobić, gdyby ją wtedy pocałował. Pewnie rozpadłaby się na kawałki. Na drobne kawałeczki, jak wysuszona rozgwiazda. Wystarczyła już sama myśl o dotyku jego ust na jej ustach, żeby zaczęła drzeć jak galareta, stała się cała luźna i miękka jak kit. Czy jego pragnienie, żeby ją pocałować, było równie silne jak jej chęć, żeby to właśnie zrobił? Wciąż tego chciała, ból wciąż tam był, gorszy niż kiedykolwiek wcześniej, niezaspokojony i ćmiący, aż zmienił się w fizyczne uczucie mdłości. Przesunęła palcami po ustach wyobrażając sobie, że to jego usta... jeszcze nigdy w życiu pożądanie nie opanowało jej całej do tego stopnia, nigdy jeszcze nie czuła się tak w obecności żadnego mężczyzny. Już samo spojrzenie na niego było przyjemnością tak wielką, że prawie nie do zniesienia... nie mogła przestać się zastanawiać, jak by to było znaleźć się w tych ramionach, czuć przy sobie jego silne ciało, jego usta na swoich otwierających się, żeby przyjąć jego pocałunek...

W udręce rzuciła się po łóżku. Wiedziała, że on czuje to samo, że działała na niego tak samo, jak on na nią. Ale nie przekroczył pewnej granicy, nie zrobił kroku, który nieodwracalnie zmieniłby ich stosunki. Dlaczego? Dlaczego? Czyżby to wszystko tylko jej się wydawało, czyżby źle odczytała jego sygnały i wyciągała wnioski z przesłanek, które nie miały oparcia w rzeczywistości? Na pewno nie. W wieku dwudziestu czterech lat Jane miała wystarczające doświadczenie, żeby wiedzieć, kiedy mężczyzna uznawał ją za godną pożądania. W przypadku Luisa de Capdévila była tego świadoma już od kilku tygodni. Niemniej jednak on nigdy jeszcze nie zmienił swojego podejścia do niej, pełnego nienagannej uprzejmości, subtelnych przekomarzanek, żartobliwego rozbawienia. Czy to dlatego, że w głębi ducha jej nie aprobował - jej opinii, bronionych stanowczo przekonań i sposobu życia? Czyżby ten brak aprobaty był silniejszy niż pociąg, jaki do niej czuł?

Przewracała się na łóżku próbując znaleźć odpowiedzi, ale wszystkie jej umykały. Wiedziała, że teraz będzie jeszcze trudniej zachowywać się swobodnie w jego obecności. Fizyczne przyciąganie istniejące między nimi sprawiało, że niemożliwe stało się kontynuowanie znajomości w ten sam swobodny sposób. Za bardzo świadoma była jego istnienia: sposobu, w jaki układały się jego włosy, onyksowych oczu, które połyskiem umiały wyrażać tyle uczuć, stanowczej, ale zmysłowej linii ust, długich palców, które tak bardzo chciałyby poczuć na swoim ciele, szerokości jego ramion, długości nóg. Uczucia, które próbowała ukryć, mogły ją rozsadzić. Nie wiedziała, jak długo uda jej się utrzymać je na wodzy. A wciąż jeszcze miała przed sobą sześć tygodni. W przyszłości lepiej nie zostawać z nim sam na sam. Najlepiej byłoby, gdyby nie przyjeżdżał tak często, chociaż sama myśl, że go nie zobaczy, stanowiła dla niej nieznośną udrękę.

O, Boże, pomyślała bezradnie, co ja mam teraz zrobić? Ukryła twarz w poduszce i płakała tak długo, aż usnęła.

Następnego ranka, kiedy zeszła na śniadanie, jego już nie było. Wyjechał dzień wcześniej niż zamierzał.

- Jest bardzo zajęty - wzruszyła ramionami seriom. - A ostatnio bardzo często tu przyjeżdżał. Teraz musi nadrobić ten czas...

Przyjrzała się mizernej twarzy Jane. Kiedy ostatniej nocy wróciła do domu, Luis siedział na werandzie. Po wyrazie jego twarzy poznała, że był w jednym z tych swoich złych nastrojów. Szorstki, zdenerwowany, wyglądał tak, jakby coś w sobie dusił. Znała go wystarczająco dobrze, by

wiedzieć, że jest z czegoś niezadowolony, a wystarczyło jedno spojrzenie na pannę Jane, żeby wiedzieć, o co chodziło. Sprawy między nimi dochodziły do punktu wrzenia. Wiedziała, że tak się stanie. Usunięcie się ze sceny to najlepsza rzecz, jaką mógł zrobić w obecnej sytuacji. W ten sposób Jane uda się odzyskać równowagę, przynajmniej do pewnego stopnia. W tej chwili nie potrafiła poradzić sobie z własnymi uczuciami, ale bez dręczącej ją obecności Luisa może będzie mogła je zrozumieć i pogodzić się z nimi. Seriom miała ochotę powiedzieć jej coś, pocieszyć tę strapioną, nieszczęśliwą dziewczynę. Miała żal do Luisa. Jak mógł do tego dopuścić? O czym on myślał? To do niego niepodobne, żeby na coś takiego pozwolić. Czyżby nie umiał się powstrzymać? Seriom westchnęła. Wolałaby, żeby wszystko zostało po staremu. Panna Jane była prawdziwym skarbem. Jorge i dzieci ją uwielbiały, nie miała żadnych obaw, jeżeli o nie chodzi, ale Luis... Już na samym początku pomyślała, że wydawał się bardziej niż tylko przelotnie zainteresowany panną Jane Elliot. Przecież nawet posunął się do nadzwyczajnych środków, żeby przekonać ją do przyjęcia posady. No i spędzał teraz w willi więcej czasu niż kiedykolwiek. Dlaczego? Czyżby myślał o panie Jane poważnie? To z pewnością rozsądna dziewczyna i zadziwiająco dorosła jak na dwudziestoczworoletkę, ale Luis miał już trzydzieści osiem lat... Nie leżało w jego charakterze z premedytacją starać się zafascynować sobą dziewczynę tak młodą i tak... niedoświadczoną. Czyżby chodziło o to, że różniła się bardzo od wszystkich kobiet, jakie dotąd spotkał, że była rzeczowa, pewna własnych możliwości, szczerze i swobodnie mówiła o swoim wyzwolonym spojrzeniu na życie? Tak, bardzo różniła się od potulnych i w pełni podporządkowanych Hiszpanek, do których był przyzwyczajony.

Seriom westchnęła. Miała nadzieję, że Luis będzie trzymał się przez jakiś czas z daleka, żeby sprawy trochę przyschły. Tak byłoby najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. Może to tylko letni flirt, skutek przypadkowego spotkania, dużej bliskości i wzajemnego pociągu fizycznego? Oby! Nie chciałaby, żeby panna Jane została zraniona.

Och, jakie to wszystko skomplikowane i niepokojące. Najlepiej będzie poczekać i pozwolić wydarzeniom toczyć się własnym torem.

A potem nagle okazało się, że spędzili w Cabo de los Ángeles już osiem tygodni i nadeszło święto *Nuestra Señora de los Angeles*, Matki Boskiej, Królowej Aniołów. Cała wioska przygotowywała się do świętowania. Po tym dniu wyjadą, żeby następny miesiąc spędzić, jak zwykle, w Cañas.

Dzieci nie mogły się już doczekać.

- Są tańce na rynku, wszystkie łodzie rybackie przystraja się kwiatami i flagami, całą procesją płyną wokół portu, a potem Najświętsza Panienska niesiona jest do kościoła, odbywa się uroczysta msza, a po niej są fajerwerki i muzyka, i wino, i wszyscy świetnie się bawią - paplała Inés. - Wszystko pani pokazemy, panno Jane.

Jane miała nadzieję, że „my” obejmowało również Luisa, chociaż już od dwóch tygodni nie dawał znaku życia. Jednak nie przyjechał w poprzedni piątek ani w sobotę, kiedy odbywała się *fiesta*, i chociaż przyglądała się procesji, uczestniczyła w uroczystej mszy, biła brawo podczas fajerwerków i tańczyła na rynku, piła mnóstwo wina i minę miała równie wesołą i beztroską jak wszyscy, wciąż czuła gorączkę i dreszcze ze zdenerwowania. Znajdowała się już prawie na krawędzi rozpaczy, jeszcze krok, a wpadnie w przepaść.

Kiedy wraz z Jorgem wróciła z tańców, była już trzecia nad ranem. Trzymając się za rękę spacerowali brzegiem morza. Jorge niósł sandały Jane, a ona szurała bosymi stopami po piasku, wciąż ciepłym po długim, słonecznym dniu. Kiedy tak szli, poczuła, że ręka Jorgego wysuwa się z jej dłoni i obejmuje ją w pasie, ale nic jej to nie obchodziło. Noc była wspaniała, w górze lśniły gwiazdy, a zbliżając się do domu czuli zapach ukochanych ogrodowych kwiatów *señory* - słodki i mocny aromat jaśminu, róż i ziół, a także tych, które rosły w doniczkach: rozmarynu, tymianku i ogórecznika.

Jane płynęła, unosiła się na morzu wina, tęsknoty i cierpienia. Miała wrażenie, że jej stopy nie dotykają ziemi, a kiedy tuż przed werandą Jorge wziął ją w ramiona i zaczął całować tak, jak pragnął tego przez całe lato, szepcząc namiętne wyznania i pieszcząc ją drżącymi rękoma, ona po prostu stała w miejscu i pozwalała mu na to nie czując, ani nie słysząc niczego - jak martwy przedmiot. Kiedy w końcu ją puścił, spojrzał na nią z cichym wyrzutem i powiedział z rezygnacją:

- Nie działałam na panią, panno Jane, prawda?

Mruknęła z roztargnieniem:

- Przykro mi, Jorge... Naprawdę dobrze się bawiłam... to nie twoja wina. Dziękuję, że mnie zabrałeś... - i nawet nie zauważyła, kiedy odszedł.

Czuła się bardzo dziwnie: nie pijana, ale bujająca gdzieś wysoko nad ziemią. W tym stanie

oszołomienia weszła na werandę i, objąwszy ramionami jedną z kolumn, zapatrzyła się na fantastyczne nocne niebo. Uniosła w górę leniwe i ciężkie ramiona, rozpuściła morze błyszczących włosów i poczuła, jak spływają po gładkiej skórze jej pleców odsłoniętych w dopasowanej białej sukience niczym pieszcząca ją dłoń.

Przepełniała ją tęsknota tak nieznośna, tak silna, że czuła ją jak fizyczny ból. Wciągnęła powietrze ze zduszonym szlochem, opuściła ramiona, oparła głowę o kolumnę, wyobrażając sobie rzeczy, których nie mogła znieść, aż odwróciła się, żeby uciec od tych wyobrażeń tak, jakby mogła się od nich wyzwolić po prostu biegnąc, i stanęła twarzą w twarz z Luisem de Capdévila.

Siedział w głębokim trzcinowym fotelu z tyłu werandy, w cieniu. Teraz wstał płynnym, swobodnym ruchem. Zrobił to akurat wtedy, gdy odwróciła się do biegu tak, że wpadła prosto na niego.

Z zaskoczenia zmartwiła. Właśnie jego wyobrażała sobie przed chwilą. Musiał ją wtedy widzieć. Fala czerwieni załapała jej twarz, a potem odpłynęła. Jane stała z szeroko otwartymi oczyma, spięta jak mocno naciągnięty łuk. W zagłębieniu jej szyi widać było pulsującą gwałtownie małą żyłkę. Targały nią na przemian wstyd i uczucie szczęścia. Galatea ożyła.

Miał na sobie elegancki czarny garnitur i białą koszulę z zabotem. Najwyraźniej był gdzieś na kolacji - może z jakąś kobietą? Czy dlatego nie przyszedł na fiestę? Ten strój podkreślał jego urodę, tak męską i zniewalającą.

Stali patrząc na siebie w pełnej napięcia ciszy. Jej dłonie dotykały lekko jego plisowanej koszuli, jakby w proteście przeciwko tak nagłemu wtargnięciu do jej marzeń. Jego ręce wyciągnęły się instynktownie i objęły ją w pasie. Prąd płynął między nimi, przestali być świadomi czegokolwiek poza sobą nawzajem.

Ona wszystkimi zmysłami chłonęła ostry, czysty zapach tego wysokiego mężczyzny o ciemnej karnacji, czuła dotyk jego rąk w pasie. On rozkoszował się cudowną młodością jej ciała pod swoimi dłońmi, jedwabistym połyskiem szminki na zmysłowych ustach i widokiem drobnego mięśnia pulsującego jak oszałały w kąciku warg.

Oboje z oszalamiającą szybkością ześlizgiwali się po zdradzieckim zboczu erotycznego podniecenia, aż przez jej ciało przebiegł nie kontrolowany dreszcz i zadrżała w jego ramionach, ochryple łapiąc oddech, a jej oczy zostały schwyte i uwięzione przez jego hipnotyzujące spojrzenie.

Kiedy poczuł drzenie jej ciała, sam stracił dech i jednym, błyskawicznym ruchem pełnym tłumionej agresji chwycił ją w objęcia i zaczął całować z pasją i pożądaniem, które wywołało jej instynktowną i równie intensywną reakcję. Jej wargi rozchyliły się pod dotykiem jego warg, ramiona podniosły się i otoczyły jego szyję, całym ciałem przywarła do niego w tak elektryzujący sposób, tak pobudzający jego pragnienie, że stał się ślepy i głuchy na wszystko poza dotykiem tych słodkich i przerażająco zmysłowych ust na jego ustach, miękkością, krągłością i jędrnością jej ciała, smakiem i zapachem jej skóry.

Wzmocnił uścisk przesuwając usta z jej twarzy i szyi na nagie ramiona, a potem w dół, ku piersiom, pozostawiając na jej skórze ślad palący niczym ogień. Rozpięła mu marynarkę, żeby mocno otoczyć ramionami jego ciepłe i silne ciało, wciąż na nowo powtarzała jego imię, pijana jego dotykiem, wypełniona nim, przywrócona przez niego do życia, niezdolna się nim nasycić, świadoma tylko tego, że to właśnie jego pragnęła i że w każdym calu dorównywał jej marzeniom - a nawet je przewyższał. To właśnie sprawiało, że nie mogła spać po nocach: wyobrażenie jego ust przyciskających się do jej ust, jego twardego ciała mocno przytulonego do jej ciała, długich pieszczących ją palców, niskiego głosu mówiącego głębokim, namiętym tonem we własnym języku, to, co tak bardzo chciała usłyszeć.

Wszystkie zdławione emocje, które z tak wielkim trudem trzymała na wodzy przez tak długi czas, przełamały nadwątloną tamę, zanurzając ją w bystrym nurcie namiętnej zmysłowości, która poniosła ją na swoim grzbiecie tak, że jedyne, co mogła teraz zrobić, to trzymać się go mocno z obawy przed utonięciem.

Nim miały równie gwałtowne fale. Całował ją namiętnie, z dręczącą tęsknotą, a jego ręce badały krągłości jej ciała, aż wygięła się przywierając do niego konwulsyjnie, roztopiając się z drzeniem, stapiając w jedno z nim, oddając całą siebie, aż do jądra swojego jestestwa.

Była tak zagubiona, tak całkowicie nim pochłonięta, że kiedy nagle przemocą odsunął ją od siebie zamykając jej nadgarstki w swoich dłoniach z niemal okrutną siłą, była w stanie tylko stać naprzeciw niego nie rozumiejąc, o co mu chodzi, co się stało.

Zamrugała gwałtownie powiekami, oślepiona, zaskoczona i nagle osamotniona.

- Luis...?

Wziął głęboki wdech. Jego twarz stężała z napięcia, a oczy błyszczały w ciemności.

- Wywierasz na mężczyznę wpływ, którego trzeba doświadczyć, żeby móc w niego uwierzyć - powiedział ochryplym głosem. - Nie będę przeproszał za moje zachowanie, które było czysto instynktowne - zarówno z mojej, jak i z twojej strony, ale chociaż przekroczyliśmy granicę już jakiś czas temu, przed nami leżą jeszcze bardziej niebezpieczne terytoria. Jesteś pracownikiem, gościem w tym domu, a takimi sytuacjami rządzą pewne prawa, moja uroczą Galateo.

Patrzyła na niego zdumiona. Czyżby oskarżał ją o to, że go sprowokowała?

- Przykro mi... - urwała niepewnie.

- Tobie jest przykro - skomentował ironicznie.

- Nic, co robię, nie jest słuszne w twoich oczach, prawda? - odezwała się z rozpaczą w głosie.

- O nie - powiedział drwiąco. - Nie, moja piękna amazonko. Wszystko, co robisz, potwierdza tylko, jaką masz słuszność, jaką niewiarygodną słuszność. Jesteś dla mnie o wiele za bardzo niebezpieczna. Nie przywykłem do tak przytłaczającej słuszności, już na samym początku pobiłaś mnie na głowę.

- I tego właśnie nie możesz znieść, prawda? Po prostu nie możesz pogodzić się z tym, jaka jestem - stwierdziła ze smutkiem.

- Nie. Nie mogę.

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

- Więc dlaczego całowałaś mnie w taki sposób? - rzuciła w rozpacz.

- Ja także robię różne rzeczy dlatego, że tego chcę - powiedział miękko.

Jej wargi zdrząły. Nie była w stanie poradzić sobie z tak nagłą i całkowitą zmianą frontu. Jego słowa nie pasowały do pocałunków. Coś poszło zupełnie nie tak, jak powinno.

- Najwyraźniej nie chcesz mnie tutaj - szepnęła. - Byłoby lepiej, gdybym wyjechała.

- Co? Kiedy moja bratowa mówi, że jesteś twardą opoką, kiedy dzieci wciąż tylko wychwalają cię pod niebiosa, kiedy angielski Jorgego poprawił się nad podziw - nawet jeśli jego fizyczne potrzeby nadal nie są zaspokojone.

Twarz jej płonęła. Więc ich widział! Musiał pomyśleć, że każdy może ją mieć.

- Nie, po tysiącokroć nie! - powiedział stanowczo. - Nie mogę pozwolić, żebyś wyjechała.

- Ale widzisz chyba, że nie mogę tu zostać, nie teraz - oponowała rozpaczliwie.

- Nie zostaniesz tutaj. Przyjechałem tylko po to, żeby powiedzieć wam, że w Cañas wszystko jest już gotowe. Zawsze spędzamy tam resztę lata. Wszyscy wyjeżdżacie jutro.

- Ale ty nie?

- Ja nie.

- Rozumiem - odparła, chociaż wzrok miała zamglony od łez.

- Na pewno zgodzisz się, że lepiej będzie, jeżeli... nie będziemy... spotykać się zbyt często. Nie wynikłoby z tego nic dobrego, prawda? Kiedy już wyjedziesz do Cañas, stanie się to dla nas łatwiejsze. Ja zostanę w Madrycie.

- Ale wciąż jesteś gotów powierzyć mi Jorgego i dzieci - powiedziała gorzko.

- Ach - odrzekł głosem bez wyrazu. - Jednak to nie ty jesteś osobą, której nie ufam.

Patrzyła na niego, niezdolna myśleć jasno, rozchwiejana emocjonalnie.

- Nie rozumiem - powiedziała w końcu ze smutkiem.

Uniósł brwi.

- Wielkie nieba! - zawołał przekornie. - Chcesz powiedzieć, że jest coś, czego nie potrafisz?

Popatrzyła na niego mściwym wzrokiem. Zawsze tak się to kończyło. Zawsze.

- Wszystko potrafię - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Uśmiechnął się do niej, a w uśmiechu tym było coś, co sprawiło, że serce podskoczyło jej w piersi.

- To lubię - powiedział miękko po angielsku.

- Może pamiętasz, jak mówiłam, że szybko się uczyć?! - krzyknęła, gdy udało jej się zdusić szloch.

- Cóż, jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć. Nigdy nie popełniam dwa razy tego samego błędu! Dobranoc i żegnam, *señor de Capdévila*.

Przeszła obok niego z triumfującą miną. Tyle tylko, że słyszała za sobą jego śmiech.

### 3

Dom w Cañas różnił się bardzo od małego, białego domu w Cabo de los Ángeles. Był duży, zbudowany bez jednolitego planu. Stał na skraju doliny, na tarasie wykutym w skale. Z okien rozciągał się widok doliny, w której hodowano winogrona przeznaczone do spożycia, nie na wino - winnice znajdowały się na północy. Oprócz tego w Cañas rosły owoce: pomarańcze, morele, brzoskwinie i cytryny. Uprawiano tutaj również wielkie pola pomidorów, trochę kukurydzy i kilka akrów oliwek. W dole, przy końcu doliny, usadowiła się wioska Cañas, w której przy jedynej ulicy stało dwadzieścia kilka domów. Najbliższa prawdziwa wieś - ze sklepami - była oddalona o pięć



mil, a najbliższe miasto o piętnaście. Cañas leżało tu odizolowane od świata, ale w pełni samowystarczalne. Wodę czerpano ze studni artezyjskich wykopanych kilka wieków temu, w wiosce wypiekano chleb, który codziennie przysyłano do domu, hodowano bydło dla mięsa i mleka, a kury dla jajek. Elektryczności dostarczała prądnicą. W kilku wielkich garażach znajdowała się cała flota dżipów oraz land-roverów, a stajnia pełna była koni. Szeroka droga wiodła z wioski prosto przez środek doliny do plantacji winorośli. Potem wiała się wokół góry, która wyrastała na tym szlaku, i docierała aż do domu położonego na jej szczycie. Jeżeli ktoś chciał i starczyło mu na to energii, mógł wspiąć się po schodach wyciętych w zboczu góry, które kończyły się na tarasie.

Ten dom również był biały. Zbudowano go z miejscowego kamienia i pobielono. Ocieniała go winorośl, jaskrawa bugenwilla i wistaria. We wszystkich oknach zamocowano tradycyjne żelazne kraty, a masywne frontowe drzwi wyrzeźbiono z dębowego drewna. Taras wyłożono płaskimi kwadratami rzeźbionego w deseń granitu, a niski murek z polnych kamieni zamykał go na krańcach i chronił przed stoczeniem się ze zbocza.

Wewnątrz domu podłogi pokryto ceramicznymi płytkami lub wypolerowanym parkietem. Całe umeblowanie było autentycznie hiszpańskie i bardzo stare, ciężkie i rzeźbione, albo wyściełane jedwabiem i brokatem z ogromnymi poduszkami i pasującymi do nich podnóżkami. Wokół dużego i wysokiego przedsionka położonego w samym centrum biegł balkon, prowadzący do poszczególnych skrzydeł domu. W ciągu wielu lat dodawano różne elementy, tak że można było nieoczekiwanie natrafić na zaskakujące przejścia i pokoje. Dom ten miał własną atmosferę: był stary, solidny, podnoszący na duchu i wytrzymały.

Jane przydzielono pokój z widokiem na taras i dolinę. Stało w nim wysokie łóżko, rzeźbione w wizerunki czterech apostołów. Przejrzyste firanki z woalu wisały w oknach, zamykanych na ciężkie, drewniane *persianas*, czyli żaluzje. Wyłożona płytkami podłoga chłodziła bose stopy. Jane dostała też własną łazienkę z prysznicem.

Na zewnątrz, za domem, znajdowały się korty tenisowe, trawnik do krykieta, stajnie i garaże. W pięć minut dochodziło się spacerkiem do nowoczesnego basenu, ale o pięć minut jazdy dżipem znajdował się pierwotnie zbudowany basen: okrąg białego marmuru z pergolą pokrytą winoroślą, marmurowymi ławkami i rzeźbami, otoczony chłodnym i wonnym lasem pełnym sosen, dębów korkowych i eukaliptusów. To właśnie miejsce Jane polubiła najbardziej.

Jednakże pierwsze dwa tygodnie były smutne. Do głębi wstrząsnęło ją odkrycie głębokich, bogatych pokładów własnej zmysłowości. Noc po nocy przeżywała jeszcze raz jego pocałunki, jego zapach, jego dotyk. Dzień po dniu budziła się myśląc o nim. Jakie to dziwne, myślała, nienawidzić poglądów mężczyzny, ale kochać jego twarz, jego głos i ciało. Wszystko to tylko czysto fizyczne odczucie - powtarzała sobie stanowczo. Tak naprawdę byli antagonistami, ich poglądy były biegunowo przeciwne. Pożądała go fizycznie, czując jednocześnie intelektualną odrazę. Był typowym Hiszpanem: aroganckim, zbyt pewnym siebie, potrafiącym jedynie mówić słodkie słówka. A ona tęskniła za nim tęsknotą, która z czasem nasilała się zamiast osłabnąć - tak jak powinna.

Wiedziała, że telefonował do *doni* Alicii. Bezwstydnie podsłuchiwała. Ale podczas, gdy seriom zdawała sprawozdanie z postępów Jorgego, rozrywek dzieci albo wydarzeń w *finca*\* - co wydawało się głównym tematem rozmowy - nigdy nie wspomniała ani słowem o tym, kiedy Luis mógłby przyjechać. Jednak, chociaż on nie przyjeżdżał, zjawił się ktoś inny. Niejaka Queta dos Santos, która wydawała się szczególną przyjaciółką Luisa.

Pogoda była wspaniała, więc Jane pływała w basenie, rozgrywała szybkie i gwałtowne partie tenisa z Jorgem, wraz z dziećmi jeździła konno po posiadłości, patrzyła na pracę w *finca*, rozmawiała z brygadzystą Mariano o uprawie winogron podawanych na stół, wałęsała się koło szop i magazynów w wiosce i poza nią. Chodziła na długie spacerki wokół góry, a w sobotę, dwa tygodnie po przyjeździe do Cañas, poszła na ślub, który odbywał się w uroczej małej kapliczce, zbudowanej specjalnie na okazje ślubów przez pradziadka Luisa.

Jedna z pokojówek, Maria Paz Sanchez, wychodziła za robotnika z posiadłości, Rafaela Moreno. Z tej okazji w *finca* urządzono wspaniałą uroczystość.

Jane pomogła *señorze* udekorować kaplicę kwiatami: liliami, goździkami, goryczką, szkarłatkami, bzem i purpurową bugenwilla. Nigdy przedtem nie uczestniczyła w hiszpańskim ślubie i nie mogła się już doczekać, chociaż czuła trochę tęsknej zazdrości.

Ceremonię wyznaczono na godzinę piątą, po skróconej sjeście. Ojciec panny młodej miał

---

\* Finca (hiszp.) - posiadłość ziemska

poprowadzić ją do kaplicy, a za nimi podążać mieli wszyscy mieszkańcy *pueblo* razem ze skrzypkiem i gitarzystą grającymi piosenki miłosne. Jane przebierała się właśnie w elegancką sukienkę, kiedy usłyszała, jak nadchodzą, a muzyka szybuje po dolinie w ciepłym, nieruchomym powietrzu i wpada do jej pokoju przez otwarte okno. Usłyszała też nadjeżdżający samochód. To na pewno ksiądz.

Dopiero kiedy zeszła do holu, żeby dołączyć do *señory* i dzieci, uświadomiła sobie, że mają gości. Drobna brunetka o wspaniałej figurze miała na sobie ubranie, które Jane z bolesnym ukłuciem rozpoznała jako jedwabny kostium Chanel o barwie różowych goździków, narodowych kwiatów Hiszpanii. Była równie piękna jak te kwiaty: miała ciemnobrązowe włosy, kremową cerę, czarne oczy. Towarzyszył jej mężczyzna mniej więcej w wieku Jane, który zapatrzył się na nią pełnym podziwu wzrokiem, kiedy tylko *señora* ich sobie przedstawiła.

- Ach, panno Jane, proszę tu podejść i poznać moich starych przyjaciół. Queta, to nasza panna Jane, która tego lata jest dla mnie dużą pociechą. *Señorita* Queta dos Santos, *señor* Alejandro dos Santos.

- Bardzo mi miło - wydusił Alejandro, upajając się widokiem opalenizny, skóry, nóg. - Teraz rozumiem, dlaczego Jorge zaszył się tutaj na tak długo i wcale nie narzekał. Na jego miejscu zrobiłbym to samo.

Jego siostra nie była aż tak przychylnie nastawiona. Spod przymrużonych powiek obejrzała sylwetkę Jane aż po najdrobniejsze szczegóły.

- Taka wysoka... - mruknęła ze współczuciem. - Ja wydaję się przy pani malutka. I taka brązowa. - Poglądziła własną skórę, kremową jak magnolia. - Ja nie znoszę słońca... tak łatwo się opalam. - Odwróciła się, jakby odprowadzała Jane. Ale Alejandro pozostał z nią.

Kiedy przyłączył się do nich Jorge, odkrył, że jego pozycja jest mocno zagrożona i natychmiast należy przedsięwziąć środki zaradcze. Alejandro to przyjaciel... ale tu chodzi o miłość, czyli o wojnę. Ceremonia ślubna była bardzo uroczysta i skomplikowana, celebrowano rzymską mszę, która trwała bardzo długo. Panna młoda miała bardzo drobną figurę i nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, a w białej sukni z welonem, który sama uszyła, wyglądała jak pulchny pączek róży. Pan młody był krępy i barczysty. Dało się zauważyć, że czuje się niepewnie w nowym garniturze i kołnierzyku, który nagle stał się dla niego za ciasny. W końcu jednak oboje odwrócili się od ołtarza twarzami w kierunku gratulujących im przyjaciół i uformowano procesję, która miała powrócić na przyjęcie. Na czele szli muzycy, za nimi państwo młodzi, ich rodzice i rodziny, a na końcu długi wąż gości. Opróżniono jedną z wielkich stodół i rozłożono tam jedzenie i wino. Było wiele przemówień, toastów, mnóstwo wina i lepkich słodkości do jedzenia. Kiedy wieczór zaczął ustępować miejsca nocy, zapalono papierowe lampiony w jaskrawych kolorach, a miejscowa kapela zaczęła przygotowywać się do tańców. Jednak przed rozpoczęciem ogólnego świętowania trzeba było obejrzyć nowy dom młodego małżeństwa.

Pokazano wszystko: ręcznie haftowane prześcieradła, garnki, patelnie, talerze, meble wykonane przez pana młodego, a zwłaszcza rzeźbioną drewnianą kołyskę, która wywołała rumieńce na twarzy panny młodej, szerokie podwójne łóżce - już zasłane, co spowodowało jeszcze więcej żartów i rumieńców.

Potem pozostawiono szczęśliwą parę samą na ich noc poślubną, a wszyscy inni powrócili do świętowania.

Jane nie udało się usiąść ani na chwilę - każdy mężczyzna w wiosce chciał zatańczyć z nią - *la inglesa rubia*. Wielu z nich miało także ochotę dotknąć jej włosów, ale byli zbyt uprzejmi, żeby jej o tym powiedzieć, i tylko patrzyli. Wyjęła więc z włosów spinki, co wywołało ogólne pomruki: *Qué guapa!* albo *Qué color màs maravilloso!* *Qué raro!* - „Jakie piękne”, „co za niesamowity kolor” i „Jakie dziwne”.

- Wygląda pani jak królowa Wikingów - mruknął Alejandro, trzymając ją w tańcu trochę zbyt blisko siebie, podczas gdy Jorge, stojący z boku, popatrywał na niego groźnie.

- Więc proszę pamiętać, że wszelkie przejawy złego zachowania zostaną ukarane natychmiastową egzekucją - odparła lekko.

- Już i tak czyha na mnie Jorge - roześmiał się - ale on miał panią dla siebie przez niemal trzy miesiące, więc naprawdę nie powinien narzekać. Jak też udało się Luisowi trzymać tu panią w ukryciu i nie pisać o tym ani słówkiem? Był u nas na kolacji parę dni temu, ale nie wspomniał o pani ani razu.

- Jak się miewa don Luis? - zapytała obojętnie Jane.

- Jak zwykle - Alejandro wzruszył ramionami. - Z nikim się nie liczy.

To idealny opis, pomyślała Jane. I dlatego właśnie tak łatwo mu przyszło mnie zdominować.

Jak gdyby odczytał jej myśli, Alejandro odezwał się sucho:

- Dlatego właśnie Queta ma tyle trudności z zamknięciem go w klatce.  
- Pana siostra?  
- O tak, już od lat próbuje nakłonić go do oświadczeń. Cała sprawa jest mniej więcej oczywista i niewątpliwie oświadczenia w końcu nastąpią, ale Queta zaczyna się niecierpliwić.

- Są *novios*\*? - Jane była zaskoczona, że jej głos brzmi tak zwyczajnie.  
- Oficjalnie nie, nie było pierścionka... ale, jak mówiłem, już od wieków wszyscy uznają to za sprawę oczywistą i oczekują, że prędzej czy później dojdzie do ślubu: prędzej, jeżeli Queta postawi na swoim, albo prawdopodobnie później, ponieważ zazwyczaj to Luis stawia na swoim.

Jane tańczyła dalej nie słysząc muzyki, ślepa i nieświadoma niczego prócz tego, co powiedział Alejandro. W Hiszpanii czyjeś słowo znaczyło tyle samo co pierścienek zaręczynowy. Jeżeli wszyscy wierzyli, że ludzie są sobie przyrzeczeni, to według wszelkich zasad przyrzeczenie to było zobowiązujące. Więc to o tego rodzaju niebezpiecznym terytorium mówił. Był już związany z kimś innym. Nic dziwnego, że tak gwałtownie ją od siebie odepchnął. Była pokusą, ale on nie mógł sobie pozwolić na to, by jej ulec. O tak, to był cały Luis de Capdévila. Stosował się do reguł i pewnie dlatego potępił Jane: w końcu ona wszystkie je pracowicie łamała!

Zniknęła nagle cała przyjemność, jaką sprawiał jej ten wieczór. Jane poczuła się ospała i przygnębiona. Miała ochotę uciec daleko od muzyki i radosnych nastrojów otaczających ją ludzi. Odszukała *señorę* i poprosiła o pozwolenie na powrót do domu. Jako usprawiedliwienie podała ból głowy. Zresztą głowa rzeczywiście ją bolała, prawdopodobnie był to skutek bólu, jaki odczuwała w sercu.

- Ależ oczywiście... Jorge albo Alex odwiożą panią.  
- Nie! Proszę... nie chcę psuć im wieczoru. Po prostu się wymknę. Dam sobie radę.  
- Będą bardzo zawiedzeni. - Seriom roześmiała się, ukazując dołeczki w policzkach. - Są jak dwa psy walczące o soczystą kość. Jane uśmiechnęła się słabo.  
- Proszę iść - popędziła ją ze współczuciem *señora* zauważając, że Jane rzeczywiście wygląda na przemęczoną. - Będę... jak to się mówi... panią kryła.

Kiedy Jane znalazła się już na zewnątrz i poczuła słodki aromat owoców unoszący się w powietrzu, odechciało jej się wracać samochodem. Miała ochotę powąłęsać się i pomyśleć.

Musiała zastanowić się nad zdobytymi ostatnio doświadczeniami i dodać je do wiedzy, jaką o sobie gromadziła - a zwłaszcza najważniejszą część tych doświadczeń: odkrycie, że jest zakochana w Luisie de Capdévila na dobre i na złe - a najprawdopodobniej jednak na złe.

Jane nigdy przedtem nie była zakochana. Spotykała się z chłopakami i chociaż kilku z nich mówiło o miłości, żaden z nich nie zdołał wzbudzić w niej głębszych uczuć. Jej serce do tej pory spało, ale teraz obudziło się i zaczęło pragnąć, żądać i tęsknić. Jednak nie mogło mieć tego, czego pragnęło. Nic dziwnego, że Luis mówił o niebezpiecznym terytorium, pomyślała, nie uświadamiając sobie ani przez chwilę, że to ona sama, jej nagle powołana do życia piękność i budzące się zmysły były tym właśnie terytorium.

Okazało się, że miłość jest bolesna. Nie ma w sobie nic z księżycowego światła i róż, nie ma nic wspólnego ze słodkimi słówkami i romantyzmem. Składa się głównie z zamieszania, dokuczliwej tęsknoty i zazdrości, palącej jak rozżarzone żelazo. Jest męczącym podekscytowaniem, które sprawia, że nie można się doczekać kolejnego dnia, że człowiek czuje się zbyt pełen życia i pragnie być przy ukochanej osobie, bo tylko jej obecność przynosi spokój i daje wrażenie przynależności. Miłość jest oddaniem się drugiemu człowiekowi ciałem i duszą, tak jak ona oddała się Luisowi de Capdévila.

Tyle tylko, że on nie angażował się w taki sam sposób. Och, wiedziała dobrze, że jest dla niego pociągająca. Nie była przecież głupia. Każda kobieta wie, kiedy mężczyzna uważa ją za godną uwagi. Powiedziały jej to pocałunki Luisa. Wiedziała, że dostarczyły mu one głębszej i niezapomnianej przyjemności, może największej, jaką kiedykolwiek dała mu kobieta, ale wszystko to było czysto fizycznym doznaniem. Nie mógł zaakceptować całej reszty jej osoby. A Jane nie była dziewczyną, która potrafiłaby udawać kogoś innego, była na to zbyt szczerą. W żadnym wypadku nie miała ochoty usidlać mężczyzny udając kogoś innego. Gdyby okazał się na tyle głupi, żeby dać się omotać w taki sposób, to wcale by go nie chciała.

Luis nie był głupcem. Miał bystry umysł, wyraźne poczucie humoru i był wyjątkowo inteligentny. On i Jane wywoływali w sobie nawzajem reakcję łańcuchową, ale kiedy Jane traciła kontrolę nad sobą i eksplodowała, co sprawiało, że jej świadomość gubiła kierunek i zdeorientowana rozpadała się na kawałki, jego umysł zawsze utrzymywał się w ryzach.

---

\* *Novios* (hiszp.) - narzeczem, obecnie również mężczyzna i kobieta żyjący ze sobą bez ślubu.

Co, u licha, mógł widzieć w Quecie dos Santos? Była piękna, ale Jane nieomylnym instynktem rozpoznawała, że dla Luisa piękność nie była wystarczającym kryterium. Doceniał ją - w końcu był Hiszpanem - ale, jeżeli nie było nic prócz urody, z pewnością jemu to nie wystarczało. Dla Luisa liczyło się przede wszystkim to, kim jest dana kobieta. Co sobą reprezentuje, w jaki sposób myśli. Czy jest rozumna, współczująca, kochająca? Jane była tego pewna, podobnie jak tego, że Queta nie posiadała żadnej z tych cech. Ten sam nieomylny instynkt mówił Jane, że Luis odkrył w niej i docenił niektóre z nich. Czyż nie mówił, że ma *sal*? Dlaczego więc schował się za nieprzeniknioną ścianą hiszpańskiej etykiety? Czyżby przecenił własne siły? Czyżby nie miał zamiaru poddać się oczywistemu uczuciu? Czyżby ona go zbałamuciła?

Szła pogrążona w rozmyślaniach i spekulacjach, a pytania krążyły po jej głowie jak ryby bez celu pływające w akwarium. Jane była rozsądną dziewczyną i wiedziała, że wszystko ma swoją przyczynę. Musiała tylko ją znaleźć.

Kiedy już pozostawiła za sobą hałas fiesty, wokół zrobiło się cicho i spokojnie. W jasnym świetle gwiazd biała droga biegnąca przez dolinę wydawała się wyblakła i jałowa. Ciemne drzewa owocowe po obu jej stronach uginały się pod ciężarem owoców, niemal gotowe do zbiorów. Sierpień w dolinie był bardzo gorący: temperatury dzień po dniu sięgały czterdziestu stopni. Jedyne dźwięki, jakie słyszała, to jej własny miarowy oddech, kilkakrotne pohukiwanie sowy i stłumione popiskiwanie nietoperzy między drzewami. Od aromatu dojrzałych brzoskwiń, moreli, nektarynek i śliwek, przesycającego powietrze, ślinka napływała jej do ust. Czula też bogaty zapach dzikich fig i winogron.

Przed nią, na skraju doliny, wznosił się dom. Lampy na tarasie wciąż się paliły, zapraszając do środka. Dom Luisa de Capdévili.

Jakieś magiczne zakłęcie wplątało ich oboje w tę samą sieć, pomyślała, tylko że on prześliznął się przez jej oczka i wyswobodził się. Ona zaś zaplątała się tak bardzo, że teraz już tylko jego ręce mogły ją uwolnić. Ale on też już nigdy o niej nie zapomni. Czula jego drżenie, kiedy ją całował, czula palący ogień, który już, już miał wyrwać się spod kontroli. Zaczęła się zastanawiać, jakim kochankiem byłby Luis i tak bardzo pochłonęły ją te rozważania, że zeszła z drogi i dopiero w połowie schodów wiodących w górę zbocza coś sobie uświadomiła. Poczula mrowienie skóry na karku. Ktoś ją obserwował. Ktoś chował się w gęstych zaroślach na zboczu, między sosnami i eukaliptusami. Ten ktoś - o ile była to jedna osoba - patrzył na nią. Wszystkie jej zmysły wyostrzyły się. Nie zatrzymała się, lecz dalej wspinała się po schodach, jedynie nieznacznie przyspieszając kroku, a od czasu do czasu przeskakując po dwa stopnie.

Wciąż czuła to mrowienie. W dolinie nie było niebezpiecznych dzikich zwierząt. Żyły tu tylko małe gatunki: lisy, króliki, zające. Gdyby to był pies, podszedłby do niej - zaprzyjaźniła się już z Curro, wielkim złotym labradorem, i Tiną, na wpół ślepą spanielką *señory*. Nie, to nie psy. Ale niewątpliwie coś się tam kryło. Nie mogła nic usłyszeć, mimo że pilnie nastawiała ucha i wstrzymywała oddech. Jednak czuła czyjaś obecność. Czy mógł to być Jorge, który robił sobie z niej żarty? Albo on i Alejandro zagniewani, że ich zostawiła? Czyżby przyszli aż tutaj przez zagajnik drzew owocowych, wspięli się na górę i czekali tylko, żeby wyskoczyć na nią z krzykiem?

Była już za połową drogi i widziała kraty w oknach i kałuże światła rzucane przez lampy, które paliły się przez całą noc. Nagle usłyszała trzask gałązki. Coś naprawdę tam było! Pomknęła biegiem jak zając przeskakując po dwa i trzy stopnie. Dzięki Bogu, ciężkie, nabite gwoździami drzwi nigdy nie były zamykane. Wpadła do środka jak maratończyk. Zatrzasnęła drzwi za sobą czując jak jej serce tłucze się o żebra.

- *Señorita?* - to był Pepe, stary odźwierny.

- *Hola, Pepe! Buenos noches*, dobry wieczór.

- Za szybko wbiegła pani po schodach, *señorita*. To długa wspinaczka i powinno się ją odbywać powoli, nawet jeśli ma się takie długie nogi.

- Masz rację, Pepe. Przebiegłam ostatnie kilkanaście metrów, bo przestraszył mnie hałas w lesie - może to królik albo lis?

- Jeże chodzą tu w nocy - powiedział z powątpiewaniem. - Nocą polują, ale nie wydaje mi się, żeby chciały panią zjeść. Uśmiechnęła się potulnie.

- Masz rację. Przyszłam do domu wcześniej, bo jestem zmęczona. Inni wrócą później. Dobranoc, Pepe.

Gdyby nawet Queta dos Santos nie była prawie oficjalnie zaręczona z Luisem de Capdévila, Jane i tak nigdy by jej nie polubiła. Pod jej delikatną powierzchownością krył się zbyt płytki umysł i

bezwzględny charakter. To nie Luis najbardziej ją interesował - chodziło o to, co posiadał. Chciała dostać Capdévila S.A., czyli posiadłości ziemskie, fabryki oraz bank, główne źródło bogactwa rodziny. To właśnie najbardziej interesowało Quetę, która umiała rozmawiać tylko o przedmiotach: futrach, biżuterii, samochodach, prywatnym samolocie, na kupienie którego próbowała namówić Luisa, żeby podróż do Cañas mogła zabierać im połowę obecnego czasu.

Ona i Luis z pewnością stanowiliby bardzo ładną parę. Co do tego nie było wątpliwości. Jej kocia kobiecość uwydatniała jego męską urodę i sama na jego tle stawała się bardziej widoczna. Oczywiście zawsze wyglądała ślicznie. Nie dla Quety gorący, wysuszający wszystko blask słońca: chroniła delikatną cerę w cieniu drzew albo pod wielkim kapeluszem. Nie grała w tenisa jak Jane, żeby się nie zgrzać. Jeździła konno, ale niezbyt daleko, i nigdy nie skakała przez przeszkody. Pozostałe konie spontanicznie, z czystej radości życia, przeskakiwały płoty i powalone pnie, ale ona dosiadała statecznej, dobrze ułożonej klaczy, i po powrocie z przejażdżki wyglądała zawsze tak samo nieskazitelnie jak wtedy, kiedy wyjeżdżała. Natomiast Jane wracała rozczochrana, w potarganej przez wiatr luźnej koszuli i dzinsach, wyglądając jak jakiś pastuch bydła. Również nie pływała. Siedziała tylko przy basenie w pomysłowo skrojonym, pięknym bikini i drżała z odrazy na widok Jane w zwykłym granatowym kostiumie Speedo, wykonującej podwójne salta i korkociągi, skaczącej do nowoczesnego basenu z najwyższej trampoliny albo z marmurowych ławek przy starym basenie. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie pluskającej wody i okrzyków dzieci: „Panno Jane, ja też tak chcę!”.

- Te Angielki są zdrowe jak rzepy - poskarżyła się kiedyś *dona* Alicii ze skrzywioną miną.

- Luis nazywa ją amazonką - uśmiechnęła się pobłażliwie pani domu.

- Doprawdy? Ona przypomina mi raczej wojownika...

- Jest bardzo inteligentna - odparła sucho *señora*. - W Oksfordzie zdobyła dwa główne wyróżnienia.

- Umysł będzie jej potrzebny - stwierdziła Queta z satysfakcją. - Jest wyjątkowo niepociągająca.

- Panna Jane ma wiele zalet - powiedziała tenora lodowato. - Jest miła, opiekuńcza i godna zaufania. Ma odwagę lwa i wesołość skowronka. Nigdy nie narzeka i w każdej sytuacji świetnie sobie radzi. Wszyscy bardzo ją kochamy.

- Dla mnie jest przytłaczająca - wzruszyła ramionami Queta. - Taka wielka. Na Alejandra niemal patrzy z góry...

- Ale on robi, co może, żeby temu przeciwdziałać.

- To tylko chłopiec - lekceważąco rzekła Queta. - Mężczyzna miałby lepszy gust; na przykład, Luis...

*Doña* Alicia wspomniała, jak Luis patrzył na Jane, kiedy ta nie zdawała sobie z tego sprawy, i zamyśliła się. Jej szwagier był skrytym człowiekiem, nie ujawniał zbyt wiele ze swoich uczuć, ale też bardzo podniósł ją na duchu i był dla niej opoką, odkąd dwa lata temu umarł jej mąż. Carlos uwielbiał swoją żonę i był przez nią uwielbiany; żyli bardzo szczęśliwie aż do chwili bezsensownego wypadku samochodowego, w którym zginął. Dlatego właśnie Luis tak się rozczłowieczał z powodu lamborghini. Na tej samej drodze zginął Carlos. Niemniej jednak Luis był trzeźwo myślącym człowiekiem i gdy tylko dowiedział się, że Jane naprawdę otrzymała stosowne przeszkolenie - co zresztą mógł przecież sam stwierdzić widząc, jak ich wyprzedzała - przestał protestować. Queta najwyraźniej także o nim myślała.

- Kiedy zobaczymy tu Luisa? - zapytała leniwie.

- Przyjedzie na urodziny bliźniąt. To jedyna okazja, której nigdy nie pomija.

- Ale to dopiero za tydzień...

- Luis ma wiele pracy, a spędził już z nami sporo czasu w Cabo de los Angeles.

Queta pominęła to milczeniem.

- No, i wkrótce przyjdzie czas zniw, a on zawsze tu wtedy przyjeżdża - powiedziała powoli *señora*.

W dniu urodzin bliźniąt, obchodzonych w Cañas, urządzano wielkie przyjęcie, na które zapraszano wszystkie dzieci z *finca*. Kucharka Simona piekła ogromne biszkoptowe ciasto z lukrem, a *señora* wynajmowała magika albo teatrzyk kukielkowy.

Po śniadaniu bliźnięta otworzyły prezenty. *Señora* dała Luisitowi mikroskop do studiowania okazów morskiej flory i fauny, Inés dostała śliczny złoty zegarek z delikatną, filigranową bransoletką, na widok którego wykrzyknęła: „Dokładnie taki jak twój, mamusiu!”.

Jane sprowadziła prezent dla Luisita z Anglii. Był to pięknie ilustrowany podręcznik biologii morskiej, który sprawił, że chłopiec zaniemówił z radości, a potem uściskał Jane tak, że o mało jej nie udusił. Dla Inés zdobyła zdjęcie piosenkarza, który był jej idolem, z jego własnoręcznym podpisem. Brat Jane znał go, ponieważ piosenkarz amatorsko zajmował się wyścigami

samochodowymi.

- On go naprawę zna? Rozmawia z nim, spędzają razem czas? - zapytała szeptem Inés.

- Tak, naprawę.

- I napisał to naprawę sam: „Mojej drogiej przyjaciółce i wiernej fance Inés Dolores Maria del Carmen de Capdévila y Ayala”?

- Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli skłamałam - przysięgła uroczyście Jane.

- Będę trzymała to zdjęcie pod poduszką - przyrzekła Inés. - A gdybym przyjechała do Anglii, może pani brat mógłby mnie mu przedstawić?

- Dopilnuję, żeby to zrobił - obiecała Jane.

Po obiedzie przyszyły inne dzieci, a magik zabawiał wszystkich swoimi sztuczkami, wyciągając im z uszu monety, gołębie z kapeluszy i świnki morskie z papierowych torebek.

Potem zaczęły się różne gry, łącznie z entuzjastycznie przyjętą zabawą w ślepą babkę. Jane była w tej roli bardzo dobra, tak że dzieci nie pozwoliły jej oddać przepaski na oczy nikomu innemu. Na oślep chodziła po tarasie z wyciągniętymi ramionami, kiedy nagle zauważyła zmianę w tle dźwiękowym: jakieś uciszanie, pomruki, ciche szepty. Nasłuchując uważnie wychwyciła stłumiony chichot Inés. Błyskawicznie rzuciła się w kierunku, z którego doszedł dźwięk. Dotknęła czyjś ramienia, ale mimo że głos należał do Inés, ramię nie było jej. Dotykała męskiego ramienia, poczuła pod palcami materiał marynarki.

- Jorge?

Jeszcze raz chichot Inés.

- Źle, panno Jane.

Jane pomacała rękę i sięgnęła wyżej, ku szyi. Jej palce dotknęły szczęki i wtedy już wiedziała, już była pewna. Ale nie powiedziała nic, chcąc jak najbardziej przedłużyć ten kontakt. Dotknęła uśmiechniętych warg - och, jak dobrze pamiętała te wargi...

- Alejandro? - zapytała.

Inés wybuchnęła śmiechem.

- Nigdy pani nie zgadnie, panno Jane. Proszę się poddać, proszę się poddać!

- Ja nigdy się nie poddam - twardo oznajmiła Jane. Delikatnie przesunęła rękę po tej niewidocznej twarzy, jej palce drżały lekko muskając jego powieki, aż sięgnęły włosów. Uniosła drugą dłoń i obiema znów dotknęła twarzy.

- Don Luis - stwierdziła spokojnie.

Przepaska została rozwiązana i oto stał przednią, a onyksowe oczy lśniły rozbawieniem.

- Widzę, że nawet pani palce są bardzo wykształcone.

- To po prostu kwestia dedukcji - rzuciła obojętnie. - Tylko pan jest wyższy ode mnie.

- Kłamczucha - odparł miękko szeptem, przeznaczonym tylko dla jej uszu. Potem dodał głośno, oficjalnym tonem: - Jak się pani miewa, panno Jane?

- Bardzo dobrze, jak pan widzi - odpowiedziała tak samo oficjalnie. - A pan?

- Ja też jakoś żyję.

Ich oczy spotkały się i zwarły, aż w końcu odwróciła się w kierunku dzieci, które stłoczyły się wokół niej.

- W porządku, teraz zakończymy grę i zobaczycie, co przywiózł dla was wujek Luis.

Przeszła do stołu i uniosła do ust kieliszek szampana, przeznaczonego dla dorosłych gości.

- To było sprytne, panno Jane.

Spojrzała w dół, prosto w kremowobrązowe oczy Quety dos Santos.

- Bardzo dobrze mnie wykształcono - powiedziała skromnie.

- Również w kwestii wyczuwania obecności don Luisa?

- Zwykła dedukcja - skwitowała Jane pociągając łyček szampana. W głębi oczu Quety płonął pożar zazdrości.

- Detektywem też pani jest? - prychnęła groźnie. Mogłabym wyśledzić Luisa de Capdévile związaną, zakneblowaną i oślepioną, pomyślała Jane. Żywiła rozpaczliwą nadzieję, że Luis zostanie z nimi przez jakiś czas, a jednocześnie żałowała, że w ogóle przyjechał. Wypiła jeszcze jeden łyk szampana. Może gdyby spróbowała utopić swoje smutki...

- Panno Jane, proszę pójść z nami. Idziemy zobaczyć prezent wujka Luisa - poprosiła Inés, ciągnąc ją za rękę.

- Oczywiście - odparła Jane wychylając szampana do dna. - Słyszę i jestem posłuszna.

- Brzmi tak szczerze, że prawie dałem się nabrać. - Luis de Capdévila stał obok Inés.

Jane posłała mu wymowne spojrzenie.

- To by dopiero był dzień - powiedziała radośnie i podążyła za Inés. Do licha, że też on zawsze umiał wyprowadzić ją z równowagi.

Żałowała, że nie udało jej się upić szampanem i w ten sposób pozbyć myśli o Luisie. Z drugiej strony, wystarczy pomyśleć, co stało się po tamtej sangrii! Na to wspomnienie przyspieszyła kroku i niemal pobiegła za Inés, która mknęła w kierunku stajni najszybciej, jak umiała. Luisito dotrzymywał jej kroku.

- Gdzie jest niespodzianka, gdzie? - wołała Inés, przystając na podwórzu i nie widząc niczego niezwykłego.

- Chodź ze mną, to zobaczysz - powiedział jej wujek, zachodząc ją od tyłu.

- To po jednej rzeczy dla każdego, czy jedna rzecz dla nas obojga? - zapytał rzeczowo Luisito.

- Chodźcie za mną, a zaraz się przekonacie.

- Mówi jak ojciec Wirgiliusz - mruknęła Jane i wzdrygnęła się pod spojrzeniem, jakie jej posłał. Była coraz bardziej podniecona jego bliskością. Tym człowiekiem mogła się upić szybciej niż wielką butlą szampana.

Poprowadził dzieci do jednej ze stajni.

- Poczekajcie tutaj - zarządził i zniknął w środku. Czekali więc, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Luis pojawił się znowu, prowadząc dwa piękne kucyki palomino. Na ich widok dzieci oszalały. Rzuciły się na wujka, ścisnęły jego nogi, ręce, wszystko, czego mogły dosięgnąć. Potem przypadły do kucyków, podczas gdy Luis, ich matka, Queta, Jorge i Alejandro, którzy nadeszli później, przyglądali im się z uśmiechem. Jorge i Alejandro zajęli swoje ulubione pozycje po obu bokach Jane, na co Luis uniósł lekko brwi. Kiedy Jane podeszła, żeby pogłaskać kucyki, zapytał półgłosem:

- To ochroniarze?

Uśmiechnęła się do niego uśmiechem pełnym miodowej słodyczy.

- Po prostu wybieram bezpieczne liczby - odparła. Ze śmiechem, od którego krew musowała jej jak szampan, pozwolił jej podejść do kucyków. Stały w słońcu złociste i czujne.

- Och, jakie z was piękności - powiedziała z czułością. - Dwie piękności.

I co za prezent, pomyślała. Nie jeden, ale dwa kucyki pełnej krwi. Nic dziwnego, że Queta ma taką ochotę wreszcie dostać swoją pierwszą książeczkę czekową. Położyła dłoń na wygiętej szyi i jedwabistej grzywie, a miękkie nozdrza powąchały jej policzek.

- Nawet konie - zdziwił się głęboki głos. - Czy nie ma końca jej podbojom?

Spojrzała prosto w błyszczące oczy.

- Na drugie imię mam Czyngis Chan - odrzekła z udawaną skromnością i znów poczuła, jak od jego śmiechu krew w jej żyłach musuje.

- Możemy pojeździć, możemy? - dopraszały się bliźnięta.

- Macie gości - przypomniał im. - Ale wszyscy wybierzemy się na przejażdżkę jutro rano i to wcześniej. O siódmej.

Mówiąc to patrzył na Jane.

Jej iskrzące się psotnie oczy wyglądały jak dwa czyste, szmaragdowe jeziora.

- *Se obedece pero no se cumple*. Przyjmujemy rozkaz, ale protestujemy - powiedziała niewinnie, co sprawiło, że znowu się roześmiał.

Tak jak się tego spodziewała, Luis de Capdévila w siodle był niesamowity. *Magnifico*, cudownie, westchnęła w duchu Jane używając hiszpańskiego słowa, bo ono najlepiej wyrażało jej uczucia. Dosiadał mocnego, niespokojnego kasztana o stosownym do charakteru imieniu, pełnego siły i charakterystycznej dla pełnokrwistych koni nerwowości. Jane patrzyła na niego tęsknie nad głową własnego wałacha piaskowej maści.

- Nie, ten nie jest dla pani - głos brzmiał zdecydowanie, a groźba była równie mocno wyczuwalna, jak jego dłoń na jej nadgarstku. - Mocna z pani dziewczyna, moja piękna amazonko, i jeździ pani jak marzenie, ale są rzeczy, których nawet pani nie potrafi. Wydałem już stosowne polecenia.

Mściwie spojrzała mu w oczy. Był uprzejmy, lecz nieprzejednany.

- Mówiłem już wcześniej - ciągnął, jakby niczego nie zauważył - że tutaj to ja płacę orkiestrze...

- Jednocześnie sam grając pierwsze skrzypce - wpadła mu w słowo.

- ...w związku z czym narzucam również rytm.

- Tak jest, *maestro* - powiedziała z sarkazmem tak wyostrozonym, że mógłby się nim ogolić, ale kiedy zobaczyła niebezpieczny błysk w jego oczach, ze strachem popędziła konia i pomknęła, czując, jak koń odpowiada na nacisk jej nóg, jak przemyka nad kamiennym murem niczym niesiony wiatrem liść i pozostawia Jorgego i Alejandra, wiecznie towarzyszące jej cienie. Kręcili się w kółko w zaskoczeniu, zanim udało im się opanować konie i popędzić za nią wraz z bliźniętami, pozostawiając Luisa do towarzystwa Quecie, która nigdy nie galopowała.

W lesie było chłodno, pachniało sosną i eukaliptusem. Słońce rozpryskiwało wokół plamki

światła, a ptaki wyśpiewywały swoje słodkie piosenki. Kopyta konia zagłębiały się w miękkiej ziemi, kiedy ostrożnie posuwał się w dół zbocza na dno doliny i dalej, na otwartą przestrzeń, gdzie Jane znów spięła go do swobodnego galopu, niemal lotu. Przed nią pojawiły się pierwsze przeszkody, a wałach przelatywał nad nimi jak piórko.

Było to piękne zwierzę, młode i pełne werwy, podobnie jak Jane. Tworzyli razem niezapomniany widok, kiedy tak przemknęli wyschniętym korytem rzeki, wspięli się na brzeg i popędzili dalej. Powietrze gwizdało w uszach Jane, rozsypywało jej włosy na kształt jedwabistego ogona takiego samego, jak u jej konia, i trzepotało kołnierzem jej rozpiętej koszuli. Kiedy znów dotarli do lasu, Jane pozwoliła żrebackowi zwolnić, a on prychnął przez nos i tańczył, najwyraźniej świetnie się bawiąc.

- Jesteś niesamowity i zakochałam się w tobie - powiedziała mu Jane klepiąc łukowato wygiętą szyję. Koń zastrzygł uszami ze zrozumieniem.

- Jestem zazdrosny - powiedział Luis, podjeżdżając do niej z tyłu na swoim ogierze.

- Ma pan rozwścieczający zwyczaj podkradania się do ludzi! - krzyknęła skonsternowana Jane czując, jak rumieniec występuje jej na policzki - a nawet do koni!

Czemu mówił tak kuszącym tonem, i gdzie się podziała Queta?

- Zdaje się, że coś pan zgubił - powiedziała. Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

- Nie wydaje mi się, przecież pani jest tutaj.

- Mam na myśli pańską narzeczoną - wyjaśniła Jane, czerwona jak burak.

- Nigdy nie gubię narzeczonych - zapewnił ją uroczyście. Odwróciła głowę, żeby ukryć uśmiech, a ich konie szły przyjaźnie obok siebie, podzwaniając i skrzypiąc uprzężą.

- Wie pan, mogłabym na nim jeździć - powiedziała nagle Jane wyzywająco. - Mam bardzo silne nadgarstki.

- Ale moje są silniejsze - odparł obojętnie. - Proszę mi się nie sprzeciwiać w tej sprawie. - Trzasnął z bicia. - Buntownik musi mieć cel. Natomiast gdyby udało się pani dosiąść Kasztana, dowiodłaby pani jedynie, że ma buntowniczą naturę.

- Nie mam buntowniczej natury - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Robię tylko to, co potrafię robić, a wiem, że mogłabym go dosiadać. Pan uważa mnie za buntowniczą tylko dlatego, że sam pan nakłania mnie do takiego zachowania - pan i pańskie cholerne uprzedzenia. Na ogół nie zachowuję się w taki sposób - powiedziała z wściekłością. - Ma pan na mnie niesamowity wpływ...

- Proszę mówić dalej - powiedział miękko.

- Nie - ucięła. Już i tak miał nad nią wystarczającą przewagę. Niech ją licha, jeżeli pozwoli mu zyskać jeszcze większą. Dlaczego właściwie tak otwarcie szukał jej towarzystwa, kiedy tamtej nocy w Cabo sam jej powiedział - i to stanowczo - że lepiej, gdyby nie spotykali się za często? To nieładnie z jego strony, skoro wiedział, jak na nią działa. A jeżeli ona tak samo działała na niego? Co by się stało, gdyby on także polubił słowne bitwy, ciągle wyzwania, ostre dźwięki ścierających się mieczy? W końcu nie robili sobie nawzajem żadnej krzywdy... z wyjątkiem tej, która stała się jego sercu, pomyślała z bólem. A czy mnie udało się zranić jego serce? Nie wygląda na kogoś, kto krwawi...

Szybko zbliżający się tętent kopyt obwieścił przyjazd Quety, która nie była specjalnie zadowolona widząc Luisa i Jane sam na sam. W ciemnych oczach malowała się żądza mordy, kiedy Queta wepchnęła swojego konia między kasztana i piaskowego wałacha. Jane bez słowa została od razu w tyle, gdzie Jorge i Alejandro zajęli swoje pozycje i zaczęli spierać się, kto ma większe prawo do niej: Jorge ze swoim zaproszeniem na *tienta*\* na sąsiednim ranczu, czy też Alejandro ze swoim zaproszeniem na mecz tenisa.

Bliźnięta poparły Jorgego: chciały pojechać na ranczo i na własne oczy zobaczyć młode byczki.

- To na razie zwykle cielęta, panno Jane, mają około dziesięciu miesięcy - powiedziała Inés z ważną miną - i trzeba je sprawdzić, żeby zobaczyć, czy są dzielne. To bardzo interesujące. Nie zabija się ich - powiedziała lekko - nie tak, jak na arenie. Jorge czasem próbuje się z nimi, prawda Jorge?

Jorge wzruszył ramionami.

- Czasem.

Nie był specjalnie zadowolony. Jakby nie dość, że musiał godzić się na podrywanie Jane przez Alejandra, to teraz jeszcze jego własny *tio* Luis prześcigał ich wszystkich na swoim wielkim ogierze w beczelnym i oczywistym poszukiwaniu obiektu nieodwzajemnionego przez całe lato uczucia Jorgego. Należało się spieszyć, minęły już dwa z trzech miesięcy lata, a ona ukrócała

---

\* Tienta (hiszp.) - próba byczków przeznaczonych do walk.



każdą dotychczasową próbę zdobycia jej względów. W końcu musiał myśleć o swojej reputacji! Sytuacja zaczynała wyglądać beznadziejnie. Trzeba wykorzystać każdą sposobność. Może, gdyby udało mu się zrobić na niej wrażenie swoim męstwem w starciu z bykami... Nie sądził, że tak trudno będzie usidlić tę angielską *rubia*, ani też, że będzie gotów poświęcić na jej usidlenie całe lato. Rzecz jasna, była naprawdę wspaniała. Chętna do każdej zabawy - z wyjątkiem przypadków, kiedy tłumiała jego zaloty. Umiała pływać, jeździć konno, grać w tenisa i wszystko to robiła świetnie i z radością. Stanowiła wspaniałą towarzyszkę, nawet jeśli była z niej również najzagorzalsza przeciwniczka. Co zresztą odkrył Alejandro, kiedy pobiła go w tym, w czym był niepokonany - w ostrej i szybkiej partii tenisa. Jedyne pocieszenie dla Jorgego stanowił fakt, że Alejandrowi też nie udało się niczego osiągnąć. Oba trzymała na wyciągnięcie ramienia - długiego, podobnie jak jej cudowne nogi.

Jorge pozostał z tyłu z bliźniętami i jechał za Jane, żeby móc na nią patrzeć i marzyć o tym, co miałby ochotę zrobić, kiedy usłyszał twardy głos:

- Nie marnuj czasu, chłopcze. Panna Jane nie jest dla takich jak ty.

Jorge ocknął się nagle i stwierdził, że jego wujek przygląda mu się spojrzeniem, które świadczyło o tym, że widział i rozumiał wszystkie jego myśli. Jorge miał wystarczająco dużo poczucia przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

- Lato jeszcze się nie skończyło - wzruszył ramionami.

- Mógłbyś tropić ją choćby i przez całą zimę, ale i tak nic byś nie wskórał. Do schwytania takiego okazu trzeba szczególnego myśliwego.

- Jest kobietą - powiedział z zadowoloną miną Jorge - a one lubią być chwywane.

- Nie ta kobieta. Zamknij ją w klatce, a umrze. Jest przecież całkowicie wyzwolona, pamiętasz o tym? Jorge spojrzał ostro na wuja.

- Sporo widziałeś w krótkim czasie - zauważył lodowato. - Pozwól mi zauważyć, że ja spędziłem z nią więcej czasu niż ty i znam ją lepiej.

- Doprawdy! - ciemne oczy zmierzyły go obojętnym spojrzeniem. Jorge znowu się zarumienił.

- No, nie w taki sposób, chociaż próbowałem przez całe lato.

- Mówiłem ci - stwierdził lakonicznie Luis de Capdévila. - To amazonka.

Jorge westchnął.

- Jest cudowna, prawda? Tak świetnie sobie radzi w każdej dziedzinie... sprawia, że czuję się...

- Niedostatecznie dobry?

Jorge spojrzał na wuja.

- Tak! Skąd wiesz?

- Takie właśnie wrażenie wywiera na ludziach. - Jego wujek patrzył z roztargnieniem na jadącą przed nimi wyprostowaną sylwetkę, pogrążoną w przyjaznej rozmowie z bliźniętami.

- Mam nadzieję, że w Oksfordzie studiuje dużo takich jak ona. - Jorge pożerał ją oczyma. - Jane mówi, że jest ich sporo.

- Wątpię - rzucił szorstko jego wuj. - Jane jest jedyna w swoim rodzaju.

- Ale w angielskim parlamencie przegłosowano ustawę, która mówi, że mężczyźni i kobiety są sobie teraz całkowicie równi - powiedział Jorge.

- Tylko wobec prawa.

- Więc wiele kobiet będzie miało okazję stać się takimi jak Jane, jeśli tylko zechcą. Jane mówi, że to właśnie liczy się najbardziej: nie, że kobieta będzie kiedyś angielskim premierem, lecz że może nim być, jeżeli chce. Jane mówi, że kobiety nie są już ograniczone do odgrywania w życiu tylko swojej biologicznej roli, tak jak to się działo przez wiele wieków. Teraz uznaje się je przede wszystkim za jednostki ludzkie, które po prostu przypadkiem są płci żeńskiej i nie ma niczego, czego nie mogłyby robić.

- Tego właśnie was uczy? - zapytał ponuro Luis.

- O nie, uczy mnie tylko angielskiego, ale sporo ze sobą rozmawiamy i wiele razy o tym mówiliśmy.

- Więc ona naprawdę wierzy w te wszystkie rzeczy o równouprawnieniu kobiet?

- O, tak - odparł obojętnie Jorge. - Żarliwie w to wierzy. Mówi, że kobiety nie muszą być równouprawnione, jeżeli nie chcą. Ustawa nie może tego przeforsować, ale dla tych kobiet, które chcą być traktowane przede wszystkim jak jednostki ludzkie, a dopiero potem jak kobiety, zamiast na odwrót, taka ustawa jest bardzo dobrą rzeczą.

- I ona postrzega siebie samą właśnie w taki sposób? Jorge zaśmiał się krótko.

- O tak, ona tak. Ale ja postrzegam ją raczej na odwrót. Tak samo jak Alejandro. Kiedy patrzy się na Jane, widać przede wszystkim kobietę, która jest także jednostką ludzką.

Wargi Luisa zdrząły.

- Faktycznie - stwierdził tonem, jakim mógłby powiedzieć „Amen”. - A co z małżeństwem i dziećmi? - zapytał po chwili. - Nie chce tego?

- Jeżeli uzna, że tego chce, wtedy będzie je miała - tak właśnie mówi.

Luis zaśmiał się niepohamowanie.

- Mężczyzna strzela, a kobieta kule nosi - stwierdził złośliwie i popędził ogiera, by zrównać się z pogrążoną w myślach Jane.

- Z włosami spływającymi na plecy wygląda pani jak Alicja w krainie czarów - oświadczył.

- Bo jestem nią - powiedziała z rozmarzeniem Jane, nie w pełni jeszcze zdając sobie sprawę z jego obecności. - Hiszpania przypomina mi krainę czarów.

- Lubi pani mój kraj.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sprawiło, że Jane ocknęła

się i uświadomiła sobie jego bliskość. Rumieniec zabarwił jej szyję i policzki.

- Zawsze go lubiłam - odezwała się z trudem. Potem dodała otwarcie: - Odkąd tylko przyjechałam tu po raz pierwszy. Ten kraj przemówił do mnie.

- I co powiedział?

- Och... że tutejszy sposób życia, kultura, cywilizacja, diametralnie różnią się od tego, co znam z Anglii, ale mają wiele do zaoferowania. Polubiłam potrawy, klimat, muzykę, język...

- A Hiszpanów?

Miała wystarczająco dużo rozważań, żeby nie spojrzeć w jego lśniące oczy.

- Naturalnie - odparła lekko.

- Ale z pewnością ostrzegano panią przed nami? - upewnił się. Poczula, że jej serce przyspieszyło rytm.

- O, tak. Od samego początku. *Cuidado con los hombres españoles*, tak mi mówiono. „Strzeż się hiszpańskich mężczyzn”.

- To prawda, że mamy... określoną reputację - zgodził się uprzejmie.

- Bardzo uzasadnioną - powiedziała Jane, zanim zdołała się powstrzymać.

- Miała pani jakieś trudności? - zapytał niewinnie.

- Ha! - parsknęła ponuro Jane.

- Intrygujące - skomentował jedwabistym głosem. - Nigdy bym nie pomyślał, że pani, mając tak wyzwolone poglądy, może być zaniepokojona czymś, co jest w końcu normalnym ryzykiem dla kobiet, które wyglądają tak, jak pani.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma i z otwartymi ustami. Jego oczy rzucały iskry - nie, raczej ciskały płomienie! Wstrząśnięta, odwróciła wzrok i wpatrzyła się w głowę swojego konia. On z nią flirtował!

Usłyszała stłumiony śmiech i natychmiast poderwała się wściekła, żeby zdusić go kilkoma celnymi słowami, ale napotkała jego spojrzenie. Ostrożny uśmiech rozszerzył się i zmienił w serdeczny śmiech, ale kiedy tak patrzyła mu w oczy, w jego wzroku coś się zmieniło i śmiech powoli zamarł, a ona poczuła, że zaschło jej w ustach, a serce podskoczyło do gardła.

*Cuidado con los hombres españoles*. To zdanie paliło się jasnym blaskiem w jej umyśle. Wiedziała, że miał ochotę ją pocałować. On wiedział, że ona też tego chce. Jej wargi rozchyliły się mimo woli i całym ciałem lekko pochyliła się w jego stronę.

- Czy mogliśmy wszyscy usłyszeć ten dowcip? - Znowu Queta. Tym razem była wściekła. Jej głos przełamał czar. Jane wzdrygnęła się i usiadła prosto, a koń zrozumiał to jako sygnał dla siebie i wyrwał się do przodu.

- Cóż, doprawdy - usłyszała niktący w oddali głos Quety, podczas gdy wałach radośnie galopował.

Pozwoliła mu na to, chcąc uciec od migotliwej sieci, w której uwięziła ją już na dobre zmysłowość tego mężczyzny. To nie mogło się skończyć inaczej, jak tylko złamanym sercem. Był w końcu moralnie związany z Quetą dos Santos. Czyżby z premedytacją próbował jej pokazać, że jest wyzwolona tylko na tyle, na ile on jej pozwoli? Że nie wyzwoli się od własnego pożądanego i instynktów?

Stukanie podków konia wybijało rytm jego imienia, tak jak tamtej nocy, kiedy ją pocałował.

Luis, Luis, Luis, Luis...

Głośno zaszlochała, naprowadziła wierzchowca na majaczący w oddali kamienny mur i kiedy przez niego przeskakiwał płynąc w powietrzu jak ptak, jeden raz głośno i rozpaczliwie wykrzyknęła imię: Luis...

Po tym incydencie Jane uważała, żeby unikać Luisa de Capdévili. Nie było to łatwe. Rzadko mogła oddalić się gdzieś na własną rękę, ale korzystała z każdej sposobności, żeby zabierać dzieci na basen, na spacer albo na wycieczki rowerowe po tym, jak w jednej z szop znaleźli stare rowery

i Jane nauczyła bliźnięta na nich jeździć. Teraz zaczęły domagać się własnych rowerów w prezencie gwiazdkowym!

I zawsze, kiedy była z dziećmi zbierając dzikie jeżyny dla Simony na galaretkę, albo kiedy wałęsali się po drogach prowadzących przez posiadłość i po okolicznych lasach, znowu zaczęła mieć niepokojące wrażenie, że jest obserwowana. Dzieci tego nie zauważały, i nigdy nie udało jej się nikogo zobaczyć, ale wrażenie było silne i sprawiało, że czuła się nieswojo. Jeżeli byli z nią Jorge albo Alejandro, nic się nie działo - niepokój pojawiał się tylko wtedy, gdy była sama albo z dziećmi. Zastanawiała się, czy nie powinna powiedzieć o tym *señorze*, ale zdecydowała, że nie ma wystarczających dowodów, żeby niepokoić innych. Uczucie nie było żadnym dowodem. Tak więc nie powiedziała nic. Aż do incydentu z aparatem fotograficznym.

Byli wszyscy przy marmurowym basenie i właśnie wracali, kiedy Jane przypomniała sobie, że zapomniała zabrać aparat. Był całkiem dobry, i chociaż była pewna, że nikt go stamtąd nie ukradnie, wolała wrócić. Poza tym, w środku miała nie dokończoną jeszcze rolkę filmu, którą chciała zużyć na przyjęciu zaręczynowym tego samego wieczora.

Powiedziała więc reszcie towarzystwa:

- Idźcie dalej, za parę minut was dogonię - i pobiegła z powrotem do basenu, ale aparatu tam nie było. Szukała uważnie pod wszystkimi ławkami i w przebieralniach. Po prostu zniknął. Nagle uświadomiła sobie, że kimkolwiek czy też czymkolwiek było to, co ją obserwowało, znowu się pojawiło. Na ciele wystąpiła jej gęsia skórka, a serce zaczęło bić szybciej. Poczowała się dziwnie zagrożona. Wokół było bardzo cicho, dzień powoli zmierzał ku końcowi - zbliżała się już szóstka. Próbując nie pokazać po sobie zdenerwowania, wstała, a potem, jakby decydując, że nie ma sensu dalej szukać, odwróciła się, żeby dołączyć do reszty i kątem oka zauważyła przelotnie coś lub kogoś między drzewami. Odniosła wrażenie, że widzi wielki cień, a wśród ciszy wyraźnie dobiegł ją dźwięk szeleszczących krzewów, spłoszony ptak przemknął nad jej głową. Ze zduszonym okrzykiem zerwała się do biegu. Nie była pewna, dokąd biegnie, wiedziała tylko, że musi uciekać.

Luis de Capdévila wracał do domu samochodem z drugiej strony *finca*. Zamyślony prowadził machinalnie, kiedy nagle coś wyskoczyło z krzaków jakieś dwadzieścia jardów przed samochodem i przemknęło na drugą stronę drogi. Zahamował ostro i siedział zaskoczony. Przez moment wydawało mu się, że to Jane. Zamknął oczy i jeszcze raz przypomniał sobie, co widział. Tak, to była Jane. Pędziła przed siebie z wyrazem ślepego przerażenia na twarzy, długimi nogami ledwo dotykając ziemi. Przebiegła drogę i zniknęła w lesie. Sądząc po kierunku, w którym zmierzała, przekroczy ją znowu na zakręcie, nieco dalej w dole zbrocza. Przycisnął pedał gazu i pomknął drogą. Nawet jeżeli Jane cały czas bieć będzie z taką szybkością, powinien dotrzeć do miejsca, w którym wynurzy się z lasu na czas, żeby ją zatrzymać.

Kiedy zatrzymał dżipa i pobiegł na pobocze, usłyszał, jak się zbliża. Obijała się o krzewy, darła liście nie patrząc zupełnie, dokąd biegnie. Co mogło się stać, że wywołało w niej taki strach? I gdzie się podzieli inni? Gdzie były dzieci?

Wypadła z zarośli, nawet w panice biegnąc z gracją gazeli. Nie zauważyła Luisa, i wpadła na niego z taką siłą, że przewróciła go i oboje potoczyli się na drogę. Wydała z siebie okrzyk przerażenia i uciekłyby, gdyby nie złapał jej za kostkę. Próbowała go kopnąć, ale pociągnął ją w dół i złapał za nadgarstki, kiedy starała się go uderzyć. Nie miała pojęcia, kim on jest i co się z nią dzieje. Opanował ją bezmyślny strach, od którego pobielała jej twarz, a oczy straciły wyraz.

- Jane! - krzyknął ostro. - Jane!

Chciała trafić go zaciśniętą pięścią, ale złapał ją za rękę, przytrzymał i unieruchomił ją na jej plecach. Sięgnęła ku jego twarzy drugą ręką, ale sparował cios i udało mu się unieruchomić ją wolnym ramieniem. Całe jej ciało zeszywniało.

- Jane - powiedział znowu. - To ja, Luis!

Złapał ją za brodę i podniósł jej głowę tak, żeby musiała na niego spojrzeć.

- Jane - powtórzył spokojniej. - Jesteś teraz bezpieczna. Popatrz na mnie. To ja, Luis!

Oddech zgrzytał jej w gardle z wysiłku, ale poczuł, że jej ciało trochę się rozluźnia. Oczy straciły pusty wyraz i dotarło do niej, że to rzeczywiście on.

- Och, Luis - szepnęła i schowała głowę na jego piersi. Nie mogła powstrzymać drżenia. Puścił jej nadgarstki i objął ją ramionami. Przytuliła się do niego i objęła go mocno.

- W lesie ktoś... coś... było. Patrzyło na mnie i słyszałam je. Myślę, że chciało mnie złapać, ale uciekłam. Słyszałam to już wcześniej. Obserwuje mnie...

Trzymał ją siedząc na ziemi, na poboczu, a ona chowała głowę pod jego brodą, aż jej oddech trochę się uspokoił. Pod policzkiem czuła uspokajające, miarowe bicie jego serca. Zorientował się, że napięcie powoli opuszcza jej ciało, więc wyciągnął rękę i zaczął głaskać potargane przez gałęzie włosy, wyjmując z nich kawałki liści i gałązki, które wplątały się w nie podczas ucieczki na łeb na

szyję.

- Coś tam było, naprawdę! Czulałam to już wcześniej. Zawsze, kiedy byłam sama albo z dziećmi.

- Gdzie są dzieci? - zapytał delikatnie, lecz czujnie.

- Razem z Jorgem i Alejandrem. Ja wróciłam do basenu, żeby zabrać aparat. Zostawiłam go tam, ale kiedy zaczęłam szukać, już go nie było. - Uniosła głowę i popatrzyła na niego niespokojnie. - Nie było go tam, Luis. Wiem, w którym miejscu go zostawiłam. Cokolwiek albo ktokolwiek był w lesie, musiał go zabrać...

Znowu oparła głowę o jego twardą, ciepłą pierś, przy której czuła się tak bezpiecznie.

- Może jakiś włóczęga albo Cygan - powiedział rzeczowo. - Oni na pewno ukradliby twój aparat, gdyby mieli okazję. Widziałaś coś? - zapytał niepewnie.

- Tylko przez mgnienie oka, jakiś cień - coś wielkiego. - Zadrżała. - Obserwuje mnie.

- Wszyscy to robimy - szepnął miękko.

Od razu poczuł zmianę w jej ciele i przeklął swoją głupotę. Nagle uświadomiła sobie, że znajduje się w jego objęciach i odepchnęła go. Puścił ją. Wstała niepewnie.

- Przepraszam - powiedziała sztywno. - Nie miałam zamiaru tak na ciebie wpadać. - Mówiąc to zaczerwieniła się. Podniósł się lekko.

- Wiem, że nie - zgodził się. - Stań na twojej drodze specjalnie, żeby cię zatrzymać.

- Wpadłam w panikę - przyznała ze wzburzeniem.

- Przestraszyłaś się.

- Naprawdę coś tam było. Naprawdę.

- Zdarzało się, że widziano w lasach Cyganów albo włóczęgów.

- Ale czemu tak mnie obserwuje, czemu skrada się tak... tak tajemniczo?

- Bo wie, że miałby kłopoty, gdyby go złapano.

- Przepraszam - powiedziała ze smutkiem. - Po prostu... nie mogę znieść, że jestem obserwowana w taki sposób. Denerwuje mnie to.

- Każę ludziom mieć oczy otwarte. Jeżeli ktoś tam jest, to go złapiemy.

- Nie ma żadnego „jeżeli” - odparła z napięciem. - Ktoś tam jest. Jestem tego pewna - odwróciła się, nerwowo przyglądając włosy.

- Chodź, zawiozę cię do domu. Nie wspomniemy o tym mojej bratowej. Jest bardzo nerwowa i martwiłaby się. - Podeszedł do niej i objął ją ramieniem. - Nie chodź do lasu samotnie, ani tylko z dziećmi. Zabieraj ze sobą Jorgego i Alejandra. Zadbam o to, żeby złapano tego, kto się tam chowa.

Stała z pochyloną głową, strzepując kurz i liście z koszuli. Widział ciemne półkola jej rzęs odcinające się od złocistej skóry. Jego ramię wzmocniło na chwilę uścisk, potem opadło.

- Wsiadaj - powiedział. - W domu dostaniesz najlepsze angielskie lekarstwo na takie zmartwienia.

- Czyli co? - zapytała, zanim zdążyła się powstrzymać. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Filiżankę herbaty.

Queta nie kryła się wcale ze swoją antypatią wobec Jane. Kociak miał pazury i nie wahał się drapać. Luis był jej własnością, a Angielka przyjechała tutaj tylko na lato i nie powinna wyobrażać sobie, że jest kimś lepszym niż ona. Queta bez zwłoki rozpoczęła pokaz, mający udowodnić Jane jej roszczenia do tego, aby zostać w przyszłości panią Luisową de Capdévila. Jej mina właścicielki mówiła wyraźnie: Ręce precz od niego! To własność prywatna.

Na przyjęcie, które miało odbyć się tego wieczoru w sąsiedniej *finca*, gdzie córka domu ogłaszała oficjalnie swoje zaręczyny, Queta jechała samochodem wraz z Luisem. Jane pojechała ze swoją zwyczajową eskortą.

Przyjęcie - podobnie jak cały dom - urządzono bardzo bogato. Około dwustu gości, dwa zespoły muzyków, dyskoteka i tyle jedzenia i picia, że można byłoby wyżywić nimi choćby i dwa tysiące gości.

Jane była w gorączkowym, błyskotliwym nastroju. Pławiła się w atmosferze ogólnego podziwu i flirtowała, nie przebierając specjalnie, z większością adorujących ją mężczyzn. Na parkiecie przechodziła z jednych ramion w drugie i nie miała czasu rozmyślać ani nawet spojrzeć na Luisa de Capdévila, chociaż w każdym momencie świadoma była jego obecności. Luis miał na sobie elegancką ciemną marynarkę przypominającą jej nieustannie, jak się zachował, kiedy ubrał się tak ostatnim razem. Tańczył, widziała go z Queta, z Lolitą - szczęśliwą narzeczoną, potem z *señorą*, z panią domu, z różnymi innymi kobietami. Ale do Jane nie podchodził.

Bardzo starała się trzymać z daleka od grupek gości, z którymi rozmawiał, tańczyła wtedy, kiedy on nie tańczył, i na odwrót. Nie pozwalała Jorgemu ani Alejandrowi zaganiać się do zacienionych zakątków oświetlonego lampami tarasu i czarująco radziła sobie z innymi drapieżnymi mężczyznami, będącymi pod wrażeniem tej bardzo wysokiej, intrygująco pewnej siebie Angielki z wielką masą popielatych włosów i cerą gładką jak nektarynka, którą podkreślała jeszcze zwiewna

szyfonowa sukienka, cała w zieleniach i błękitach, mieniących się jak benzyna na kałuży.

Jednak gdziekolwiek się znajdowała, czuła przy sobie jego obecność, a jego głos był jak szarpnięcie struny, która ją z nim wiązała. Tylko że Queta najwyraźniej rościła sobie do niego większe prawo. Jane usłyszała, że ktoś zapytał ją:

- A kiedy możemy oczekiwać podobnego oświadczenia od ciebie i Luisa?

Głos Quety brzmiał jak mruczenie kotki, która właśnie wypila całą miseczkę śmietanki:

- Prędej niż myślicie - mruknęła.

Jane automatycznie wyszła na parkiet z Jorgem - a może był to Federico albo Jose - żeby odtańczyć skomplikowaną sambę, po niej rumbę, potem *paso doble*, a potem jeszcze tango. Nie przestawała wirować, krążyć, sunąć po parkiecie i wyginać się, ale nie mogła ani na chwilę uwolnić się od myśli o Luisie. W końcu muzyka się zmieniła. Zespół odszedł na zasłużony wypoczynek, ustępując miejsca dyskotecie. Przygaszono oświetlenie, stroboskopy zaczęły migotać nad twarzami i ciałami, posyłając im kręte błękity, zielenie i żółcie, zapalające się i znów gasnące. Melodia była miękka, ze zdradzieckim pulsowaniem i ociężałym rytmem. Muzyka *soul*.

Od razu pojawił się Alejandro.

- Ach... nareszcie - powiedział. - Prawie wcale nie miałem okazji z panią tańczyć.

- Tylko trzy razy - odparła sucho Jane.

- Cóż to jest? Nawet trzy razy po trzy byłoby mało! Wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Był świetnym tancerzem. Trzymał stanowczo jej dłoń w swojej dłoni, jej policzek przy swoim policzku, drugim ramieniem obejmował ją w tali. On także pachniał czymś świeżym, nie tak jak Luis, ale miło. Ale w zasadzie wszyscy Hiszpanie słodko pachnieli: jakąś kombinacją wody kolońskiej, której używali chyba wszyscy, i tytoniu. Dla Jane esencja Hiszpanii zawierała się w tym zapachu. Ta właśnie mieszanka miała moc przenoszenia jej do Hiszpanii bez względu na to, gdzie akurat przebywała. Zamknęła oczy i pozwoliła się ponieść rytmowi i sile muzyki. Alejandro nie był tak wysoki jak Luis, ale z zamkniętymi oczami mogła puścić wodze wyobraźni.

- Jane, jesteś pełna magii - szepnął Alejandro. - Rzuciłaś na mnie zaklęcie.

Nagle stwierdziła, że nie zniesie jego towarzystwa ani chwili dłużej. Nie był Luisem i całe to gadanie o zaklęciach przypomniało jej tylko o tym, któremu ona pozwoliła się oplatać. Spróbowała go odepchnąć.

- Alejandro, proszę.

Ale on nie miał zamiaru jej puścić. Muzyka i uczucie, jakiego doznawał trzymając Jane w ramionach, zbyt mocno go pobudziły. Wzmocnił uścisk. Jane jeszcze bardziej usztywniła ramiona.

- Alejandro, proszę!

Popchnęła go z całej siły, a w końcu miała jej sporo, aż nagle puścił ją tak nieoczekiwanie, że zatoczyła się i wpadła na kogoś, kto złapał ją za ramiona i powiedział tonem żartobliwej wymówki:

- Cóż to ja widzę, dosłownie trzeba się od nich opędzać! Nic dziwnego, moja droga panno Jane, że nie mogłem dotrzeć do pani przez cały wieczór. Myślę, że już czas, abym sam z panią zatańczył. Da to pani czas na ustalenie priorytetów.

Z arogancką łatwością odwrócił jej nie opierające się ciało, wziął je w ramiona i wkroczył na parkiet. Wpatrzyła się w plisy na jego gorsie i nie śmiała poddać się mu tak, jak tego chciała. Jej zdradzieckie ciało wydałoby ją natychmiast, a nie zniosłaby, gdyby znowu została odepchnięta. Tylko że każdy nerw w jej ciele był świadomy jego bliskości. Jego dłoń na nagiej skórze była jak płomień, choć nie czuła bólu, lecz rozkosz.

- Dokonałaś tu kolejnego podboju - powiedział żartobliwie. - Czy nie będzie temu końca?

- Mówiłeś, że mam hiszpańską duszę - wytknęła mu Jane tonem tak lekkim, na jaki tylko było ją stać, wciąż nie patrząc w oczy, które - była tego pewna - znowu śmieją się do niej. - Może w poprzednim wcieleniu byłam konkwistadorem...

- Najwyraźniej. Mieszanką Pizarra i samego wielkiego Cortesa - obydwaj dokonali niezwykłych podbojów - powiedział z sardonycznym uśmiechem.

- Oni walczyli mieczem - odparowała zręcznie Jane - a ja nie potrzebuję takiej broni.

- To prawda - stwierdził miękko. - Masz broń zupełnie innego rodzaju...

Jej spojrzenie pomknęło ku jego lśniąco oczom. Stały w jej kierunku płomień.

- Bardzo pięknie dziś wyglądasz - powiedział, dotykając jej oczyma jak palcami.

Jane poczuła, że brakuje jej tchu.

- Dziękuję - zdołała wydusić.

- Najwyraźniej Hiszpania... działa na ciebie w ten sposób - kontynuował.

Nie Hiszpania, miała ochotę odpowiedzieć, lecz ty.

- Jak zauważył Jorge, niewątpliwie rozkwitasz.

- Dobrze się bawię - powiedziała szczerze.

- Teraz, czy w ogóle? - zainteresował się.  
- Przez cały czas - odpowiedziała wymijająco.  
- Chyba to nie Jorge powinien robić karierę w dyplomacji - skomentował sucho.  
- Dziś staram się być wyjątkowo uprzejma - stwierdziła słodko.  
- Naprawdę? Ja chyba wolę perwersję od kocich pomruków... Stłumiła chichot i spojrzała w górę, na jego twarz. Wyglądała przepięknie z przekornym lśnieniem w zielonych oczach. Przyciągnął ją bliżej.

- Nie kuś mnie - szepnęła. - Myślałam, że zakopaliśmy topór wojenny.  
- Tak - odparł - w moich plecach.

Roześmiała się i rozluźniła w jego objęciach, a on uśmiechał się do niej, patrząc ciepło migoczącymi oczyma.

- Miło tu - zauważyła, bezpieczna i zadowolona w jego ramionach, pozwalając mu prowadzić się tam, gdzie chciał.

- Ty jesteś miła - uściślił.

- Naprawdę? - zapytała sennie. Jej głos nie brzmiał prowokująco.

- Myślałem, że już ci to udowodniłem. Poczuj, jak sztywnieje w jego ramionach.

- Nie będziemy o tym rozmawiać - oświadczyła bardzo cicho.

- Jak chcesz, ale nie możesz mnie powstrzymać od myślenia o tym.

- Twoje myśli należą do ciebie - poinformowała go sztucznie oficjalnym tonem.

- Och, gdybyż tak było.

Znowu się z nią droczył, ale było coś jeszcze w jego głosie: cień rezygnacji, akceptacja czegoś, czego nie można było zmienić.

Spojrzała na niego niepewnie, marszcząc lekko brwi. Próbowana pochwycić to ulotne coś, co zobaczyła w jego oczach, ale już znikło. Teraz czarne oczy po prostu uśmiechały się do niej.

- Myślę, że ze mną flirtujesz - powiedziała, sznurując usta.

- A ja myślę, że to ci się podoba. Uśmiechnęła się.

- To prawda.

Roześmiał się w odpowiedzi i oplótł jej palce swoimi, ciepłymi i silnymi. Miał piękne ręce, a Jane zawsze zwracała na to uwagę. Pogryzione paznokcie i nikotynowe plamy były dla niej obrzydliwe. Jego ręce miały doskonały kształt, długie palce z kwadratowo zakończonymi, czystymi paznokciami, bez żadnych plam po nikotynie - zresztą nie palił zbyt często. Pomyślała o tych dłoniach, o tym, jak ją pieściły, i na to wspomnienie całe jej ciało ogarnął żar, ponieważ bardziej niż kiedykolwiek chciała teraz, żeby zrobił to znowu. Oznajmiła mu, że nie będą rozmawiać na ten temat, a on powiedział, że myślał o tym. Czy tak samo często jak ona - czyli bez przerwy? Miała nadzieję że tak, miała taką żarliwą nadzieję.

Westchnęła, a było to miękkie, pełne tęsknoty westchnienie, podobnie jak muzyka, w takt której dryfowali po parkiecie. Jane uwielbiała tańczyć, zwłaszcza z kimś, kto potrafił prowadzić, a Luis de Capdévila był w tej dziedzinie ekspertem. Tańczenie z nim przyprawiało jednocześnie o rozkosz i ból. Cudownie było znajdować się w jego objęciach, ale to nie wystarczało i nigdy jej nie wystarczy. Chciała więcej. O wiele więcej.

Cała poddała się muzyce. Nawet nie usiłowała zwalczyć w sobie uczuć, jakie wzbudzała w niej bliskość Luisa, zmysłowy rytm i jego taniec, który, podobnie jak on sam, był wspaniały. Czysty instynkt kazał jej się odprężyć. Przytulił ją do siebie jeszcze mocniej, aż wreszcie dotykali się twarzami: policzek przy policzku.

Zamknęła oczy i pozwoliła sobie dryfować, unoszona na fali uczuć, zupełnie zagubiona i nieświadomie, niepokojąco prowokująca.

- Nie zasypiaj na mnie - rzucił Luis lekko, ale poważnie. - Musiałem patrzeć, jak przez cały wieczór monopolizowali cię wszyscy inni mężczyźni na tej sali. A teraz, kiedy sam cię dostałem, mam być zadowolony ze śpiącej królowej?

- Nie śpiącej - powiedziała Jane z westchnieniem - tylko rozmarzonej.

- O czym tak marzysz?

- Jeżeli ci powiem, to marzenie nigdy się nie spełni.

- A czy marzenia kiedykolwiek się spełniają?

- Trzeba mieć nadzieję.

- Ale czy ty nie dostałaś już wszystkiego, o czym marzyłaś? Co jeszcze mogłabyś udowodnić?

- Udowodnić? - Jane zmarszczyła brwi. - Nie staram się niczego udowodnić.

- Doprawdy? - zaśmiał się ironicznie. - Cytując ciebie, moja droga Jane: „Prawie dałem się nabrać”.

- Może nabierałam - rzuciła wyzywająco Jane. Zmrużył oczy.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział miękko.

- Nigdy nie będziesz wiedział na pewno, prawda? - zapytała figlarnie. - W przyszłym miesiącu wyjadę i nie będzie to już miało znaczenia.

- Dla kogo? - zapytał głosem miększym niż kiedykolwiek.

Roześmiała się.

- Gem, set i mecz - przyznała. - Ty i ja zawsze prowadzimy rozmowy, które są jak ostra rozgrywka. Ale widziałeś, jak gram, i wiesz, że jestem w tym dobra.

- Wyjątkowo dobra - przyznał poważnie.

- Ty również. Ale w końcu musisz mieć sporą praktykę.

Ujął jej brodę w dłoń i uniósł tak, że musiała na niego spojrzeć.

- A to - powiedział - to już jest nasza wspólna wada.

Odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się radośnie, dźwięcznie. Ludzie odwracali się, żeby popatrzeć, i niejeden z nich pomyślał, że Luis de Capdévila i ta angielska blondynka tworzą niezwykłą parę. Zwłaszcza jedna z osób obecnych na sali pomyślała o tym z nienawiścią w sercu.

Ramię Luisa zeszywniało.

- Jane, Jane... - szepnął z wyrzutem. - Co ja mam z tobą zrobić? Kochaj mnie! - krzychało jej ciało. Kochaj mnie! Ale odparła lekko:

- Nie jestem twoja, żebyś miał cokolwiek ze mną robić. Poza tym, Queta mogłaby mieć coś do powiedzenia na ten temat.

- Queta?

- Wyszkolona do posłuszeństwa - powiedziała Jane niewinnie.

- Tak sądzisz?

Wzdrygnęła się słysząc chłód w jego głosie. Idiotka, pomyślała o sobie. Czy zawsze musisz rzucać mu w twarz wszystkie jego uprzedzenia? Czemu nie możesz zostawić w spokoju pewnych rzeczy... Ale diabeł kusił ją niemiłosiernie.

- Oczywiście! Gdyby taka nie była, już dawno przestałaby na ciebie czekać.

- Rzecz jasna, ty nie czekałabyś.

- Cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną - przyznała lekko, jednocześnie dodając w myślach: na ciebie czekałabym do sądnego dnia.

- Podobnie jak takt - stwierdził szorstko.

Przez chwilę tańczyli w ciszy, a twarz Luisa była chmurna i zamyślona. Znowu to zrobiłam! - pomyślała Jane. Z niezawodnym brakiem wyczucia znowu wkroczyła na wzbronione terytorium, chociaż wyraźnie zaznaczono je: „TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA - TAK, WŁAŚNIE TY” i pozostawiła wszędzie niemożliwe do pomylenia ślady własnych butów.

- Przepraszam - powiedziała dzielnie. - Zdaje się, że znowu to zrobiłam.

Spojrzał na nią bez uśmiechu, niemal ponuro.

- Co zrobiłaś?

- Weszłam na wzbronione terytorium. To jeszcze jedna z moich wad: zupełnie nie mam wyczucia kierunku.

Kąciki jego warg drgnęły i ponurą twarz odmieniło lśnienie uśmiechu. Roześmiał się szczerze.

- A więc zawsze błędzisz - przyznał z uśmiechem. Uff, pomyślała Jane, prawie udało mi się wszystko popsuć. Teraz trzymaj już buzię na kłódkę i po prostu tańcz.

Kiedy w końcu odprowadził ją na miejsce, byli znowu pełni życzliwości dla siebie nawzajem. Jane miała nadzieję, że poprosi ją, żeby zjadła z nim kolację, kiedy znienacka tuż nad jej uchem odezwał się dobrze jej znany, wesoły głos:

- Wiedziałem, że to ty. Nikt inny tak nie wygląda ani nie porusza się w taki sposób! Jane, kochanie, jak się masz?

Odwróciła się i spojrzała w jasnoniebieskie oczy i roześmianą twarz bardzo wysokiego blondyna, który mógł być tylko Brytyjczykiem.

- James! Och, kochany James! - wykrzyknęła rzucając mu się w ramiona. - Niech no na ciebie popatrzę!

Obejrzała go od stóp do głów błyszczącymi oczyma.

- Och, James, jesteś ulgą dla zmęczonych oczu! Ale co ty tu robisz? Myślałam, że będziesz teraz raczej w Szkocji, strzelając do kuropatw w swoim majątku!

- Będę, ale w przyszłym tygodniu. Chcesz jechać ze mną? Mój starszyk ciągle mnie łaje, że nie włożyłem ci na palec rodzinnego rubinu i nie zaklepałem terminu w kościele!

- Och, James... - Jane roześmiała się przyjaźnie i znowu go uścisnęła. - Nie mogę w to uwierzyć... że ze wszystkich miejsc na świecie znalazłeś się teraz właśnie tutaj.

- Ale jestem tu - stwierdził. Wziął ją za rękę i przyjrzał się jej.

- Jane, kochanie, muszę powiedzieć, że wyglądasz absolutnie cudownie. Najwyraźniej coś ci tu służy. Po prostu kwitniesz.

- Zawsze praweś mi najmiłsze komplementy - powiedziała Jane, całując go w policzek.

- Mam w tym dwojaki cel: ciebie oraz spadek po moim ojcu uszczęśliwionego faktem, że zyska przyszłą kasztelanę na zamku Airth.

- Przecież wiesz, że uwielbiam Airth - roześmiała się Jane.

- Wystarczająco, żeby wziąć mnie na dodatek do zamku?

Jane znów się roześmiała.

- James, dobrze wiesz, że naprawdę nie masz jeszcze ochoty się ustatkować...

- Z tobą? Miej litość, kochanie. Czy wyglądam na szaleńca?

Jane ponownie go uściśnęła, a on otoczył ją ramionami i spojrzął na Luisa, który stał obok w milczeniu obserwując tę scenę.

- Przepraszam pana, jeżeli pakuję się na siłę na pański teren - powiedział po angielsku - ale Jane to moja bardzo dawna miłość, która wciąż pali się jasnym płomieniem. Jestem James Creighton-Stuart.

Zdjął prawą rękę z ramienia Jane i wyciągnął ją w kierunku Luisa, który ją uściśnął.

- Pracuje pan w brytyjskiej ambasadzie w Madrycie, prawda? - zapytał dziwnym tonem.

- Tak. Przyjechałem tu na weekend z państwem Montoya.

- Znam państwa Montoya.

Jane oprzytomniała nagle, przypominając sobie o właściwych manierach.

- Przepraszam - powiedziała do Luisa. - Byłam tak zaskoczona widokiem Jamesa, że zapomniałam... James, to jest don Luis de Capdévila. Tego lata uczę angielskiego jego podopiecznych.

- Co takiego, ciągle to robisz, kiedy mogłabyś być ze mną w Szkocji?

- Panna Elliot okazała się niezastąpiona tego lata - powiedział sucho Luis, a jego oczy były teraz matowe i bez wyrazu - ale pozostał jej już tylko jeden miesiąc. Jestem pewien, że potem z rozkoszą wybierze się z panem na polowanie. Świetnie sobie z tym radzi.

- Jakżeby inaczej! Mój ojciec mówi, że Jane jest najlepszą łowczynią, jaką kiedykolwiek widział.

- Też już doszedłem do tego wniosku - wciąż sucho odparł Luis.

- James to mój bardzo stary przyjaciel - powiedziała szybko Jane. - Studiowaliśmy razem w Oksfordzie, chociaż on był rok czy dwa wyżej ode mnie...

- Tylko chronologicznie - uśmiechnął się James. - Mnie też dawała korepetycje, proszę pana, żebym mógł przebrnąć przez egzaminy.

- Co, oczywiście, udało się panu - odparł gładko Luis.

- Naturalnie. Jane ma dziwny dar sprawiania, że zaczyna się rozumieć i doceniać różne rzeczy.

- To jeszcze jedna rzecz, którą zauważyłem - powiedział cicho Luis. - Z pewnością macie sporo spraw do omówienia. Życzę szczęścia w pańskich staraniach.

Uklonił się lekko Jane i odszedł, podczas gdy ona patrzyła za nim nagle czując się samotna. James przyglądał się jej uważnie. Znał ją nie od dziś.

- On? - zapytał krótko.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- On.

James westchnął.

- Biedny ojciec. Teraz najprawdopodobniej zastrzeli mnie! - Otoczył ją ramieniem. - Chodźmy, opowiesz wszystko staremu Jamesowi. Zawsze miałem najlepsze ramiona do wyplakiwania na nich smutków, a w kieszeni mam śliczną, czystą chusteczkę...

Jorge i Alejandro byli skonsternowani. Żeby w takim momencie pojawiał się angielski *milor* i zabierał Jane dla siebie! To już zbyt wiele. Poskarżyli się *doni* Alicii.

- Ale to jej stary przyjaciel - pocieszała ich. - Jane powiedziała tak, kiedy mi go przedstawiała. Studiowali razem na uniwersytecie.

- On jest kimś więcej, niż tylko starym przyjacielem - odparł ponuro Jorge. - Już ja to wiem.

- Przyjechał tu tylko na weekend - zbesztala go niecierpliwie matka. - W poniedziałek wraca do siebie, do Szkocji.

- I chce zabrać ze sobą pannę Jane. Słyszałem, jak ją pytał, czy pojedzie.

- A ja tak samo słyszałam, jak mu odmówiła. Panna Jane obiecała, że zostanie z nami przez całe lato. Nie jest osobą, która nie dotrzymuje raz danego słowa.

- Nie, ale on jest osobą, która może sprawić, że będzie żałować swojej obietnicy.

To stwierdzenie zaniepokoiło *donę* Alicię na tyle, że odszukała Jane specjalnie, żeby ją o to zapytać.



- Rozumie pani, nie chciałabym być wścibska, ale jeżeli naprawdę ma pani ochotę jechać do Szkocji z lordem Jamesem, to nie będziemy pani zatrzymywać... - uśmiechnęła się tajemniczo do Jane. - Wydaje mi się, że on jest w pani zakochany.

- James! - roześmiała się Jane. - O, nie. Naprawdę nie jest. Udaje tylko i jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi - to raczej jego ojciec bardzo mnie lubi i z całą pewnością chciałby, żebym wyszła za Jamesa. Ale my traktujemy to jako żart, nic więcej. Nie zostawiłabym was przed końcem września. Jestem tu zbyt szczęśliwa...

No, i nie mogłabym zostawić Luisa, chyba że naprawdę musiałabym, pomyślała.

To wystarczyło *doni* Alicii, która była teraz spokojna i zadowolona w przeciwieństwie do Alejandra i Jorgego. Obaj przeżywali katusze zazdrości: zazdrościli Jamesowi przewagi: i starej przyjaźni z Jane, wspólnych znajomych, wspomnień o dawnych czasach. Jane nigdy nie pozwoliłaby żadnemu z nich na tak familiarne zachowanie, podczas gdy on mówił do niej „kochanie” ze swobodą kogoś nie tylko uprzywilejowanego, ale też szczególnego. Zawistnie patrzyli na sposób, w jaki z nią tańczył - często i długo - i co gorsza, odchodził z nią w ciemny zakątek tarasu. Oni obaj bezskutecznie próbowali tego dokonać przez cały wieczór.

- Czemu musiał pojawić się właśnie teraz? - narzekał gorzko Jorge w rozmowie ze swoim wujkiem Luisem.

- Chce się z nią ożenić - powiedział krótko wuj. - Słyszałem, jak to mówił.

- Ale mama mówiła, że Jane powiedziała jej, że to tylko taki żart...

- Może pozornie tak, ale lord James gra w zwodniczo prostą grę... będzie wytrwały, a jego ojciec się zgadza. Lord James nie jest jego najstarszym synem, ale Jane w końcu i tak zostanie lady Creighton-Stuart i właścicielką pięknego zamku w Szkocji. Montoyowie mówili mi, że połowa szkockich gór należy do Creighton-Stuartów.

- Pieniądze i tytuły nic nie znaczą dla panny Jane - zbył go Jorge.

- Wiem o tym, ale poparcie jego ojca może coś dla niej znaczyć. Angielscy arystokraci na ogół bardzo ostrożnie wybierają sobie żony. Dlatego właśnie tak długo przetrwali: wydają się niezmienni, ale idą do przodu wraz z czasem, a czasy w Anglii bardzo się zmieniły...

Jorge popatrzył dziwnie na wuja.

- Najwyraźniej poważnie zastanawiałeś się nad tą sprawą - zauważył cierpko.

- Naturalnie, wszyscy przywiązaliśmy się bardzo do panny Jane w ciągu tego lata. Miło byłoby wiedzieć, że dobrze wyszła za męża i jest szczęśliwa.

- Zaskakujesz mnie! - powiedział Jorge. - Od kiedy zaczęło cię obchodzić, co dzieje się z naszymi byłymi pracownikami? Jego wuj posłał mu ironiczne spojrzenie.

- Od czasu Jane - powiedział. Jorge westchnął.

- Wiem, co masz na myśli - stwierdził. - Jest wyjątkowa, prawda?

- Zbyt wyjątkowa dla ciebie - uciał Luis de Capdévila. - Mówiłem ci to już wcześniej. Marnujesz czas, jeśli o nią chodzi. Jane nie jest kobietą, która uległaby wakacyjnemu umizgom. To nie w jej stylu.

- Nie miałem zamiaru się w niej zakochiwać - mruknął Jorge z nieszczęśliwą miną.

- Taki już ma wpływ na ludzi - odrzekł jego wuj spokojnie. Obaj spojrzeli w kierunku, gdzie Jane i James stali na tarasie. On niedbale obejmował ją w talii z wyrazem posiadacza, ona unosiła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz, skoncentrowana na tym, co do niej mówił, bezmyślnie odgarniając mu z czoła opadający kosmyk włosów.

- Powinieneś pójść do fryzjera - powiedziała z nieobecny wyrazem twarzy.

- Nie mówimy teraz o mnie - pouczył ją surowo James. - Poświęcam swój czas i siły, żeby pomóc ci rozplatać twoją pogmatwaną miłosną aferę i moja fryzura nie ma tu nic do rzeczy. Jeżeli ty nie chcesz zaradzić mojemu nieszczęściu, to przynajmniej ja mogę wyciągnąć cię z twojego.

Jane zachichotała.

- Mówisz jak weterynarz.

James wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To najgorsza strona wychowywania się w szkockiej posiadłości. Zaczyna się wtedy uważać czworonożne stworzenia za najważniejszą rzecz na świecie - zresztą to prawda. Gdyby mój staruszek nie pozwalał każdego roku polować u nas wszystkim tym bogatym Amerykanom, Bóg jeden wie, co mogłoby się z nami stać.

- Już teraz traktuje go jak męża - powiedział Jorge z cierpieniem w głosie.

- No więc, mała Jane, co masz zamiar zrobić z tym Hiszpanem, przez którego znalazłaś się za burtą? Jeżeli masz trudności z przywołaniem go do porządku, będziemy musieli zastosować stary sposób nagonki. Co powiedziałaś, gdybym uparł się na tę jego słodziutką przyjaciółkę? Ktoś z rodziny Montoya powiedział mi, że od lat go prześladuje...

- Queta dos Santos - potwierdziła Jane żałośnie. - Ale to nic nie da, James. W tym kraju, jeżeli masz moralny obowiązek, to stajesz na wysokości zadania, choćby się waliło i paliło, bo dałeś swoje słowo.

- Ale czy miłość? To znaczy, pytam, czy ją też dał? Z tego, co mi mówiono, ona jest jedyną stroną, której na tym zależy.

- Ale według jej brata wszyscy uznają to za rzecz już umówioną.

- Dobry Boże! To oni wciąż stosują się do takich zasad?

Jane musiała się roześmiać mimo ponurego nastroju.

- Och, James - powiedziała otaczając go ramionami w pasie i kładąc głowę na jego piersi. - Zawsze umiesz mnie pocieszyć.

- Tylko na tyle mi pozwalasz - powiedział z udanym smutkiem - ale, jeżeli tego właśnie chcesz, to zapewnię ci najlepsze pocieszenie, jakie tylko jest możliwe.

Ucałował ją w czubek głowy.

- Sam widzisz! - udręczony Jorge odwrócił się w kierunku wuja. Ale ten już zniknął.

Jakiś czas później Jane weszła do garderoby pań, żeby poprawić włosy i spryskać zgrzaną twarz zimną wodą. Kiedy siedziała przy lustrze nakładając szminkę, z tyłu podeszła do niej Queta dos Santos.

- Jedno słówko dla twoich uszu, panno Jane - syknęła, a rumieńce znaczyły jej policzki niczym ostrzegawcze światła. - Twoja rażąco widoczna pogoń za Luisem de Capdévila wywołała już plotki. Zdaję sobie sprawę, że wy, Angielki, cieszyście się dużą swobodą, ale rodzina de Capdévila nie potrzebuje tego typu rozgłosu.

Jej wzrok spotkał się w lustrze ze spojrzeniem Jane. W oczach Quety płonął podsycany zazdrością płomień, podobnie jak na jej policzkach.

- Nie słyszałam żadnych plotek - odparła Jane chłodno.

- Oczywiście, że nie - przecież to o tobie wszyscy plotkują!

- Nie wiem, kim są ci wszyscy - powiedziała Jane lodowatym tonem - ani też nie rozumiem, dlaczego robisz takie zamieszanie wokół czegoś, co po prostu nie jest prawdą. W każdym razie, wracam do Anglii za cztery tygodnie i wątpię, żebym kiedyś ponownie zobaczyła *señora* de Capdévile.

Jej głos brzmiał pewnie, mimo że w głębi ducha czuła ból.

- I bardzo dobrze! - krzyknęła Queta. - Tutaj, w Hiszpanii, wciąż jeszcze to mężczyźni się zalecają do kobiet, a nie na odwrót. Nie osiągnęliśmy jeszcze twojego stanu tak zwanego równouprawnienia i zamiany zwykłych ról.

- Ty nic nie wiesz na ten temat - warknęła Jane. - Nie wiedziałabyś, co zrobić z równouprawnieniem, choćby podstawiono ci je na talerzu pod sam nos.

Wiedziała, że zachowuje się opryskliwie, ale była zła i nieszczęśliwa, i zaczynała żałować, że w ogóle zgodziła się podjąć tę pracę.

Queta wciągnęła powietrze przez zęby.

- Zapominasz się - stwierdziła jadownicie.

- Wcale nie! - Jane spojrzała jej w lustrze prosto w oczy. - Po prostu wiem, kim jestem!

Ręce Quety wyciągnęły się jak szpony, ale zacisnęła pięści, odwróciła się i wyszła krokiem pełnym godności.

Jane oparła głowę na drżących rękach. Zrobiło jej się niedobrze. Nienawidziła takich intryg i afiszowania się ze swoimi emocjami. To nie było w jej stylu. I wcale nie goniła za Luisem, ani on za nią... no, dobrze, pocałował ją, flirtował z nią - ale nic poza tym. Jedyną przyczyną kłopotów był szósty zmysł Quety. Wyczuła zainteresowanie Luisa osobą Jane. Kiedy tylko chodziło o Luisa de Capdévile, zauważyłaby wszystko, co mogło stanowić choćby najmniejsze zagrożenie. Myśl o spędzeniu tu kolejnych czterech tygodni napępiała Jane lękiem. Modliła się żarliwie, żeby przetrwać je bez większych nieszczęść. Potem będzie mogła wrócić do domu i spróbować zapomnieć o Luisie - choć nie wiadomo, czy kiedykolwiek jej się to uda.

Kiedy wyszła z pokoju, James od razu do niej podszedł.

- Widziałem, jak szła za tobą ta jego przyjaciółka - powiedział. - Gdyby spojrzenia mogły zabijać, kochanie, byłabyś już pokarmem dla kotów!

- Próbowała również przebić mnie ostrymi słowami - odparła Jane najłżejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć, ale nie udało jej się zwieść Jamesa. Zbyt dobrze ją znał.

- Ostatni posterunek Custer\*? - zapytał w zamyśleniu, a błękitne oczy rozjarzyły się blaskiem

---

\* George Armstrong Custer (1839-1876) - generał armii USA. Pod Little Big Horn poniósł klęskę w bitwie z połączonymi siłami indiańskich plemion: Siuksów i Czejenów.

bitwy.

Wielkie zielone oczy Jane przejęły ten blask.

- Jeszcze im pokazemy - przyrzekła.

- Niech żyją Szkoci! - wykrzyknął James i poszli ręką w rękę, torując sobie drogę na parkiet. Tam pokazali bijącym brawo Hiszpanom, co naprawdę znaczy angielska dominacja w dziedzinie muzyki pop. Nie na darmo James i Jane byli w swoim czasie najlepszą parą taneczną na uniwersytecie. Bez względu na to, jak skomplikowany był rytm, oni panowali nad nim, a kiedy inne pary znikły z parkietu, oni pozostali na nim, dając pokaz niewymuszonego wdzięku i stylu, który zyskał przychylną widownię klaszczącą i proszącą o więcej.

Naturalne wycucie rytmu Jane i jej powab nigdy jeszcze nie były tak wyraźne, a James, również naturalny talent, dorównywał jej w każdym calu. Nawet Jorge zapomniał o swojej gorzkiej zawiści, instynktownie podziwiając ten mistrzowski pokaz umiejętności i przyłączył się do entuzjastycznych braw.

W końcu, kiedy rytm zwolnił do głębokiego, drżącego pulsowania, zaprezentowali ostatni pokaz leniwej elegancji, który sprawił, że oczy *doni* Alicii zwilgotniały, gdy zagubiła się we wspomnieniach, a Jorge i Alejandro zazdrościli Jamesowi tak bardzo, że po raz pierwszy tego lata złączyło ich głębokie wzajemne porozumienie.

Zwiewny szyfon barwnej spódnicy Jane wirował wokół niej łagodnie, tworząc rzeźby w powietrzu, stroboskopy kąpały ich w nieziemskiej powodzi płynnego ognia. Jej włosy stawały się na przemian różowe, niebieskie, potem srebrne; twarz, zwrócona do Jamesa, który uśmiechał się do niej, była rozmarzona i lśniła nierealną pięknnością.

- *Qué hermosura\** - szepnął ktoś.

Ich stopy wydawały się prawie nie dotykać ziemi; płynęli, wirowali, sunęli w cichej, niemal nabożnej atmosferze tworzonej przez przywołującą wspomnienia, prowokującą muzykę i nie było na sali mężczyzny, który nie chciałby być w tej chwili na miejscu Jamesa, ani kobiety, która nie zazdrościła Jane.

Queta dos Santos była chora z nienawiści. Stała tuż przy Luisie de Capdévila i czuła, jak całkowicie skoncentrował uwagę na Jane. To on sunął teraz po parkiecie, nie James Creighton-Stuart, to on trzymał ją w ramionach, poruszał się wraz z nią. Na twarzy pojawił mu się drapieżny wyraz, skoncentrował się tak mocno, jakby chciał w ten sposób zmusić ją, by się zbliżyła. A Jane, jakby odpowiadając na jego życzenie, wraz z Jamesem przewirowała do miejsca, gdzie stał Luis. Uniosła zamknięte do tej pory powieki i spojrzała mu prosto w oczy. Przez długą, elektryzującą chwilę wymieniali spojrzenia, a potem James obrócił ją i pomknęli dalej, na inną część parkietu.

Queta miała ochotę krzyczeć. Nigdy, przenigdy Luis nie spojrzał na nią choćby tylko w przybliżeniu tak, jak teraz na Jane, tak głęboko, z takim uczuciem, że jego spojrzenie mogło zastąpić dotyk. Mogłaby wziąć je i owinać się nim jak szalem. Tym spojrzeniem zdradzili wszystko, wszystko powiedzieli wzrokiem tonąc i gubiąc się w obrazach, które potrafili zobaczyć tylko oni.

Uzmysłowiła sobie z niesamowitą jasnością, że straciła już Luisa de Capdévila - jeżeli w ogóle kiedykolwiek należał do niej. Jej starannie zaplanowana przyszłość leżała w ruinie. On należał już do Jane Elliot, a ona do niego. To spojrzenie powiedziało wszystko, nie było potrzeby dodawać do niego słów. Osłepiona przez lży bezsilnej wściekłości Queta odwróciła się i nie zauważona przez nikogo odeszła w ciemność szukając miejsca, w którym będzie mogła ukryć się ze swoim cierpieniem, a idąc wiedziała, że Luis nie zauważył nawet jej zniknięcia.

Przegrała. I nienawidziła Jane z całego serca.

Następnego dnia wszyscy spali do późna. Przyjęcie skończyło się dopiero o czwartej rano. James został zaproszony na obiad i po południu miał im towarzyszyć na *tienta*.

Mimo że Jane przetańczyła całą noc, przebudziła się stosunkowo wcześniej. Radość przepelniająca ją całą nie pozwoliła jej spać dłużej. Luis ją kocha! Jego oczy to powiedziały - tak wyraźnie, tak niedwuznacznie w jednej cudownej wymianie spojrzeń. To spojrzenie wstrząsnęło nią do głębi, i teraz już wiedziała, czuła, wchłonęła w siebie jego miłość. Odkrył swoje uczucia tak szczerze, bez ogródek, że James - człowiek wrażliwy, mimo że nie wyglądał na takiego - mruknął do niej z tryumfem w głosie:

- A nie mówiłem?

Przez cały czas, kiedy im gratulowano, chwalono, bito brawo, była w stanie jedynie stać obok Jamesa i patrzeć na Luisa nad głowami innych ludzi. Wtedy jego oczy powiedziały to znowu. W ponownym, nie ukrywającym niczego i wstrząsającym spojrzeniu przesłały wyraźną wiadomość:

---

\* *Qué hermosura* (hiszp.) - Co za piękno.

Jesteś moja - mówiły - kocham cię. Wtedy właśnie przypomniała sobie coś, o czym zapomniała wcześniej w gorączce tej nocy, gdy znalazła się w jego ramionach. Kiedy szeptał po hiszpańsku, zwracał się do niej używając intymnego słowa tu - ty - zarezerwowanego tylko do rozmów z dziećmi i ludźmi najbliższymi. Powinna była wtedy sobie to uświadomić, ale lepiej późno niż wcale. Teraz już wiedziała. Nie miała żadnych wątpliwości. Nie podszedł do niej - zbyt wielu ludzi tłoczyło się wokół i nie nadszedł właściwy czas. Ale wiedziała. Oboje wiedzieli.

Leżąc już w łóżku Jane na nowo przeżywała te chwile. Było to dla niej bardzo dziwne doświadczenie. Coś w rodzaju postrzegania pozazmysłowego, jakby każde z nich weszło do umysłu tego drugiego. A James, jej drogi James, od razu to zrozumiał. Jak prawdziwy przyjaciel.

Tego ranka nie czuła już wszechogarniającej chęci zobaczenia Luisa, żeby upewnić się o jego obecności. Gdziekolwiek się znajdował, był razem z nią. Cokolwiek zdarzy się w przyszłości, to się nigdy nie zmieni. Ona poczeka, aż Luis przyjdzie do niej i powie słowami to, co jego oczy wyjaśniły już całkowicie.

Nie było go na śniadaniu - wcześniej rano wezwał go do stodoł Manuel, ale Jane wcale to nie zmartwiło. Sprawilo tylko, że jego pojawienie się będzie jeszcze przyjemniejsze. Była szczęśliwa czekając: szczęśliwa i zadowolona. Kochają. I tylko to się liczy.

Kiedy przed obiadem przyjechał James, obejrzał ją od stóp do głów i powiedział żartobliwym tonem:

- Zejdz z tej chmury. Jesteś tak wysoko w górze, że mogłabyś skrócić kark, gdybyś spadła!

- Przepraszam, James. Po prostu... cóż, to takie wspaniałe! Nigdy nie czułam się tak, jak teraz! Odwzajemniona miłość różni się bardzo od nie odwzajemnionej.

- Co ty powiesz - zdumiał się James próbując nie roześmiać się z całego serca. - Jak widzisz, zamierzam mieć cię na oku, żeby uchronić przed wpadaniem we wszystkie dziury i przechodzeniem przez zamknięte okna. Kochanie, nie można cię teraz bezpiecznie zostawić samej.

Luis nie zdążył wrócić na obiad, ale dzwonił, żeby powiedzieć, że dołączy do nich po południu, i żeby jechali bez niego.

Tak więc po obiedzie, około czwartej, wszyscy wsiedli do samochodów i pojechali na odległe około piętnastu mil rancho, gdzie organizowano *tienta*. Jego właścicielem był markiz de Puenteferisa.

Młode byki miały od ośmiu do dziesięciu miesięcy. Znajdowały się w zagrodach przy małej arenie otoczonej pobielonym murem. Na niej właśnie mężczyźni w skórzanych spodniach i kordobańskich kapeluszach z szerokim rondem stali w grupkach, rozmawiali i robili notatki dotyczące możliwości każdego byczka: jego dzielności, umiejętności, szybkości. Queta, ubrana w pięknie skrojoną, rozciętą z przodu i z tyłu spódnicę oraz wysokie buty, krótką skórzaną kurtkę i kapelusz taki, jak u mężczyzn, nie odzywała się ani nawet nie patrzyła w kierunku Jane, która tym razem włożyła jasne dżinsy, kraciastą koszulę i kurtkę w kolorze khaki. James miał na sobie podobny strój. Razem tworzyli uderzającą parę: oboje wysocy, jasnowłosi, opaleni.

Wszyscy usadowili się na murze wokół areny i z zainteresowaniem przyglądali się, jak młode byczki poddawane są próbie. Jorge i Alejandro, obaj w krótkich kurtkach i skórzanych spodniach popisywali się swoją wiedzą na temat używanych w tym celu procedur i rozmawiali o bykach tonem znawców: o ich budowie, rozmiarach i dzielności. W dużych ilościach roznoszono sherry, a dzień był na tyle gorący, że Jane wypila trzy szklaneczki. Właśnie one oraz cięte uwagi Quety stały się przyczyną nieszczęścia.

Po tym, jak Jorge i Alejandro wypróbowali już swoje umiejętności w obchodzeniu się z bykami, dołączyli znów do całej grupy, a Inés powiedziała z przekąsem:

- Jorge wierzy, że prawdziwy z niego El Cordobés\*, ale nie byłby z niego nawet *novillero\*\**, prawda, panno Jane? Właściwie, mogę się założyć, że pani poradziłaby sobie z nim lepiej niż on!

- Nie, dziękuję - obruszyła się Jane. - Wolę siedzieć i patrzeć.

- Zaskakujesz mnie - prychnęła Queta. - Myślałam, że nie ma rzeczy, której nie jesteś w stanie dokonać, panno Jane.

- Bo nie ma - Inés natychmiast wzięła ją w obronę.

- Och, przestańcie - zaprotestowała leniwie *doña* Alicia. - Sprawdzanie byczków wymaga zarówno wiedzy, jak i umiejętności, których panna Jane nie posiada.

- Założę się, że dałaby radę - gorliwie zapewniła ją Inés. - Prawda, panno Jane?

- Oczywiście, że nie - z premedytacją rzuciła Queta.

- No, nie wiem - powiedział Alejandro z namysłem. - Panna Jane ma świetny refleks i idealną

\* El Cordobes - sławny toreador.

\*\* Novillero (hiszp.) - Młody mężczyzna, który walczy z bykami dwu-trzyletnimi.

koordynację ruchów. Tak naprawdę, to tylko kwestia wycucia czasu... może wziąć najmniejsze z cieląt...? Panno Jane, naprawdę warto tego spróbować. Wielu ludzi to robi. Zwłaszcza turyści.

- Bądź rozsądny, Alejandro - skarciła go ostro seriom. - Wiesz, że Luis nie pozwoliłby na to. To nie owce, a niektóre z nich są wystarczająco duże, żeby poważnie zranić.

- Wybierzemy najmniejszego, mamó - rzucił Jorge niecierpliwie. Doprawdy, jego matka czasami potrafiła wywołać burzę w szklance wody. - Ten mały, brązowy nie może zrobić nic złego. Poza tym Alex i ja pokazemy jej, co trzeba robić.

Zeskoczył z muru.

- Jeżeli markiz nie będzie miał nic przeciwko temu, nie wiem, czemu ty miałabyś - powiedział rzeczowo i ignorując protesty matki poszedł do gospodarza, który przez całe życie zajmował się bykami i własne dzieci nauczył tego samego, nie miał więc żadnych zastrzeżeń, pod warunkiem, że pokażą angielskiej *señoricie*, co dokładnie ma robić, i wybiorą najmniejsze cielę.

*Doña Alicia* w panice rozejrzała się za Jamesem, ale ten poszedł przyjrzeć się bykom utrzymanym w zagrodach i nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Żałowała, że Luis nie przyjechał razem z nimi. On szybko wybiłby chłopcom z głów takie nonsensowne pomysły.

- Panno Jane, nie wydaje mi się, że powinna pani... - powiedziała nerwowo.

- Mnie też się nie wydaje - odparła wesoło Jane. - Więc tego nie zrobię.

Seriom odprężyła się. Jane to naprawdę rozsądne dziecko.

- Więc jednak jest coś, czego się boisz - stwierdziła Queta szyderczo, a jej oczy błyszczały nienawiścią.

- Tak samo, jak każdy - odparła Jane.

- Nie widziałam, żebyś ty wychodziła na arenę, Queta - powiedziała uszczypliwie doiła Alicia, mając nadzieję, że Queta przypomni sobie o właściwych manierach i przestanie być taka złośliwa.

- Ja nie udaję, że dorównuję każdemu mężczyźnie. Znam swoje ograniczenia - prychnęła Queta.

- Tak samo, jak ja - odparła Jane tonem pozornie słodkim, ale pełnym jadu. - Na tym właśnie polega równouprawnienie.

- Albo jesteś wyzwolona całkowicie, albo wcale - drwiła Queta. - Najwyraźniej nie jesteś, skoro boisz się w pełni zademonstrować swoją wolność.

- Jestem! - krzyknęła zraniona Jane.

- Udowodnij to - wyzywała ją bezlitośnie Queta.

- Panno Jane, proszę - wykrzyknęła rozpaczliwie seriom. - I ciebie także, Queta. Przestań mamić pannę Jane. Nakłaniasz ją do zrobienia czegoś, czego nie pochwalałby Luis i co może być niebezpieczne.

- Ale jeżeli dorównuje mężczyznom, nie może być w niebezpieczeństwie... testowanie młodych byczków to męskie zadanie, nieprawdaż? - Queta uśmiechnęła się szyderczo. - Jeżeli nie jest im równa...

- Jest! - krzyknęli chórem Jorge i Alejandro, obaj zaciętrzewieni.

- Więc niech to udowodni - podjudzała Queta.

Odwrócili się wyczekująco w kierunku Jane. Tymczasem ona wahała się. Nie widziała powodu, dla którego miałaby cokolwiek udowadniać Quecie dos Santos. Ta kobieta nie jest nikim ważnym. Nikt nie był ważny, oprócz Luisa. A jeżeli on nie pochwalałby tego, to nie powinna ulec namowom. Z drugiej strony Jorge, Alejandro i bliźnięta patrzyli na nią tak wyczekująco i z taką wiarą w jej umiejętności, że czuła, iż jej odmowa zawiedzie ich nadzieje. Ale tak naprawdę liczył się tylko Luis.

- Nie wydaje mi się, żeby don Luisowi się to spodobało - powiedziała z powątpiewaniem.

- Dobra wymówka - naigrawała się z niej Queta. - Boisz się, wcale nie jesteś wyzwolona ani równa mężczyznom - tylko taką udajesz! To było dla niej jak czerwona płachta dla byka.

- Nie boję się - wybuchnęła.

- Więc to udowodnij - rzuciła Queta.

- W porządku - warknęła Jane. - Zrobię to.

Zanim zdążyła sobie uświadomić, gdzie jest, gigantyczna lawina porwała ją z przerażającą siłą i ledwie zdążyła mrugnąć okiem, znalazła się na arenie, a Alejandro i Jorge dawali jej instrukcje, jak trzymać mulecę i nęcić zwierzę, jak stać, jak się poruszać, jak zmusić szarżującego młodzika do odwrotu. Stali przy niej, kiedy kilkanaście razy próbowała tych samych ruchów i widząc, że dobrze sobie radzi, usiedli na murze, skąd mogli na nią patrzeć i zachęcać okrzykami i oklaskami.

- Widzisz - powiedziała pogardliwie Inés do Quety. - Mówiłam ci, że panna Jane to potrafi.

Queta odeszła sztywno.

Jane stwierdziła, że to niezła zabawa. Podniecało ją, że zwierzę wielkości osła, ale z rogami, nadbiegało prosto na nią, a ona zwinnymi ruchami czerwono-żółtej płachty sterowała nim tak, by

przebiegało wokół niej. Po paru próbach była już przekonana, że jest angielską Conchitą Cintrón, ale James, sprowadzony z zagród dla cieląt przez zaniepokojoną *doñę* Alicię, stwierdził z przerażeniem, że Jane stoi samotnie pośrodku areny naprzeciwko zwierzęcia, które wyglądało według niego dość podejrzanie - było za duże jak na cielę!

Jane zbyt była pochłonięta swoim podnieceniem i zachwytem własną zwinnością, by zauważyć, że zwierzę się zmieniło; teraz było większe, niespokojnie grzebało kopytem w ziemi. Wydawało się wyjątkowo niebezpieczne. Zauważyli to jednak inni i nagle wokół rozległy się ostrzegawcze okrzyki, a James zerwał się do biegu. Tak samo, jak Luis de Capdévila, nadchodzący właśnie z parkingu. Podchodząc do areny stwierdził z przerażeniem, że Jane drażni wielkie rogate stworzenie, które naciera na nią jak pociąg pospieszny - tylko, że tym razem byk jej nie okrzył. Parł prosto na nią i zatopiwszy rogi w jej dzinsach zaczął je o materiał, zakręcił dziewczyną jak bakiem, a siła jego pędu rozdarła nogawki spodni. Jane potoczyła się po ziemi, podczas gdy byk stanął w miejscu, odwrócił się i znów popędził prosto na nią. Jane automatycznie, dzięki swojemu świetnemu refleksowi, zwinęła się w kłębek, ramionami osłaniając głowę, ale mimo to, zanim James, który przeskoczył przez mur, i bladzi na twarzach Jorge i Alejandro zdążyli do niej dobiec, byk zaatakował Jane rogami. Odciągnęli go i nastąpiło ogólne pandemonium, kiedy wszyscy biegali wokół krzycząc i wrzeszcząc.

Jane była przytomna, ale oszołomiona. Prawą nogawkę dzinsów miała rozdartą od góry do dołu, ale nie widać było krwi. Luis, który jako jedyny zachował spokój, szybko obejrzał ją całą szukając ran. Ręce mu drżały, ale robiąc to wyglądał niemal na obojętnego. Wydawało się, że nic jej nie jest, ale dla pewności trzeba było sprowadzić lekarza.

Po chwili Jane otworzyła oczy i leżała patrząc na wszystkich, którzy się nad nią pochylali, potem zobaczyła Luisa i uśmiechnęła się do niego nieprzytomnie.

- Ojej! - powiedziała ochryplym głosem. - Tym razem spartaczyłam... - a potem zemdlą.

Odzyskała przytomność w małym gabinecie lekarskim, który urządzono na ranczu specjalnie na takie okazje. Lekarz badał jej puls, a *doña* Alicia, szaleńczo niespokojna, kręciła się po pokoju.

- Och, panno Jane - powiedziała z ulgą, kiedy zobaczyła, że Jane otworzyła oczy, po czym wybuchnęła płaczem.

- Proszę. *Señora*... - Jane spróbowała usiąść, ale pokój wirował jej przed oczyma i bardzo bolała ją głowa. Tak samo plecy. I udo. Kiedy uderzyła o ziemię, na chwilę zabrakło jej tchu. Skrzywiła się.

- Jest pani ranna - jęknęła *doña* Alicia. - *Ay, por Dios!* Luis będzie wściekły!

- Nie... proszę. Proszę się nie denerwować. Nie jestem ranna, naprawdę nie jestem. Tylko wstrząśnięta i posiniaczona.

- Ma pani szczęście, że żyje! To nie było cielę, panno Jane - to był dorosły byk! Ktoś zrobił pani głupi dowcip i biada mu, kiedy Luis to odkryje... co on na to powie! *Ay, por Dios!*

Załamano ręce i zaniosła się płaczem.

- To nie pani wina. Nie będzie zły na panią - powiedziała Jane czując, że jest jej niedobrze i kręci jej się w głowie.

- O, będzie... za to, że pozwoliłam pani zrobić coś tak niebezpiecznego. Znam Luisa!

- Ale to nie była pani wina! - powiedziała rozpaczliwie Jane. - Tylko moja! Tylko ja sama odpowiadam za moje czyny. Wszystko wyjaśnię. On zrozumie.

Była tego pewna, chociaż nieco się obawiała. Wszystko to było w końcu żartem, nawet jeżeli wymknęło się spod kontroli. Tak też jej się wydawało - ostatnie cielę wyglądało na dosyć spore. Kto, na miłość boską, miałby zrobić jej tak niebezpieczny dowcip? Z pewnością Luis znał ją już na tyle, żeby wiedzieć, że nie ryzykowałaby idąc na arenę po to, żeby zmierzyć się z taką wielką, rogatą bestią! Strach nagle ją sparaliżował. Przypuśćmy, że właśnie tak by pomyślał... przypuśćmy, że Queta dokładnie tak mu opisała całe to zdarzenie - ale przecież nie uwierzyłby chyba Quecie? Poza tym, to przecież Jane kochał. Knowania Quety, wyraźne przez całe popołudnie, stały się teraz całkowicie zrozumiałe. Jane zdała sobie sprawę, że z premedytacją nakłoniono ją do wejścia na arenę. Czyżby Queta była odpowiedzialna za wymianę byka? Jane poczuła przerażenie. Ona naprawdę mnie nienawidzi, pomyślała. Muszę dotrzeć do Luisa, zanim ona to zrobi. Muszę mu wyjaśnić, co naprawdę się stało, zanim ona odwróci kota ogonem i sprawi, że on wszystko pojmie na opak... Ona chce go dla siebie i zniszczy mnie, jeśli tylko zdoła. Muszę dotrzeć do Luisa, powiedzieć mu...

Wirowało jej w głowie, a udo pulsowało bólem w miejscu, gdzie zahaczył o nie róg, ale udało jej się powoli i ostrożnie usiąść na kozetce i opuścić nogi na podłogę. Rękami mocno trzymała się stołu, bo czuła dezorientację i mdłości. Musiała wstać, zobaczyć się z Luisem...

- Panno Jane, proszę! Proszę się nie ruszać. Musi pani poczekać, aż wróci lekarz. Poszedł

zapewnić Luisa, że nie jest pani ciężko ranna.

- Ale ja muszę zobaczyć się z don Luisem i wyjaśnić... Odpowiadam za swoje czyny, seriom, ale on musi wiedzieć, dlaczego je popełniłam.

- Nie wolno się pani ruszać - błagała doła Alicia. - Proszę się położyć i odpocząć.

- To nie pani wina - powtarzała Jane w otępieniu. - Powiem don Luisowi, że pani nie posłuchałam...

- Czego innego można oczekiwać od kogoś, kto nie zna znaczenia słowa „posłuszeństwo”? - zapytał lodowaty głos i Jane z przerażeniem stwierdziła, że jest już za późno. Stał w gabinecie tuż przy drzwiach, a jego twarz przypominała białą, sztywną maskę, w której tylko oczy płonęły jak rozżarzone węgle. Był wściekły i najwyraźniej już odpowiednio przez kogoś nastawiony. Jane pochyliła głowę i siedziała, czekając na jego atak. Queta dotarła do niego pierwsza, a on najwyraźniej jej uwierzył. Nie powiedziała więc nic, siedziała tylko drżąc lekko, nie chcąc, żeby zobaczył w jej oczach łzy rozpacz.

- Alicia! - kiwnął głową i señoira umknęła z pokoju jak przestraszony królik rzucając tylko ostatnie, rozpaczliwe spojrzenie na Jane.

- Ktoś powinien przełożyć cię przez kolano i dać porządnego klapsa - powiedział beznamiętnym, kontrolowanym tonem. - Tak robi się z bezmyślnymi dziećmi, takimi jak ty. Tym razem posunęłaś tę swoją przekłątą równość zbyt daleko. Byki to nie mężczyźni, nie tak łatwo nimi manipulować. Są niebezpieczne i nie nadają się dla amatorów, nawet takich, którzy uważają się za zdolnych do wszystkiego. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ból głowy i kilka siniaków to bardzo niska cena za kolejną demonstrację twojej równości - wobec wszystkiego i wszystkich.

Łzy w ciszy kapąły z policzków Jane na jej dłonie. Nadal siedziała ze spuszczoną głową, rękoma trzymając krawędź stołu.

- I co? - zapytał lodowatym tonem. - Nie masz zamiaru przeprosić? Za strapienie, jakiego przyczyniłaś mojej bratowej i zmartwienie markiza, za zamieszanie, jakie dzisiaj spowodowałaś, namawiając dwóch zaślepionych młodzieńców, żeby pozwolili ci spróbować czegoś, czego powinni byli bez namysłu odmówić.

Wcale tak nie było, pomyślała Jane, wcale nie! Ale nie odezwała się ani słowem. Jej głos zamarł pod wielkim ciężarem bólu i żalu. Jak mógł pomyśleć tak o niej? Jak mógł? Kochał ją! Co takiego powiedziała mu Queta, że teraz odzywał się do niej w ten sposób?

- Nie słyszę twoich przeprosin - nalegał bezlitośnie.

- Przepraszam - jej głos był zduszony z powodu łez.

- Nie słyszę cię, chociaż w obronie swojej równości potrafisz mówić wystarczająco głośno.

- Do diabła z równością! - Jej głos przewyciężył duszący nacisk smutku i przebił się na zewnątrz, zachrypnięty z rozpacz, przerywany szlochem. Uniosła ku niemu wykrzywioną bólem twarz, a na ten widok jego własna zmieniła się, bo ogarnął go strach wstrzymywany do tej pory przez gniew. Ale ona była zbyt zrozpaczona, żeby to zauważyć.

- Przepraszam! Przepraszam! Przepraszam! Z całego serca i aż po dziurki w nosie! Wystarczy? - wrzasnęła do niego, a potem zasłoniła twarz dłońmi i rozplakała się niepowstrzymanie. Wtedy dopiero zauważył siny ślad rogu na jej udzie, zakryty dotąd rękawem jej kurtki, kiedy rękoma trzymała się stołu. Jego twarz wykrzywiła się z przerażenia, i postąpił krok do przodu, wyciągając do niej rękę, ale właśnie wtedy do gabinetu wpadł lekarz.

- Ach, *señor de Capdévila*, właśnie pana szukałem. To nic poważnego, tylko kilka siniaków i na chwilę zabrakło jej tchu. Najgorsze ze wszystkiego jest otarcie od rogu. Wygląda paskudnie, ale zaraz się nim zajmę i damy jej coś przeciwbólowego. To dzielna dziewczyna - wystarczy dzień odpoczynku i będzie jak nowo narodzona...

Lekarz zajął się pracą, a Luis opuścił rękę i stał patrząc na Jane, błądy i przepełniony cierpieniem. Ona wciąż zakrywała twarz rękoma i drżały jej ramiona.

- Proszę, *señorita* - powiedział łagodnie lekarz robiąc to, co chciał zrobić Luis, czyli obejmując ją ramieniem. - Przeżyła pani okropny szok - mówił uspokajającym tonem. - Dam pani coś, co pomoże pani się uspokoić...

Luis zamknął oczy, jakby nie mógł znieść tego widoku, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wychodząc minął spacerującego niecierpliwie na zewnątrz Jamesa, ale nawet go nie zauważył.

## 6

Jane wróciła do Cañas dopiero późnym wieczorem. Tak długo płakała i doprowadziła się do takiego emocjonalnego wyczerpania, że lekarz podał jej środek uspokajający. James został na ranczu, żeby na nią poczekać, i to on przywiózł ją z powrotem bardzo cichą, bladą, głęboko nieszczęśliwą.

- James, jeżeli twoje zaproszenie wciąż jest aktualne, to pojedę z tobą do Szkocji - powiedziała zmęczonym głosem.

- Wiesz dobrze, że jest, kochanie, to stałe zaproszenie - zapewnił ją ciepło James. - Ale czy jesteś pewna, że ucieczka będzie dobrym rozwiązaniem?

- Nie mogę tu zostać - odparła Jane cicho. - Nie mogę! On mną gardzi.

- No właśnie. Mam zamiar powiedzieć mu parę słów na ten temat - stwierdził ponuro James. - Wszyscy wiemy, kto jest odpowiedzialny za wnioski, jakie wysnuł, i kto sączył mu do uszu wolno działającą truciznę.

- Nie, proszę cię - szybko odrzekła Jane. - Jeżeli już teraz nie zna mnie na tyle dobrze, żeby wierzyć w różne kłamstwa i poprzekręcane półprawdy, to nie ma sensu czegokolwiek mówić.

- Ależ, kochanie, oczywiście, że jest! Nie widziałas jego twarzy, kiedy wniósł cię do gabinetu. Odchodził od zmysłów, tak bardzo bał się o ciebie! Ja go widziałem! Chyba myślał, że ta wielka ognista bestia wykończyła cię na amen i był w okropnym stanie. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby wiedział wtedy, co robi i co mówi.

- O tak, wiedział bardzo dobrze - szepnęła gorzko Jane.

- Wciąż myślę, że trzeba mu to wyjaśnić - i zrobię, co w mojej mocy, żeby zrozumiał.

- To nic nie pomoże, tak naprawdę, to od samego początku nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego. To tylko... jakaś letnia magia. Nie wystarczy jej na całe życie. Nigdy nie udałoby się nam żyć razem. Nigdy nie wytrzymałoby to próby czasu.

Wyglądała przez okno samochodu, ale nie widziała krajobrazu. Pogrążyła się w głębokiej rozpaczy. Wszystkie jej wspaniałe nadzieje z poprzedniego wieczoru, jeszcze żywe nawet tego poranka, teraz były martwe, zmroziło je lodowate uderzenie gniewu Luisa de Capdévili oraz zżarła pleśń jej własnej głupoty. Tak naprawdę najbardziej bolało ją to, że Luis uwierzył Quecie. Czy nie potrafił odróżnić prawdy od fałszu? Mogłaby przysiąc, że potrafił. Ale to było jeszcze przed ostatnim popołudniem. Jego słowa zdarły z niej całą dumę. Westchnęła ciężko.

James zdjął rękę z kierownicy i przykrył nią jej dłoń.

- Co mogę powiedzieć, kochanie? Chciałbym wiedzieć. Ale ty wiesz, co czuję, prawda?

- Drogi James - powiedziała Jane łamiącym się głosem. - Co ja zrobiłabym bez ciebie? Dzięki Bogu, że tu jesteś.

Resztę drogi przejechali w milczeniu.

*Doña* Alicia rozplakała się, kiedy Jane powiadomiła ją o swojej decyzji. Jedno spojrzenie na bladą, pustą twarz Angielki powiedziało jej wszystko. Tak samo wyglądała inna twarz, na którą patrzyła nieco wcześniej tego samego wieczora.

- Zniszczyłem to - powiedział jej zrozpaczony Luis niecałe trzy godziny wcześniej po tym, jak grupa składająca się z Jorgego, Alejandra i bliźniąt poszła do niego i powiedziała, co naprawdę zaszło na ranczu. - Zniszczyłem jedyną rzecz, jakiej pragnąłem bardziej niż życia, bardziej niż czegokolwiek na świecie. Siedziała tam i nie powiedziała ani słowa w swojej obronie, podczas gdy ja rozdzierałem ją na strzępy - a przy tym jeszcze to otarcie po rogu, szerokie na cal, które musiało piekielnie boleć! Co ja zrobiłem, na miłość boską? Alicio, zraniłem ją tak, że nie da się tego naprawić, a wszystko z powodu mojej wściekłości, strachu i dumy. Zabiłem całą miłość, jaką do mnie czuła - a kochała mnie, ta miłość była tam... była w jej oczach ostatniego wieczoru. Dzisiaj chciałem ją poprosić, żeby za mnie wyszła. Była rozkoszą mojego życia, cała jej energia, odwaga i wesołość, absolutna ufność... czemu, na miłość boską, od razu przyjąłem za prawdę to, co powiedziała Queta? Gdybym tylko pomyślał przez chwilę...

- Nie byłeś w stanie myśleć w tamtej chwili - uspokajała go szwagierka, sama ledwie powstrzymując się od łez.

- Ale powinienem był wiedzieć - mówił z rozpaczą. - Wiem, że na początku walczyliśmy ze sobą, ale to właśnie w niej pokochałem;

miała odwagę trwać przy swoich przekonaniach i niewiele czasu zabrało mi odkrycie, że w jej głowie nie było ani jednej występnej myśli. Wszystko, co robi, robi naturalnie, instynktownie - i w dodatku bardzo dobrze! - Duma na chwilę rozjaśniła ponury głos. - Powinienem był wiedzieć, że Jane nigdy nie robi czegoś, co leży poza jej możliwościami, tylko dlatego, że te możliwości są tak wielkie, jak głupiec doszedłem do niewłaściwego wniosku...

- Popchnięto cię ku niemu... Queta to zrobiła - powiedziała stanowczo *doña* Alicia. - Bardzo złośliwie podkusiła Jane, po prostu chciała, żeby coś jej się stało. *Ay, por Dios!* Żeby moja przyjaciółka - była przyjaciółka - mogła zrobić coś takiego! - Uniosła dłonie w górę w geście wyrażającym zgrozę.

- To nie zmienia faktu, że uwierzyłem jej, kiedy wystarczyłoby kilka sekund zastanowienia, żeby zrozumieć, że Jane nie mogła postąpić tak nierozsądnie.



- Byłeś taki zmartwiony i niespokojny, że nie potrafiłeś myśleć logicznie - szwagierka starała się go pocieszyć.

- Zmartwiony! Byłem przerażony! Myślałem, że może mieć jakieś wewnętrzne obrażenia... że mogłaby umrzeć. Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że jest ranna... a potem, kiedy już wiedziałem, że nic jej nie jest, zamiast dziękować na kolanach Bogu, straciłem panowanie nad sobą i zacząłem na nią krzyczeć! Musi mnie teraz nienawidzić.

- Nie wydaje mi się - powiedziała łagodnie *doña* Alicia.

- Ufała mi - odparł. - Kiedy Jane komuś ufa, nie zatrzymuje się w połowie drogi. Zawiodłem ją, i to bardzo. Nigdy już mi nie zaufa. Zniszczyłem to.

- Ależ, jestem pewna, że nie! - krzyknęła zrozpaczona kobieta. - Jane cię kocha! Dlaczego sądzisz, że nie miałyby być zdolna do wybaczenia ci?

- Nie w jej przebaczenie wątpię, chodzi o to, że ja nie mogę wybaczyć sobie. - Popatrzył na swoją bratową. - Daj mi znać... jak ona się miewa.

- Zrobię wszystko, żebyście byli razem.

- Więc, zrób to, Alicio - błagał rozpaczliwie. - Zrób to!

Teraz patrzyła na taką samą rozpacz i znowu wybuchnęła płaczem.

- Och, panno Jane! Co wy sobie nawzajem zrobiliście? Jane objęła ramionami drobną, nieszczęśliwą sylwetkę.

- Proszę - błagała - nie mogę znieść, kiedy jest pani taka zmartwiona. Oboje jesteśmy dorośli, i don Luis, i ja. Damy sobie radę.

- Ale przecież nie ma takiej potrzeby! Kochacie się wzajemnie, wiem o tym, wiem, widziałam to. Spróbujcie porozmawiać. Luis czuje, że tak bardzo panią zawiodł, że nie może pani już dłużej mu ufać ani polegać na nim - a to ważna rzecz dla kogoś takiego jak on. Mówiłam pani, że jest twardym człowiekiem, zarówno dla siebie, jak i dla innych. Nie może sobie wybaczyć, że tak bardzo panią zranił. Ale jest taki nieszczęśliwy, panno Jane. Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

Szlochała rozdzierająco. Była uczuciowa i wrażliwa, nie mogła znieść widoku nieszczęścia innych ludzi.

- Gdybyście tylko rozmawiali ze sobą! - szlochała.

- O czym? O moim ryzykanctwie, czy o jego łatwowierności?

- Ale Queta opowiedziała mi o pani takie okropne kłamstwa: że cała sprawa była pani pomysłem, że śmiała się pani ze mnie, kiedy mówiłam, że Luisowi się to nie spodoba, że powiedziała pani, że nie dba o to, co on myśli - i że on się nie liczy. Napęliła go takimi wątpliwościami... wmówiła mu, że pani przekonania o równouprawnieniu znaczą dla pani więcej niż on. Zżerała go zazdrość. Widzi pani, ona zawsze miała nadzieję wyjść za Luisa. Znali się przez całe życie, a zanim spotkał panią, wszyscy byli przekonani, że w końcu się z nią ożeni... nie kochał jej, ale jest odpowiednią partią.

- Tymczasem on kocha mnie, ale ja nie jestem odpowiednią partią - uśmiechnęła się smutno Jane.

- Nie, nie! - zaprotestowała *doña* Alicia. - Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł być bardziej odpowiedni dla Luisa! W każdym razie, dla niego konwenanse nie miałyby znaczenia, gdyby tylko wystarczająco kogoś kochał - a panią kocha, panno Jane. Wiem o tym.

- To nigdy nie mogło się udać - powiedziała Jane z przygnębieniem. - Pochodzimy z przeciwnych biegunów, żyjemy na różnych płaszczyznach, a kiedy zakłada się różowe okulary miłości, można stracić rozeznanie, upaść i pokaleczyć się.

- Ale on był taki nieszczęśliwy i przerażony, kiedy odkrył prawdę, kiedy zrozumiał, jak bardzo niesprawiedliwie panią ocenił. Czy nie może mu pani wybaczyć?

- Z łatwością i chętnie. - Jane starała się przełknąć twardą grudę, która zablokowała jej gardło. - Droga *doño* Alicio, tak naprawdę nie możemy wybaczyć samym sobie.

Alejandro przyszedł, żeby się z nią zobaczyć. Był bardzo blady i cichy. Luis, zanim wyjechał, w kilku celnych słowach wyraził swoją opinię.

- Wyjeżdżam dziś wieczorem, ale nie mógłbym opuścić tego domu nie mówiąc ci, jak okropnie się czuję z powodu tego, co się stało. Żeby moja własna siostra... nie miałem pojęcia, że tak bardzo cię nienawidziła. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa... a mimo to, zrobiła to, co zrobiła! Nigdy nie uwierzyłbym...

- To już było i minęło - odpowiedziała mu Jane zmęczonym głosem. - Nie musiałam wychodzić na arenę, ale to zrobiłam. Dlatego muszę ponieść konsekwencje tego czynu.

Jorge, równie blady, ponieważ Luis z nim także odbył rozmówkę, dodał swoje gorące prośby do słów Alejandra, prosząc Jane, niemal ze łzami w oczach, żeby nie wyjeżdżała. Ale bez skutku.

Najtrudniej było z dziećmi. Przyszły do jej pokoju i cicho płacząc objęły ją mocno drobnymi

rączkami.

- Proszę nie odjeżdżać, prosimy, panno Jane - błagała Inés. - Kochamy panią, panno Jane. Proszę z nami zostać.

- Będziemy grzeczni - przyrzekał Luisito, a jego wielkie brązowe oczy pełne były łez.

- Zawsze byliście grzeczni - szepnęła Jane. Jej oczy też były wilgotne.

- Więc zostanie pani?

- Nie mogę.

- Dlaczego nie?

- Bardzo rozżłościłam waszego wujka Luisa.

- Ale my też go czasem złościmy i wcale nie musimy wyjeżdżać.

- Ja nie jestem jego bratanicą ani bratankiem.

- Ale wujek Luis panią lubi, więc czemu miałby panią odsyłać?

- Nie odsyła mnie, tylko ja sama uważam, że najlepiej będzie wyjechać.

- Zawsze nam pani mówiła, że on groźnie warczy, ale nie gryzie.

- Wtedy jeszcze nie poznałam tego ugryzienia - odparła Jane ze skruchą.

Inés była przerażona.

- Ugryzł panią?

- Nie zębami, lecz ostrymi słowami.

- Jestem pewna, że wcale tego nie chciał - zapewniła ją Inés ze łzami w oczach.

- Rozżłościł się z powodu tego, co zdarzyło się na *tienta* - rzekł zawstydzony Luisito. - Powiedział, że nie powinniśmy byli tego robić. Bo wie pani, przyznaliśmy mu się, że to my panią namówiliśmy. Ale przecież chodziło o cielaka, a nie o wielkiego, ogromnego tom. To zrobiła Queta. Powiedziała, że to tylko taki żart.

- To mi dopiero żart - stwierdziła Jane, próbując zdobyć się na uśmiech.

- Wujek Luis był na nią bardzo zły. Odjechała po rozmowie z nim. Płakała.

- Wszyscy wyjeżdżają - powiedziała zrozpaczona Inés. - Wujek Luis pojechał do La Menja - naszej innej *finca* w górach. Gdyby tu był, nie pozwoliłby pani odjechać.

- Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu - stwierdziła smutno Jane.

- Ale on wie, że panią kochamy. Dlaczego miałby chcieć, żeby pani wyjechała? - dziwiła się Inés, przełykając łzy.

- Czy pani i *tio* Luis nie jesteście już przyjaciółmi? - zapytał zmartwiony Luisito.

- Nie - odpowiedziała Jane załamującym się głosem. - Obawiam się, że nie.

Objęli ją mocno i rozplakali się.

Dla Jane była to trudna decyzja, ale jeszcze trudniej byłoby jej stanąć znów twarzą w twarz z obcym człowiekiem o lodowatym spojrzeniu i twardym głosie, którego widziała tego popołudnia. Nawet jeśli teraz zdawał już sobie sprawę ze swojej pomyłki tak samo, jak ona zdała sobie sprawę ze swojej. Nie mogła jednak załatwić sprawy wypędzając go z własnego domu. To ona musiała wyjechać.

Tak więc z rozpaczą w sercu wyjęła walizki i zaczęła się pakować. Nic innego jej nie pozostało. Zrobiła, co mogła, żeby wszystko zniszczyć. Umarła cała jej promienna radość z poprzedniej nocy, wspaniałe przebudzenie tego ranka - czy naprawdę jeszcze kilka godzin temu czuła się taka szczęśliwa? Zostały tylko popioły i pył w ustach. Z suchymi oczyma i ciężkim sercem zapakowała wszystkie pozostałości tego wspaniałego lata - najlepszego w jej życiu. Muszelki z Cabo, butelkę szampana, którą wygrała na strzelnicy, pamiątki z fiesty, konika morskiego - Luisito nalegał, żeby go wzięła, kiedy nie udało mu się utrzymać go przy życiu. Leżał na jej dłoni jak drobny, idealnie wyczyszczony klejnot, zmieniony w martwy kamień - tak samo, jak jej serce. Wszystko to zapakowała wraz ze wspomnieniami, którym nie odważała się jeszcze stawić czoła. Spakowała białą sukienkę, którą nosiła tamtej nocy, kiedy Luis ją całował. Lepiej o tym nie myśleć. Piękną różową sukienkę miała na sobie, gdy zrozumiała, że go kocha, zwiewne błękity i zielenie z poprzedniego wieczoru - kiedy spojrzeli na siebie i bez słów wyznali sobie miłość. Albo tak jej się tylko wydawało, bo jego miłość nie była wystarczająco silna, żeby przewyciężyć uprzedzenia i przeważyć wobec kłamstw, które powinien był rozpoznać bez namysłu... Czy można prawdziwie kochać coś, co się potępia? Na pewno nie. Ale teraz nie potrafiła o tym myśleć. Za bardzo ją to bolało. Najlepiej po prostu wyjechać. Opuścić to miejsce rano razem z Jamesem i wyjechać do Szkocji, do innego świata. Z powrotem do ludzi jej podobnych, którzy ją znali, rozumieli i nie potępiali.

Oczywiście nie spodoba mu się jej ucieczka i zerwanie umowy. On nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Ale wiedziała również, że nie spróbuje zmuszać jej do czegoś, co byłoby teraz nie do zniesienia. To, co się stało, nie mogło tak po prostu zostać zapomniane. Oboje czuli się winni i to

uczucie będzie ich dręczyć, póki nie uda się czymś go przykryć - grubo i gładko, tak jak ostryga przykrywa drażniące ją ziarnko piasku. Tym razem nie będzie z tego perty, ale przynajmniej nie będzie już bolało.

Kiedy skończyła się pakować, było dopiero wpół do dziewiątej. Kolacji nigdy nie przygotowywano przed dziewiątą trzydzieści. Dzięki temu miała całą godzinę na to, żeby pożegnać się z miejscami, które pokochała podczas swojego pobytu w dolinie. Na zewnątrz już się zmierzchało i cała dolina skąpana była w półmroku. Zeszła na taras. Na dworze panowała cisza, w niebo bił dym z domów, gdzie gotowano kolację. Zapach dojrzewających owoców ciężko wisiał w powietrzu. Wkrótce zaczną się zbiory, ale jej tu już wtedy nie będzie, nie zobaczy ludzi przy pracy ani nie spróbuje świeżych fig z drzewa na tyłach domu. Gdzieś daleko zaszczekał pies, a z innej strony usłyszała miękkie nawoływania turkawek. Z rękoma w kieszeniach poszła do stajni, gdzie ucałowała na pożegnanie swojego rudawego konia. Podeszła także do wielkiego kasztana Luisa i pogłaskała lśniący luk jego szyi.

- Mogłam cię dosiadać - powiedziała - ale teraz już nigdy tego nie zrobię.

Potem skierowała się na korty tenisowe, przypominając sobie trudne, szybkie partie rozgrywane z Jorgem i Alejandrem, głośnie kibicowanie dzieci, łagodniejsze odbijanie piłeczki w jedną i w drugą stronę, kiedy grała z bliźniętami. No, i mecze krykieta. Podeszła do basenu, stała tam przez chwilę patrząc na spokojną, nieruchomą wodę i kilka martwych liści pływających po powierzchni. Kiedy tak stała, nagle poczuła nieprzepatą chęć zobaczenia po raz ostatni swojego ulubionego miejsca w Cañas - marmurowego basenu. Spojrzała na zegarek. Ósma czterdzieści pięć. Wciąż jeszcze miała trochę czasu, zwłaszcza, gdyby wzięła dzipa. Szybko poszła do garażu. Dzip stał tam, gotowy do jazdy, jak zawsze. Bez namysłu wsiadła i wyjechała na podwórze.

Włączyła światła przy basenie i powoli obeszła go wokół.

Z całej doliny najbardziej lubiła to miejsce. Uwielbiała jego spokój, ciszę i chłód, marmurowe posągi i zwieszające się z nich pnącza tworzące zieloną kopułę, tak że można było kąpać się w cieniu i w chłodzie. Nawet w środku dnia basen był jak chłodna, zielona grotka.

Marmurowe ławki wciąż jeszcze promieniowały ciepłem po słonecznym dniu. Usiadła na chwilę myśląc o ostatnich trzech miesiącach, na nowo przeżywając szczęście, dobre chwile, przyjemności; wspominała, bo tylko to jej pozostało, dotyk dłoni Luisa, jego usta, ręce, całe ciało, wyobrażała sobie lśniące oczy, oślepiający uśmiech, słyszała w myślach jego głęboki głos, który w jednej chwili umiał stać się miękki jak jedwab, a w innej twardy jak stal.

Siedziała tak przez dłuższy czas, płacząc bezgłośnie i rozpaczliwie żałując, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Potem otarła oczy i spojrzała na zegarek. Prawie dziewiąta trzydzieści. Czas na kolację. Jej ostatnią kolację w Cañas. Z westchnieniem wstała i odwróciła się, żeby wrócić do dzipa, kiedy coś grubego i ciężkiego spadło jej na głowę, a wielkie ręce i ogromne ciało zwały ją z nóg. Jej krzyk został zduszony przez grubą tkaninę. Walczyła kopiąc i rozpychając się łokciami, ale cokolwiek ją pojmowało, miało niewiarygodną siłę i wszystkie jej starania były daremne. Zabrakło jej powietrza, dusił ją ciężki materiał. Kopiąc na oślep uderzyła się w goleń, potem podniesiono ją w górę, przerzucono przez ramię jak worek ziemniaków i straciła dech. Czerwona mgła zasnuła jej oczy, osunęła się nieprzytomna na plecy napastnika.

Luis de Capdévila przejechał siedemdziesiąt mil z La Menja, dygocząc ze strachu i rozpacz. Szalony telefon bratowej, kiedy to powiedziała mu, że Jane zaginęła, nadszedł tuż po północy, wydobywając go z czarnej otchłani rozpacz, w której się apatycznie pogryżył. Jechał bardzo szybko, choć bez podejmowania głupiego ryzyka. Bez sensu byłoby zabić się teraz. Tylko dlatego, na miłość boską, Alicia nie zatelefonowała do niego od razu, zamiast tracić cenne godziny na bezowocne przeszukiwanie domu i posiadłości, na dzwonienie do Jamesa, żeby zapytać go, czy Jane nie pojechała do niego, ponieważ zaginął również jeden z dzipów. Ale okazało się, że nie. James miał wpaść po nią rano i zawieźć ją do Sewilli, gdzie razem wsiedliby do samolotu lecącego do Londynu. Ta właśnie bolesna wiadomość sprawiła, że Luis podjął decyzję. Kiedy Jane się znajdzie, nie pozwoli jej odejść nigdy więcej, bez względu na wszystko. Choćby nawet musiał ją związać, a zielone oczy ciskałyby w niego płomienne spojrzenia, choćby nawet na głos wypowiedziała to, co jej oczy mówiły tego popołudnia na calle de Velazquez: że jest aroganckim Hiszpanem, niemożliwym do zniesienia męskim szowinistą pełnym uprzedzeń i wyciągającym pochopne, a przy tym staroświeckie wnioski. Nic nie jest ważne, byle tylko miał jeszcze jedną szansę powiedzenia jej, że ją kocha, pragnie jej i do diabła z dumą, przebaczeniem, równością, czyimkolwiek równouprawnieniem i wszystkim innym. Tylko Jane się liczy. Cokolwiek ona zechce zrobić, pomyśleć, kimkolwiek zechce być, cokolwiek powie - on na wszystko się zgadza, byle mógł być przy niej.

Ale kiedy przyjechał do Cañas, gdzie był już James, Jane wciąż się nie odnalazła. Wysłano na

poszukiwania wszystkich ludzi z doliny. Dżipa znaleziono przy marmurowym basenie wraz z chusteczką leżącą pod jedną z ławek. Nie był to jakiś bezużyteczny, cieniutki skrawek koronki, to nie w stylu Jane. Jej chusteczkę uszyto z irlandzkiego płótna sporych rozmiarów, a na jednym z rogów wyhaftowano literę „J”. Odpowiedni rozmiar, żeby wydmuchać nos i wytrzeć oczy. Luis schował ją do kieszeni wyczuwając wilgoć. Płakała.

Ogarnęło go przerażenie i wściekłość na samego siebie. Głupiec, głupiec! Czy do tego właśnie chciał doprowadzić? Jane, ze wszystkich ludzi na świecie! Jane mająca tyle odwagi i energii. Moja śliczna amazonko, pomyślał zżerany przez poczucie winy. Co ja ci zrobiłem?

Pytania tłoczyły się w jego głowie. Na dżipie nie było żadnych śladów, więc nie ma mowy o wypadku. Musiała pójść pieszo. A jeżeli wpadła gdzieś po ciemku, w jakąś dziurę, żleb, spadła ze zbocza? Nie - Jane miała zwinne nogi i nie w jej stylu było oddalić się na ślepo. Więc porwana? Mówiła mu, że coś lub ktoś ją obserwuje. Czyżby o to chodziło? Czy ktoś chętnie patrzył na nią przez całe lato, czekając na odpowiednią sposobność? Zabiłby go, gdyby ją tknął. Jeżeli Jane stało się coś złego... rozsądnie usunął z myśli okropny obraz Jane wydanej na pastwę jakiegoś zbira...

James zauważył wyraz jego twarzy i z właściwą sobie domyślnością pojął jego myśli.

- Proszę mnie posłuchać. Jednej rzeczy jestem pewien: gdyby ktoś porwał Jane, musiałby z nią ostro walczyć. Dałaby mu popalić. Ona nie mdleje ani nie dostanie migreny; jest silna, zdrowa i zwinna. Jeżeli istnieje jakiś sposób, jakkolwiek, żeby dać nam znać, gdzie jest, to ona go znajdzie. Kiedyś zgubiła się, kiedy byliśmy na wycieczce na wrzosowiskach. Mgła opadła zupełnie nieoczekiwanie, co jest charakterystyczne dla tamtych terenów, i nagle przestaliśmy widzieć cokolwiek, nawet na wyciągnięcie ręki. Zamiast wałęsać się na ślepo i może nawet spaść ze skały do strumienia, ona po prostu usiadła w miejscu i czekała, na zmianę krzycząc i gwizdząc - Jane świetnie gwizdza, słyhać ją na milę - no i usłyszeliśmy. Tak ją znaleźliśmy. I tym razem też znajdziemy, proszę pana. Zobaczy pan.

Luis uśmiechnął się do niego, ale było to tylko skrzywienie warg.

- Zadziwiający z ciebie człowiek, James. Nic dziwnego, że Jane tak cię lubi.

- Nie aż tak bardzo. Tak naprawdę chce pana - uśmiechnął się James. - Mój staruszek będzie niepokieszony. Jane złapała go na haczyk już wtedy, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Jednak nigdy nie udało mi się jej namówić na małżeństwo. Podczas, gdy pan... nigdy jeszcze nie widziałem Jane w takim stanie...

Przerwał na chwilę, po czym powiedział:

- Ta historia z bykiem...

- Moja wina - odparł Luis. - Od początku do końca. Zachowałem się jak głupiec. Mogę się usprawiedliwiać jedynie chwilowym szaleństwem, w jakie popadłem bojąc się, że Jane może być poważnie ranna.

- Ona myśli, że ma pan o niej jak najgorsze zdanie. Tego właśnie nie może przeboleć, nie może pogodzić się z tym, że pana zawiodła. Jane nie ma w zwyczaju robić takich rzeczy.

- To też zrozumiałem, chociaż z trudem - odparł cicho Luis. James poczuł się pewniej. Najwyraźniej Luisowi bardzo zależało na Jane. Z jakiego innego powodu mógłby wyglądać tak koszmarnie? Był napięty jak zbyt mocno naciągnięta rakietka tenisowa.

Doiła Alicia oczekiwała, że jej szwagier powie kilka ostrych słów. Ten cierpiący, błądy automat nie był człowiekiem, którego znała. Dzieci przytuliły się do siebie, trzymając się mocno za ręce. Jorge i Alejandro, który nie wyjechał, kiedy okazało się, że Jane zaginęła, byli cisi i posłuszni.

Zbadano oba baseny: bez efektu. Przez całą noc szukali z psami i światłami, krzyczeli i wołali ją na wypadek, gdyby ranna leżała gdzieś w lesie. Błądym świtem wszyscy powoli wrócili do domu, który stał się kwaterą główną akcji poszukiwawczej. Nikt nie miał żadnych wieści. Jane zniknęła bez śladu.

Kiedy Jane odzyskała przytomność, leżała na twardej ziemi w całkowitych ciemnościach. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Próbuąc usiąść usłyszała szcęk metalu i coś przytrzymało ją za nadgarstek i kostkę. Macając ręką w ciemnościach zrozumiała z przerażeniem, że skuto ją łańcuchem. W pierwszej chwili wpadła w panikę i krzyknęła ze strachu, ale głos został dziwnie stłumiony przez grube ściany. Siedziała głęboko oddychając i próbując się uspokoić. Stłumiony dźwięk oznacza małą przestrzeń, rozumowała. Nie ma światła, czyli nie ma tu okien. Zatem nie jest to dom ani chata. Więc co? Nadal była całkowicie ubrana i miała zegarek na ręce. Jego tarczę można było podświetlić. Uniosła rękę do pasa i udało jej się spojrzeć na zegarek. Trzecia trzydzieści. W dzień czy w nocy? Zdecydowała, że w nocy. Gdyby na zewnątrz świeciło słońce, światło musiałyby się tu przedostawać. Z pewnością gdzieś muszą być drzwi. Czyżby ukryto ją pod ziemią? Lepiej o tym nie myśleć. Już sama myśl o tym, że może być gdzieś zakopana, przeraziła ją śmiertelnie. Zaschło jej w ustach. Chciało jej stępić. Nie jadła nic od obiadu, który był... kiedy?

Wczoraj? Gdzie się znalazła? I dlaczego? Kto ją tu przyniósł i po co? Myśl, Jane, i nie panikuj, powiedziała sobie. Będą cię szukać. Wiedzą, że nie wyjechałaś bez pożegnania. Zresztą bagaż ciągle jest w domu. No i dżip, może wciąż stoi przy basenie. Jeżeli go znajdą, będą wiedzieli, że ona musi być gdzieś niedaleko. Jeżeli rzeczywiście jestem niedaleko, pomyślała z niepokojem. I pod warunkiem, że ten, kto mnie tu przyniósł, nie zabrał również dżipa. Czy to było porwanie? Chyba nie znowu Queta? Raczej nie. To nie w jej stylu, prędzej użyłaby trucizny niż jakiegoś prymitywnego narzędzia. A jeśli to jednak jakiś rodzaj zemsty? Bez sensu. Queta nie jest aż taka głupia. Już i tak straciła szansę u Luisa de Capdévili - tylko, czy nie oznaczało to, że może się porwać na jakiś szalony czyn? Opanuj wyobraźnię, Jane, upomniała się. Ale jeżeli przyniesiono ją tu po to, żeby zostawić ją samą i żeby nigdy jej nie znaleziono? Pospiesznie wyparła z umysłu tę ewentualność, zanim panika opanowała ją na dobre.

Siedziała tak przez długi czas myśląc i zastanawiając się, układając na nowo wszystkie fakty na tyle sposobów, ile tylko mogła wymyślić, ale nic nie miało sensu. Kiedy spróbowała przejść kawałek i odkryła, że łańcuch nie pozwala jej oddalić się dalej niż na metr, wymacała skałę, w której go osadzono. Na chwilę straciła panowanie nad sobą i zaczęła szarpać żelaza jak dzikie zwierzę. Potem przez jakiś czas leżała zwinięta w kłębek, a następnie uklękła, żeby na czworakach przeszukać odcinek podłogi będący w zasięgu jej ręki. Wyczuła tylko drobne gałązki i rośliny, poza tym pachniało sosną i eukaliptusem. Tak więc wciąż jest na górze. W Cañas? Ale gdzie w Cañas? Cały obszar zajmował cztery tysiące akrów, tak powiedział jej Luis. To ogromna przestrzeń. Ale będą jej szukać. Tego była pewna. Może, gdyby nawoływała? Tak też zrobiła, aż ochrypla i opadła z sił. W końcu zapadła w niespokojną drzemkę.

Obudził ją szelest w krzakach i, kiedy popatrzyła w stronę, skąd dochodził dźwięk, zobaczyła, jak światło dnia powoli rozjaśnia to, co okazało się wejściem do jaskini odległym o jakieś sto metrów. Światło stało się bardziej intensywne, kiedy krzewy, a potem duży kamień zostały odsunięte na bok. Na koniec przez powstały prześwit weszła zgarbiona nisko sylwetka. Sztywniejąc ze strachu udawała, że śpi, a jednocześnie patrzyła przez rzęsy na porywacza. Był to ogromny mężczyzna. Widziała, jak wyjmuje z kieszeni pękata świeczkę i ustawia ją na skalnym występie, potem znajduje zapalniczki i zapalają. Światło wydobyło z mroku zwałistą postać mężczyzny z opadłą szczęką, wystającym językiem i pustymi oczyma kretyna. Strach pozbawił ją sił i leżała jak nieżywa. Podszedł do niej i schylił się; pachniał czosnkiem, potem i nieświeżym ubraniem. Pomacał łańcuchy sprawdzając, czy zostały odpowiednio przymocowane. Następnie przeszukał kieszenie i wyjął zawiniątko, które umieścił na ziemi obok niej. Przy zawiniątku położył skórzaną *bota*, bukłak.

W końcu pochylił się nad Jane. Nie poruszyła się. Wtedy zrobił coś bardzo dziwnego: przykucnął i zaczął gładzić jej włosy, które rozpostarły się wokół niej jak welon. Dotykał ich bardzo delikatnie, jednocześnie mrużąc coś do siebie. Unosił je do policzka, a potem pozwalał im przesuwać się między palcami, głaskał je, całował, wachał, znów podnosił i pozwalał opadać. Robił to przez długą chwilę, podczas gdy Jane wciąż leżała bez ruchu. Wreszcie, wciąż mrużąc do siebie, wstał i zgasił dmuchnięciem świecę, ale nie zabrał jej ze sobą, i wyszedł z jaskini na światło dnia. Usłyszała dźwięk przesuwanego kamienia, szelest krzewów i ponownie znalazła się w ciemnościach.

Przez dłuższy czas leżała nieruchomo na wypadek, gdyby wrócił, a potem usiadła sztywno. W jaskini nie było zimno, tylko wilgotno, a od leżenia na twardej ziemi bolały ją kości. Spojrzawszy na zegarek zobaczyła, że jest siódma. Podniosła zawiniątko i rozwinęła je. Zawierało gruby kawałek chleba, takiego, jaki pieczono w wiosce, oraz kawałek *chorizo*. *Bota* zawierała *vino tinto*, czerwone wino, i Jane skwapliwie rzuciła się na jedzenie. Z pełnym żołądkiem na pewno lepiej będzie się myśleć.

Wróciwszy do domu Luis zaczął organizować szersze i bardziej szczegółowe poszukiwania. Nie spał. Ściągnął wszystkich ludzi: pracowników z posiadłości, a także sąsiadów. Do tej pory przeszukano najbliższe miejsca: stajnie, garaże, magazyny, stodoły. Teraz trzeba będzie przeczesać posiadłość, las i góry.

Miał na biurku wielką mapę posiadłości i okolic: tysiące hektarów ziemi, które dzielił na sektory. Każdy z nich musiał zostać dokładnie sprawdzony. Zaczynał się już naprawdę poważnie bać. Musiał pogodzić się z faktem, że Cañas pełne było zakątków i kryjówek, gdzie ranna dziewczyna mogła leżeć nieprzytomna i nie zauważona wystarczająco długo, żeby umrzeć. Były jeszcze górskie jaskinie. Wszystkie trzeba będzie przeszukać. A to zabierało czas, bardzo dużo czasu. Zniknęła dwanaście godzin temu. Gdzie więc była? Gdzie?

Wszedł Jorge. Jego wujek ciągle studiował mapę, jakby chciał na niej znaleźć odpowiedź. Próbował go pocieszyć. Nigdy nie widział, żeby miał taką bladą i napiętą twarz. Jorge pomyślał, że

wygląda, jakby doświadczał tortur w najgorszej części piekła.

- Jane jest niesamowicie odważna - powiedział zdecydowanie. - Dlatego właśnie weszła na arenę dla byków - i przyjmuję za to pełną odpowiedzialność - dodał szlachetnie. - Wiem jedno: gdziekolwiek Jane się znajduje, cokolwiek się z nią stało, nie będzie się bała.

- Tak sądzisz? - spytał nieprzytomnie Luis. Jeżeli nie znajdziemy jej dzisiaj, zawiadomię policję.

Nie znaleźli jej. Tego samego wieczoru, gdy minęły już dwadzieścia cztery godziny, Luis zawiadomił policję. Był wyczerpany. *Doña* Alicia martwiła się o niego. Wiedziała, że winił przede wszystkim siebie. Nie odpoczywał ani nie spał od czasu przyjęcia zaręczynowego - czyli od ponad trzydziestu sześciu godzin.

- Musisz spróbować trochę odpocząć - błagała. - Nie możesz pracować bez przerwy.

- Nie jestem zmęczony. I tak nie mógłbym zasnąć. Kiedy zamykał oczy, widział tylko Jane; Jane na piaskowym wałachu, patrzącą poządliwie na jego kasztanowatego rumaka, którego z pewnością mogłaby dosiadać, i to z łatwością, tak samo, jak robiła wszystkie inne rzeczy - nie wątpił już w to. Chciał ją tylko sprowokować. Sprawdzał jej swobodnego, śmiałego ducha. Albo Jane w przybrzeżnych falach Cabo de los Ángeles - jak jakieś zwinne i piękne morskie stworzenie; Jane wtedy, gdy po raz pierwszy ją zobaczył, sztywną i dumną, zanim odwróciła się do niego ziejąc furią z zielonych, kocich oczu i broniąc swoich przekonań; Jane baraszkująca z dziećmi, beztroska i wesola, całkowicie pochłonięta nimi, całkowicie godna zaufania; nigdy nie miał ani jednego zastrzeżenia, jeżeli chodziło o dzieci. Widział, że uwielbiały Jane i były jej bezwarunkowo posłuszne. Jane opędzająca się od Jorgego na miły, aczkolwiek stanowczy sposób; Jane i jej wspaniałe włosy przybrane wielobarwnymi kwiatami - jeszcze nigdy w życiu nie ujrzał tak pięknego widoku; Jane w jego ramionach, w powłóczystej białej sukience - jej dotyk, zapach, usta otwierające się niczym kwiat pod dotknięciem jego ust, porażająco namiętne, choć zupełnie niewinna, ofiarująca siebie w taki sposób, że trudno było się cofnąć: i końcowy obraz zniszczenia: zrozpaczona zalana łzami twarz, ból w przepastnych oczach i sina pręga na złocistej skórze jej uda.

- Najodważniejsza na świecie - powiedział Jorge i miał rację. Jeżeli Jane zobowiązała się wobec kogoś, nie było niczego, na co nie mogłaby się odważyć.

Musiał ją znaleźć, po prostu musiał. Jej utrata byłaby tragedią, z którą nie mógłby się pogodzić. Musiała przebywać gdzieś na terenie posiadłości. Siedziała przy basenie, tam też został dziup - i chusteczka. Wyjął ją z kieszeni. Teraz już sucha, pognieciona. Kiedy ją znaleziono, przesiąknięta była łzami. Zacisnął na niej rękę. Jego ukochana amazonka. Jakże to określenie do niej pasowało. Znajdzie ją. Znajdzie.

Jane spędziła ten dzień na przemian drzemiąc i krzycząc. Nie było sensu szarpać łańcucha. Zbyt porządnie go zamocowano i mogła się poruszać tylko po okręgu ograniczonym jego zasięgiem. Do czasu, kiedy tego wieczoru powrócił porywacz, gotowa była błagać, ale on nie zwrócił na to uwagi. Uśmiechał się do niej, przyniósł więcej jedzenia i wina i pokazywał jej na migi, że ma jeść. Wtedy zrozumiała, że jest głuchoniemy - nie słyszy ani nie mówi. To odkrycie sprawiło, że jeszcze bardziej pogrążyła się w rozpacz, jakby do kostek przymocowano jej betonowy blok. Siedziała apatycznie, podczas gdy on gładził ją po włosach i bawił się nimi. Najwyraźniej to one go fascynowały, dlatego właśnie przyniósł ją do jaskini. Wydawał nieartykułowane dźwięki rozkoszy, bawiąc się jej lokami, jakby była jakimś rzadkim i egzotycznym zwierzęciem. Przykuł ją do skały jak zwierzątko, ponieważ pociągał go kolor jej włosów!

Spędziła poniedziałkową noc w stanie odrętwienia i desperacji. Kiedy nadszedł wtorkowy świt, leżała twarzą ku wejściu do jaskini i patrzyła na światło, które nigdy nie było silne, ale dzisiaj z pewnością silniejsze; porywacz niezbyt dokładnie zasunął z powrotem kamień, więc widać było, że jaskinia jest tylko krótkim tunelem tworzącym małą komnatę w skale. W jednym końcu leżała sterta gałęzi i jakieś łachmany. W pobliżu był też stary wiklinowy koszyk i - Jane usiadła nagle prosto - czyżby to...? Daj Boże, żeby miała rację. Tak, rzeczywiście miała przed oczyma spłaszczone i brudne, chociaż kiedyś ładne pudełko, w jakim trzymało się zapalki. Porywacz zawsze zapalał świecę, kiedy przychodził i zdmuchiwał ją wychodząc, ale zapalki zabierał ze sobą. Leżąc płasko na ziemi wyciągnęła wolne ramię jak mogła najdalej, ale jej palcom brakowało jakichś piętnastu centymetrów. Mogła jednak dosięgnąć gałęzi i wyciągnęła ze sterty dłuższy kawałek, którym przyciągnęła pudełko bliżej ku sobie. W środku były cztery zapalki: spłaszczone i podeptane, ale nie używane! Teraz mogłaby zapalić światło. Potem... ale nie, pomyślała, lepiej poczekać. Mogłby zauważyć, że paliła świecę. Z pewnością był kretynem, ale tacy ludzie też bywają na swój sposób sprytni. Lepiej udawać niewiniątko i schować zapalki. Gdzie? Przy sobie? Za wyjątkiem włosów nigdy jej nie dotykał. Wyjęła więc zapalki z pudełka, żeby nie grzechotały, i umieściła w jednej kieszeni, a pudełko w drugiej. Potem usiadła i zaczęła myśleć. Nabrała do ręki trochę ściółki. Liście ostrokrzewu, sosnowe igły, kawałki gałązek, wszystko dość suche. Powinno

się łatwo palić i dawać dużo dymu, zwłaszcza, gdyby zwilżyć trochę, garść lub dwie, sosnowych igieł. Jeżeli dym wydobędzie się z jaskini, a niech Bóg sprawi, by przez nie do końca zablokowane wejście przedostawało się do środka wystarczająco dużo powietrza, uniesie się na falach ciepłego powietrza i będzie wisiał w jednym miejscu, tak jak to się działo w dolinie. Rzadko wiatr był na tyle silny, żeby rozwiać dym. Ale będzie musiała poczekać, aż porywacz przyjdzie na poranną wizytę i znieść jego zabawę jej włosami...

Siedziała tak robiąc plany, i po raz pierwszy od porwania czuła, że jest jakaś nadzieja na wydostanie się z tej sytuacji, kiedy nad głową usłyszała głęboki, świdrujący ryk. Samolot - helikopter! Więc jej szukają! Luis na pewno zorganizował wszystko, całkowicie mu ufała. Cokolwiek się jeszcze zdarzy, on nie spocznie, póki jej nie znajdzie, była tego pewna. A kiedy już rozпали ogień... spojrzała na zegarek. Kilka minut po szóstej. On przychodził o siódmej rano, pozostała jeszcze pełna godzina. Nie ma czasu do stracenia. Trzeba zapalić ogień i zrobić dużo dymu, zanim samolot zdąży odlecieć.

Luis spotkał się z policjantami, którzy przyjechali z psami tropiącymi, krótkofalówkami i helikopterem. Wyjaśnił im sytuację i opowiedział, co do tej pory zrobiono. Pochylał się właśnie nad mapą ze starszym oficerem, kiedy o szóstej piętnaście pilot helikoptera doniósł, że zauważył dym na skalistych tarasach górskich za lasem, tuż przy opuszczonym tartaku. W tamtym rejonie nie prowadzono poszukiwań. Oficer zobaczył, że twarz Luisa rozjaśnia nadzieja.

- To na pewno ona - powiedział stanowczo.

- Jak może pan być tego pewien? - oficer miał wątpliwości.

- To bardzo zaradna dziewczyna... - wyjaśnił Luis głosem, który nie dopuszczał żadnych kontrargumentów. - Pojadę tam konno, tak będzie szybciej. Pan niech jedzie za mną dżipem wraz ze swoimi ludźmi. Spotkamy się na miejscu. Wsiadł na Kasztana i pogalopował.

Tartak mieścił się na tyłach posiadłości, piętnaście minut szybkiej jazdy konnej od domu. Już od dawna był opuszczony, gdyż wyschła rzeka, którą spławiano drzewo, ale Luis dobrze znał okolicę. Góra wznosząca się za tartakiem usiana była jaskiniami, w których bawił się jako chłopiec. Czyż mogło być lepsze miejsce do ukrycia porwanej dziewczyny?

Kiedy zbliżył się do tartaku, poczuł zapach dymu wiszącego w nieruchomym powietrzu. Wokół było cicho i spokojnie, nie widział ani nie słyszał nikogo. Przywiązał Kasztana do połamanego drewnianego płotu i poszedł w kierunku dymu. Był gryzący, piekący i dochodził ze zbocza góry. Gdy wybiegał z domu, instynktownie zdjął strzelbę ze stojaka w pokoju myśliwskim i teraz przygotował ją do strzału, jednocześnie cicho się skradając. Jeżeli Jane stało się coś złego, zastrzelili każdego, kto za to odpowiada. Czuł narastającą furię.

Wśród drzew panowała cisza, nie słyszał żadnych odgłosów prócz śpiewu ptaków i szelestów, jakie wydawały drobne zwierzątka.

Poruszał się bezgłośnie. Przez całe życie polował w tych lasach i dobrze je znał. Na tyłach tartaku stromo wznosiły się skaliste tarasy podziurawione jaskiniami i przejściami, prawdziwy labirynt. Jane musi znajdować się w jednej z nich. Kto inny mógłby rozpaść ogień, który w nieruchomym powietrzu na pewno ujawni położenie rozpalającego? O wiele silniej czuł teraz jego zapach. Paliły się liście i ściółka, widział sinobiałe dym unoszący się nad drzewami. Pobiegnął w jego kierunku i, gdy tylko wyszedł pomiędzy drzew, zobaczył jego: gigantycznego mężczyznę, szaleńczo odgarniającego na wszystkie strony krzewy z czegoś, co musiało być wejściem do jaskini. Luis rozpoznał go.

- Oso... - szepnęła i nagle wszystko stało się jasne. Zza zasłony drzew obserwował wielkiego mężczyznę niedźwiedziej postury - jego imię. Oso, znaczyło „niedźwiedź” - który odsunął sprzed wejścia ciężki głaz a potem zniknął w środku. Luis poszedł za nim trzymając strzelbę w pogotowiu. Dym był gęsty i piekł w oczy. Z wnętrza jaskini dobiegały jakieś szelesty i kaszel - dwie osoby. Potem wreszcie usłyszał głos, który kochał.

- Przestań, ty wielki idioto, au! wrywasz mi włosy, kretynie! Puść mnie! - słychać było tupnięcie i brzęk metalu.

Luis uśmiechnął się mimo woli. Wszystko z nią w porządku, najwyraźniej była wściekła i pełna energii. W jednej chwili znalazł się w tunelu i kończącej go skalnej komnacie. Tam ich zobaczył: gigant trzymał Jane za włosy i próbował zdeptać tłący się ogień, podczas gdy Jane starała się mu w tym przeszkodzić. Nie mogła jednak zrobić wiele, ponieważ była skuta łańcuchem. Luis poczuł gniew jak uderzenie gromu. Odbezpieczył strzelbę.

Jane odwróciła się słysząc ten odgłos i zobaczyła go; jej twarz rozpromieniła się i wykrzyknęła jego imię, a cały jego gniew i strach wyparował gdzieś w jednej chwili.

- Luis!

Oso puścił Jane i podszedł do Luisa, wyciągając w jego stronę niedźwiedzie ramiona, a Luis

wystrzelił trafiając go w nogę. Jeszcze zanim Oso upadł, Luis trzymał już Jane w ramionach, mocno ją ściskając. Twarz miała brudną i poplamioną od lez spowodowanych gryzącym dymem, który jego też przyprawiał o płacz. Oboje trzęśli się z ulgi i radości, że znowu się widzą.

- Och, moja kochana - powiedział. - Co ja ci zrobiłem? Wszystko w porządku? - Spojrzała na nią niespokojnie, ale uśmiechnęła się do niego promiennie, dodając mu otuchy, i w jej oczach pojawił się przekorny błysk. Wciąż pełna była energii.

- Luis, wiem, że cenisz posłuszeństwo - zachichotała zachrypniętym i cienkim głosem, niepodobnym do jej normalnego, czystego kontraltu - ale czy tym razem to nie przesada...?

Jego śmiech był równie radosny, kiedy znowu przytulił ją do siebie.

- Moja piękna, zaradna amazonka - powiedział łamiącym się głosem. - Kiedy usłyszałem, że zauważono dym, od razu wiedziałem, że to ty. Jak to zrobiłaś - pocierałaś dwa drewnianki? - Mówił to tonem żartobliwym, ale zarazem pełnym dumy i miłości.

- Mogłabym - powiedziała wyniośle. - Byłam zwiadowcą w drużynie skautów i wiem, jak to robić...

- Jestem pewien, że tak...

- Ale przypadkiem ten wielkolud zostawił w jaskini zdeptane pudełko z czterema zapalkami. - Zadrżała, a on przytulił ją mocniej. - Kto to właściwie jest?

- Nazywa się Oso, to syn naszego starego drwala. Ma umysł dziecka, a na dodatek jest głuchoniemy. Do tej pory nie zrobił nikomu krzywdy, ale teraz będzie musiał stąd odejść.

Ton Luisa był stanowczy i Jane nie protestowała, chociaż teraz czuła litość dla biednego idioty.

- Chodziło o moje włosy - przytuliła się mocniej. - Wciąż głaskał mnie po włosach. To on musiał mnie obserwować. Wiem, że ktoś to robił, czułam to.

- Przebac mi, że w to wątpiłem - i w wiele innych rzeczy. Jane, byłem taki głupi...

- Oboje zrobiliśmy kilka głupich rzeczy - powiedziała z miłością, patrząc na niego z bezpiecznego schronienia jego objęć, takich ciepłych, kochających, silnych. Po sposobie, w jaki ją obejmował, mogła poznać, jak wiele dla niego znaczyła. Jednak czy nie tego właśnie oczekuje się po zakochanych? Uśmiechnęła się do niego promiennie, a on pocałował ją ściskając w objęciach tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Ale nie protestowała, pławiła się w rozkoszy. Kiedy ją puścił, położyła głowę na jego ramieniu.

- Przepraszam, że przysporzyłam ci tyle zmartwień - powiedziała ze skrucą. - Gdybym nie poddała się temu impulsowi, żeby spojrzeć po raz ostatni na marmurowy basen...

Ujął jej brodę tak, żeby móc spojrzeć w jej oczy.

- Och Jane, Jane... - powiedział dziwnym głosem - czym ja sobie zasłużyłem na to, by znaleźć ciebie?

- Jak to... po prostu byłeś sobą - powiedziała zwyczajnie. Znowu ją przytulił, a łańcuch brzęknął, kiedy się poruszyła.

- Dobry Boże! - jego głos wibrował gniewem. - Zapomniałem, że przykuł cię tu jak zwierzę!

- Traktował mnie jak zwierzątko. Karmił mnie, bawił się ze mną i głaskał... ale nie mogłam się z nim porozumieć. Luis przyglądał się łańcuchom.

- Będziemy potrzebowali młotka, dłuta i jakichś nożyc do metalu. Wezmę...

Nagle Jane rzuciła się w bok i krzyknęła:

- Luis, uważaj...!

Odskoczył, przetoczył się na bok i zobaczył, że Oso na jednej nodze znowu zbliża się ku niemu wyciągając szponiaste ręce. Jane rzuciła się na niego, ale odepchnął ją jak szmacianą lalkę. Upadła bezwładnie na skałę i uderzyła o nią głową. Luis gwałtownie podciął Oso zdrową nogę, a kiedy ten upadał, podniósł strzelbę i mocno uderzył go w głowę kolbą. Potem pochylił się nad Jane. Kiedy ją podniósł, jej głowa opadła bezwładnie, a spod jasnych włosów zaczęła sączyć się krew.

## 7

Jane otworzyła oczy. Leżała na plecach na czymś, co po chwili rozpoznała jako własne łóżko. Bolała ją głowa, czuła się poobijana i zeszywniała. Lampy były zapalone, a białe koronkowe firanki falowały lekko w delikatnym wietrzyku.

Ktoś trzymał ją za rękę. Ostrożnie odwróciła na poduszce obolałą głowę i zobaczyła Luisa de Capdévila, śpiącego na fotelu przy łóżku. To on właśnie trzymał jej rękę ciasno splatając palce, tak że nawet w całkowitym sennym odprężeniu uścisk się nie rozluźnił. Od razu powróciły wspomnienia: jaskinia, łańcuchy, wielka sylwetka Oso atakującego Luisa, szaleństwo i nienawiść w jego oczach. Niespokojnie spojrzała na Luisa. Nie wydawał się ranny. Siedział zupełnie odprężony w fotelu z wysokim oparciem przysuniętym blisko do łóżka. Wciąż jeszcze miał na sobie koszulę i dzinsy, w których wszedł do jaskini, i chyba od dawna się nie golił. W ogóle nie sprawiał wrażenia eleganta, jakim był na co dzień. Wyglądał na człowieka zmęczonego,



wyczerpanego i potrzebującego głębokiego snu, w który wreszcie zapadł. Przyglądała się jego twarzy, jakby nie mogła się na nią napatrzeć. Lekko pogładziła kciukiem długie palce, ale nie poruszyła dłoni w obawie, że go zbudzi.

Westchnęła z zadowoleniem. Wszystko ułożyło się tak, jak trzeba. Luis był przy niej i kochał ją. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, kiedy znalazł ją w jaskini, żeby zrozumiała, że nic się nie zmieniło. Słowa tylko potwierdziły te przypuszczenia. Kochał ją. To, co między nimi zaszło, należało już do przeszłości i zostało zapomniane. Byli znów razem tak, jak powinni.

Jej serce przepełniło się miłością do niego tak bardzo, że mało nie eksplodowało. Kochała tę twarz o mocnych kościach, gęste, czarne włosy, ciemne oczy, dźwięczny głos, który potrafił być miękki i pieszczotliwy, a mimo to twardy jak stal. Kochała stanowcze, choć zmysłowe usta, mocny podbródek, sposób, w jaki uśmiech odmieniał jego twarz, tak samo jak wtedy, gdy pochylił się nad nią w jaskini. Ten uśmiech był jak najwspanialszy pożar radości. W tamtej chwili związała się z nim na nowo. Należy do niego i robi wszystko, będzie wszystkim, czego on zapagnie, byle tylko przy nim pozostać. Jednak w głębi ducha wiedziała, że tak naprawdę on pragnie jej dokładnie takiej, jaka jest: niezależna, szczerza, otwarcie głosząca swoje wyzwolone przekonania.

Zadowolona i bezpieczna, leżała sennie, patrzyła na niego, pozwalając mu spać, trzymała jego rękę. Nie pragnęła - przynajmniej w tej chwili - niczego więcej, jak tylko być blisko niego, z nim, być pierwszą osobą, jaką zobaczy, gdy otworzy oczy.

I tak też się stało: kiedy się obudził, przede wszystkim ujrzał jej twarz na poduszce, uśmiechającą się do niego, a wszystkie uczucia błyszczały w wielkich kocich oczach, które zawsze były oknem jej myśli. Zobaczyła zadowolenie w jego spojrzeniu i ścisnęła mu rękę.

- Mój kochany - powiedziała miękko.

W jednej chwili zerwał się z fotela i usiadł na łóżku, podniósł jak u siebie, a ona zarzuciła mu rękę na szyję. Przez długą chwilę obejmowali się w milczeniu. Potem powiedział z westchnieniem:

- Myślałem już, że cię zabił.

- Ja myślałam, że miał zamiar zabić ciebie - głos Jane był stłumiony przez jego objęcia.

- Rzuciłaś się na niego jak żbik, którego widziałem kiedyś w Madrycie - powiedział z podziwem.

- Ale on odepchnął cię na skałę z taką siłą, że mogła ci pęknąć czaszka. Jednak krew płynęła tylko z okropnego rozcięcia. - Boli?

- Troszkę - przyznała, a potem dodała z przewrotnym błyskiem oku: - Ale nie na tyle, żeby mnie od ciebie oderwać.

W odpowiedzi przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Od tej chwili nigdy nie spuszczę cię z oka. Nie chcę już nigdy przechodzić przez to, co przeżyłem przez ostatnie trzydzieści sześć godzin. Jane, myślałem, że cię straciłem - naprawdę straciłem. A wszystko przez moją głupotę i bezwzględność.

Uniosła palce ku jego ustom, żeby go uciszyć, a on pocałował je czule.

- Żadnego obwiniania się - upomniała go łagodnie. - Oboje popełniliśmy błędy, ale nie powtórzmy ich, prawda?

- Oczywiście, że powtórzmy. Pomyśl jednak, jaka będzie radość, kiedy się znowu pogodzimy...

Po chwili spojrzał w dół na jej twarz i długimi palcami odgarnął pukle z jej czoła.

- Będziemy walczyć ze sobą jak pies z kotem - ostrzegł. - Ale walka z tobą to taka rozkosz, że nie chciałbym niczego innego. Wstrząsnęła nią intensywność jego troski o nią.

- Kocham cię, Jane, tak bardzo cię kocham. Twoją energię, wesołość i niewymuszony wdzięk, który widać we wszystkim, co robisz. Kocham te zielone oczy, ostry język i wnikliwą inteligencję, i twoją sympatię dla wszystkiego, co hiszpańskie. Kocham dotyk twojego ciała w moich objęciach i twój zwyczaj nieukrywania niczego. Proszę, wybacz mi, że tak bardzo cię zraniłem swoją wyniosłością i dumą, że uwierzyłem kłamstwu, chociaż wiedziałem, że bez względu na wszystko ty jesteś samą szczerością.

Jej oczy napełniły się łzami i znów spojrzeli na siebie tak głęboko, że wzrok sięgnął dna serc i umysłów obojga, aż mogli tylko obejmować się mocno. Jane przycisnęła usta do ciepłej skóry jego szyi. On głaskał ją po włosach, całując je delikatnie i z taką czułością, że poczuła słabość i drżenie. Potem scałował łzy z kącików jej powiek.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię - szeptała drżąc. - Chyba umrę, tak bardzo cię kocham.

- Co - i tak szybko zrobisz ze mnie wdowca?

- Najpierw musiałbyś mnie poślubić.

- Najszybciej, jak się da.

- O tak, proszę - błagała takim tonem, że musiał znowu ją pocałować, tym razem pocałunkiem pełnym namiętności tym większej, że tak długo powstrzymywanej.

Popęłniłem wobec ciebie wiele błędów - powiedział w końcu policzkiem przyciśniętym do jej

włosów. - Tak samo jak Jorge i bliźnięta, dużo nauczyłem się tego lata; byłaś kimś spoza mojego kręgu doświadczeń. Byłaś jednocześnie wyzwaniem i moją przegraną. Od naszego pierwszego spotkania, kiedy odwróciłaś się ku mnie z wyciągniętymi szponami...

- Nieźle nam się walczyło, to prawda. Uwielbiałam słowne potyczki z tobą.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby kobieta miała tyle sal.

- *Doña* Alicia powiedziała mi, że według ciebie mam sal, byłam zachwycona. Kochałam cię i pomyślałam - kiedy całowałeś mnie tamtej nocy - że może ty też mnie kochasz...

- Właśnie zaczynałem, a ty byłaś taką pokusą! Musiałem zmobilizować wszystkie siły, żeby ci się oprzeć. Mówiłem ci, wywierasz na mężczyznę wpływ, którego trzeba doświadczyć, żeby w to uwierzyć. Ja nigdy nie spotkałem się z niczym podobnym i wiedziałem, że jeżeli zostanę, nie będę w stanie się powstrzymać... Musiałem się usunąć, zanim naruszyłbym wszystkie reguły! Tylko że nie potrafiłem trzymać się z dala od ciebie. Stałaś mi się potrzebna jak powietrze...

Znów wymienili pocałunek, nie mogąc nacieszyć się sobą wzajemnie. Kiedy się ponownie odezwał, w jego głosie był cień uśmiechu rozjaśniający napięcie:

- Jesteś przy mnie tak wolna, jak tylko zechcesz. Nie chciałbym, żebyś czuła się inaczej.

- Ale ja nie jestem wolna - powiedziała otwarcie. - Jestem przykuta do ciebie, tylko że nie można zobaczyć tych łańcuchów. I nie da się ich zdjąć. Nigdy.

Ujął jej twarz w dłonie i powiedział tak samo, jak ona przedtem:

- Moja kochana.

Potem pocałował ją znowu, powoli, głęboko, aż oboje wstrząśnięci byli do głębi. Następnie stanowczo położył ją na poduszki.

- Musisz odpocząć. Chcę, żebyś szybko wyzdrowiała, ale jeżeli bodziesz musiała brać ze mną ślub z obandażowaną głową, to i tak się z tobą ożenię.

- Więc pocałuj mnie jeszcze - powiedziała natychmiast. - Kiedy tego nie robisz, zaczyna mnie boleć.

Roześmiał się, a ona poczuła gęsią skórę.

- Teraz widzę, że wkrótce wydobrejesz - stwierdził. Złapała go za rękę.

- Wrócisz?

- Jak tylko się ogolę i wezmę prysznic. Nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Luis, czy przez całą noc siedziałeś przy moim łóżku?

- Oczywiście.

Wyciągnęła ku niemu ramiona, ale on już wstał.

- O, nie - rzekł - zostaw mi choć trochę wolnej woli. Uniósł jej rękę wnętrzem dłoni do swoich ust, ucałował po kolei jedną, potem drugą, przyciskając koniuszek języka do ciepłej skóry. W uszach jej dzwoniło i przełknęła z trudem ślinę, kiedy zastanowiła się, jakim kochankiem będzie ten mężczyzna.

- *Hasta pronto* - powiedział. - Do zobaczenia wkrótce - i zostawił ją samą.

Kiedy wyszedł, Jane założyła ręce za głowę i przeciągnęła się, aż poczuła napięcie we wszystkich mięśniach. Bolały ją, a w głowie jej szumiało, ale czuła się taka pełna życia! Tak całkowicie wypełniona energią, że aż świerzbiały ją końce palców!

*Doña* Alicia, która weszła wtedy do pokoju, odezwała się z zaskoczeniem w głosie:

- *Vaya!* Jak na osobę z kilkunastoma szwami na głowie, wygląda pani wyjątkowo dobrze!

- Szwy! - Jane po raz pierwszy przyłożyła dłoń do głowy i poczuła grubą warstwę bandażu. - Nic dziwnego, że głowa mnie boli - powiedziała żałośnie.

- To niezbyt poważna rana, ale na tyle poszarpana i głęboka, że trzeba było ją zaszyć.

- Kiedy to było, rano - wczoraj rano?

- Dwa dni temu.

- Dwa dni! I przez cały ten czas leżałam nieprzytomna?

- Była pani w szoku. Lekarz powiedział, że może to trwać dwa dni, a równie dobrze dwa tygodnie. Luis bardzo się martwił.

- I siedział przy moim łóżku przez dwa dni?

- Od chwili, kiedy tu panią przywiózł. Rana na głowie bardzo krwawiła i wyglądała na o wiele poważniejszą niż się w końcu okazała. Ale tak naprawdę martwił nas ten szok. Wciąż wołała pani Luisa i nie chciała puścić jego ręki. Trzymał panią za rękę przez cały czas, kiedy doktor Morales zszywał ranę i od tamtej pory siedział przy pani. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Bardzo panią kocha. Gdybym go tak dobrze nie знаła, powiedziałabym, że jest ogłupiała z miłości. Jane nagle ogarnęła nieśmiałość.

- Podobnie jak ja.

*Doña* Alicia przytaknęła radośnie.

- Widzę. Teraz jest równie szczęśliwy, jak przedtem był nieszczęśliwy. „Dostałem jeszcze jedną szansę”, powiedział. „Nie wiem, co zrobiłem, żeby na nią zasłużyć, skoro taki był ze mnie głupiec, ale tym razem nie pozwolę jej odejść”.

- Nigdy nie odejdę - zapewniła Jane. - Wystarczająco źle było wtedy, gdy myślałam, że wszystko już stracone. Nie mogłabym przejść przez to jeszcze raz.

- Chyba zabiłby Oso, gdyby okazało się, że jest pani poważnie ranna, albo gdyby pani umarła - opowiadała *doña* Alicia.

- Co się z nim stało?

- Został zabrany tam, gdzie ktoś będzie się nim opiekować. Rozumie pani, on nigdy nie był niebezpieczny. Zainteresowały go pani włosy, pewnie myślał, że to jakieś śliczne zwierzątko. Chciał je głaskać i bawić się nimi. Ale dla pani musiało to być bardzo przerażające.

- Było. Nigdy do końca nie wiedziałam, czego oczekiwać... jak daleko się posunie.

- Ale nie... napastował pani? - zapytała delikatnie *doña* Alicia.

- Nie. Nigdy nie robił nic prócz głaskania mnie po włosach.

- Lekarz powiedział, że nie wydaje mu się, żeby wyrządził pani jakąś krzywdę, ale zawsze dobrze być pewnym. To jeszcze jeden powód, dla którego Luis by go zabił.

Jane zadrżała.

- Czułam przedtem, że ktoś mnie obserwuje. Kiedy wychodziłam sama. To musiał być Oso.

- Znał bardzo dobrze całą posiadłość. Tutaj się urodził. Ale musi go pani usunąć z pamięci. Proszę myśleć o Luisie...

- Nie robiłam nic innego przez całe lato - przyznała się Jane z poczuciem winy.

- Och, wiedziałam o tym - odparła *señora* de Capdévila. - Widziałam, co się między wami działo. Jeszcze nigdy Luis nie przyjeżdżał do nas tak często...

Poklepała Jane po dłoni.

- Jest z pani bardzo dumny. Ze sposobu, w jaki rozpałała pani ogień i podtrzymywała go. „Cokolwiek robi, robi to wyjątkowo dobrze” - tak mi powiedział.

- Z wyjątkiem historii z bykiem - powiedziała Jane z drżeniem w głosie.

- No cóż, to było coś, w czym zabrakło pani zarówno umiejętności, jak i doświadczenia. Dlatego właśnie było to takie niebezpieczne. Nawet *tienta* tak naprawdę nie jest dla nowicjuszy.

- Prawie go przez to straciłam. - Jane wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

- Bał się o panią. Queta zrobiła rzecz niewybaczalną. Wiedziałam, że nienawidziła pani z powodu Luisa, ale żeby posunąć się tak daleko... - *Doña* Alicia wciąż jeszcze była tym głęboko wstrząśnięta. - Jakie kłamstwa mówiła Luisowi! Bardzo się wstydził, że jej uwierzył, ale widzi pani, nie miał powodu, żeby jej nie ufać.

- Oczywiście - powiedziała cicho Jane. - Znał ją od dawna.

- Przez całe życie. I ufał jej. Dlatego właśnie był taki zrozpaczony jadąc do La Menja. Myślał, że zabił pani miłość do niego. Ale teraz jest jak odmieniony. Nie chciał pani zostawić samej, kiedy go pani wołała.

- Wiedziałam, że będę bezpieczna, jeżeli on przy mnie będzie - powiedziała rzeczowo Jane.

- Taki właśnie jest Luis - zgodziła się *doña* Alicia.

- Jest taki... taki - Jane nie mogła znaleźć właściwego angielskiego słowa. - Jest bardzo odpowiednie hiszpańskie słowo *pundonor*\*. Pewnej nocy w Cabo de los Ángeles była chwila, kiedy mógł ze mną zrobić, co tylko chciał, a ja nie miałabym nic przeciwko temu, ale powiedział, że w takich sprawach istnieją określone zasady.

- Luis nigdy nie oszukuje, a kiedy się wobec kogoś zobowiąże - a myślę, że zrobił to już wtedy - to stosowanie właściwych reguł staje się dla niego jeszcze ważniejsze. Już na samym początku wywarła pani na nim wrażenie, gdy napadła pani na niego zupełnie tracąc cierpliwość tego dnia w Madrycie. „Takiej wyjątkowej istocie nie można pozwolić odejść” - tak mi wtedy powiedział i wyszedł z domu za panią. Już to samo w sobie było niezwykle! Na ogół kobiety chodzą za Luisem! - czekoladowe oczy *doni* Alicii błysnęły przekornie.

- Jest pięknym mężczyzną, prawda? - zgodziła się sennie Jane.

- Wiele kobiet tak uważało - powiedziała niewinnie *seriom* de Capdévila. - Ale w pani jest coś, co chwyciło Luisa za serce: niezwykły duch. *Tiene un valor enorme*, powiedział. „Ma ogromną odwagę”. No i broniła pani swoich przekonań. To również jest dla niego bardzo ważne. Poza tym odpłacała pani pięknym za nadobne. To też mu się podobało. - Uśmiechnęła się ciepło do Jane. - Wszyscy panią kochamy - kontynuowała. - Moje dzieci były takie nieszczęśliwe, kiedy miała pani

---

\* *Pundonor* (hiszp.) - zbitka słowna z „punto de honor”, sprawa honoru

wyjechać. Teraz nie posiadają się z radości i bardzo chciałyby panią zobaczyć. Czuje się pani na siłach?

- Ależ oczywiście! Proszę, niech wejdą.

- Dobrze, chociaż tylko na pięć minut. Bliźnięta wpadły przez drzwi jak wystrzelone z katapulty, ale zatrzymały się na widok jej zabandażowanej głowy.

- Och, panno Jane! Pani jest ranna!

- Nic poważnego. Tylko rozcięcie na głowie, które wkrótce się zagoi.

- Kiedy wujek Luis panią przywiózł, była pani całkiem biała na twarzy i włosy miała pani całe we krwi - powiedziała Inés z ważną miną. - Wyglądała pani jak martwa. Luisito i ja płakaliśmy i poszliśmy do kościoła, i modliliśmy się za panią.

- Zdaje się, że to zadziałało - zapewniła poważnie Jane - bo jestem żywa i, jak widzicie, nieźle się miewam.

- Zabrali Oso karetką z kratami w oknach - wtrącił Luisito lęklwym tonem. - Płakał.

Jane przytuliła mocno bliźnięta.

- Nie mógł odpowiadać za własne czyny. Tam, gdzie go zawieziono, będzie miał dobrą opiekę.

- Czy to prawda, że wyjdzie pani za wujka Luisa? Lord James mówi, że tak będzie.

- Lord James ma rację. Tak zrobię.

- Świetnie - pochwalił ją Luisito. - Teraz może pani zostać z nami na zawsze i pomagać mi w szukaniu nowych okazji, kiedy wrócimy do Cabo de los Angeles. Wujek Luis chce tam panią zabrać, mówi że to dobrze pani zrobi.

- To wasz wujek Luis dobrze mi robi - powiedziała śmiało Jane. Jorge i Alejandro stali przy jej łóżku zjednoczeni w pełnym zazdrości smutku.

- Więc przez cały czas chodziło o wujka Luisa - odezwał się Jorge z wyrzutem. - Nic dziwnego, że nie pozwalała mi pani zalecać się do siebie.

- Ani mnie - zawtórował mu Alejandro. - Ale warto było widzieć, jak Queta dostaje za swoje. Luis zrobił jej piekło.

Kiedy James zajrzał przez uchylone drzwi, Jane wyciągnęła do niego ramiona.

- Och, James, James... wszystko okazało się jak cud, jak wskrzeszenie Łazarza. To, co uważałam za martwe, jest oszałamiająco wspaniałe, żywe i w świetnej kondycji.

- Spokojnie, mała Jane, nie musisz mi nic mówić. Rozmawiałem z Luisem! Mam być drużbą. Zgadzasz się? - Pochylił się, żeby ją uściskać i ucałować.

- Jesteś najlepszy - zaraz po Luisie, rzecz jasna.

- Rozumiem, że to spory komplement - roześmiał się. - Dostał cisie naprawdę wyjątkowy facet, kochanie. Myślę, że nawet mój staruszek nie będzie miał nic przeciwko niemu - oczywiście, kiedy już pogodzi się z początkowym rozczarowaniem. Ale jaką miałem szansę w porównaniu z porwaniem i uratowaniem przez przystojnego Hiszpana? - Uśmiechnął się do niej złośliwie. Potem dodał poważnym tonem: - Wiesz, był potwornie niespokojny. Nie spał od czasu, kiedy zniknęłaś. Uspokoił się dopiero, kiedy przywieziono cię do domu, a lekarz orzekł, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. A nawet wtedy uparł się, że prześpi się w fotelu przy tobie, bo wołałaś go za każdym razem, kiedy puszczał twoją rękę. Ależ mu się to podobało! Nie pozwolił czuć nad tobą nikomu innemu - nawet mnie!

Wiem - powiedziała onieśmielona nagle Jane, jakby przestraszyła się rozmiarów miłości, którą w końcu jej ujawniono.

- Nie muszę pytać, czy teraz wszystko jest w porządku. Wystarczy tylko spojrzeć na ciebie. Mimo zabandażowanej głowy wciąż zapierasz dech w piersi, a Luis pogwizduje jak dziesięciolatek. Wywierasz na niego niesamowity wpływ. - Zmierzył ją zamyślnym wzrokiem, a ona splonęła rumieńcem.

Potem wrócił Luis, już wykąpany, ogolony i znów elegancki w pięknie skrojonych czarnych spodniach i bladoniebieskiej koszuli.

- Pozwól mi nacieszyć oczy twoim widokiem - powiedziała Jane z miłością.

- I nawzajem - odparł miękko.

Jej włosy zostały uczesane i ostrożnie upięte na czubku głowy, żeby zakryć gruby bandaż. Włożyła najlepszą koszulę nocną i śliczny kaftanik z puszystej koronki, który dała jej *doña* Alicia. Ledwie mieścił się na jej szerokich ramionach, ale wyglądał ślicznie przy miodowobrzozkwinowym połysku jej skóry, złocistych włosach i zielonych oczach świecących wewnętrznym blaskiem, niczym lampa w oknie.

Jego czarne włosy też były uczesane i lśniły, onyksowe oczy jarzyły się równie mocno jak jej własne, ciemna twarz przybrała wyraz całkowitej, nieziemskiej radości. Pachniał czymś ostrym i czystym.

- Jesteś takim pięknym mężczyzną - powiedziała z zachwytem. Wzięła go za rękę, przyciągnęła do siebie i wyciągnęła dłoń, żeby kreślić szlaki wzdłuż wysokich kości policzkowych do stanowczej szczęki i uśmiechniętych ust, które całowały jej palce w miarę, jak je przesuwała.
- Luis, ożeń się ze mną szybko, zanim umrę z tęsknoty - szepnęła miękko głosem, pełnym pragnienia. Z okrzykiem wziął ją w ramiona.
- Patrz tak na mnie dalej, a oboje umrzemy z wyczerpania - ostrzegł ją przyciskając usta do jej szyi. Zachichotała.
- Miło pachniesz... miło smakujesz imasz miły dotyk... Nasze dzieci będą esencją nas obojga - powiedziała po chwili z rozmarzeniem.
- To będzie potężna mikstura - skomentował. - Jeżeli odziedziczą twoją piękność, wdzięk i ducha, to będę zadowolony.
- I twoją siłę, opanowanie i te okropne ciemne oczy, które potrafią przeszyć jednym spojrzeniem.
- Tak jak przeszyły ciebie? - zapytał sardonicznie.
- Tylko dlatego, że to zrobiły, czułam potrzebę obrony - odpowiedziała poważnym tonem.
- I broniłaś się. Byłaś jak piękny cierń w moim ciele. - Utkwił mi tak głęboko w sercu, że nigdy nie zdołam go stamtąd wyciągnąć.
- Nawet, gdybym cię nakłuła? - zapytała niewinnie, chociaż w jej oczach błyszczał niesforny chochlik.
- Nawet rapierem, który dzierzysz z taką wprawą... Westchnęła znowu, teraz usatysfakcjonowana.
- No, to w porządku - powiedziała.
- Moja piękna amazonka - uśmiechnął się.
- Tak - odparła darując mu swoje usta, serce, całe swoje życie. - Twoja.